JAK BADAĆ ROSYJSKIE WPŁYWY W POLSCE

Komisja poza konstytucją? – oceniają Ziemkiewicz i Warzecha

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 23/530 5–11 CZERWCA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

„Rozgrzani sędziowie" kontra prawicowi dziennikarze

DODATEK SPECJALNY
TRAGEDIA ZAMOJSZCZYZNY – WSTĘP DO NIEMIECKIEGO PLANU ZAGŁADY SŁOWIAN

Czy Watykan skończy z katastroficznymi pseudoobjawieniami

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 52 000 egzemplarzy

JAK SILNĄ ARMIĘ MA POLSKA

eprasa.pl dced4af17a

DODAJE BLASKU

CHWILOM

Do zdjęć zostały użyte napoje bezalkoholowe

CELEBRATION

Kolekcja Celebration została stworzona, aby uczcić 100 lat rzemiosła i kunsztu hutniczego. Inspiracją do jej powstania była stylistyka lat 20-tych, nawiązując do dekady, w której huta w Krośnie rozpoczęła swoją działalność. Styl kolekcji Celebration łączy w sobie sentyment do stylu Art Deco z nowoczesnością. Wyjątkowa kolekcja nie tylko na wyjątkowe okazje.

100 LAT krosno®

krosno.com.pl

eprasa.pl dced4af17a

Zachwiana kariera sługi Ukrainy

PAWEŁ LISICKI

Powiedzieć, że w sprawie Wołynia polski rząd wykazuje się nieudolnością, to nic nie powiedzieć. Pokazują to losy rzecznika Ministerstwa Spraw Zagranicznych Łukasza Jasiny w związku z jego wypowiedzią sprzed tygodnia, w której to wspomniał o potrzebie przeprosin prezydenta Wołodymyra Zełenskiego za zbrodnie ukraińskie podczas drugiej wojny światowej. Po tym, jak zaatakował go ambasador Ukrainy, udał się na „z góry zaplanowany urlop". Według RMF rzecznika zawieszono, według MSZ – po prostu odpoczywa. Nie wiem, jaka jest prawda, ale obstawiam, że rację mieli dziennikarze, a MSZ próbuje pokazać dobrą minę do złej gry. Być może ktoś w alei Szucha poszedł po rozum do głowy?

Gdyby rzecznika faktycznie zawieszono, to Warszawa pokazałaby trzy rzeczy. Po pierwsze, wyraźnie zadeklarowałaby, że troska o uczucia rodzin ofiar pomordowanych na Wołyniu i szeroko rozumiane środowiska kresowe nie jest dla niej czymś kluczowym. Po drugie, pośrednio uznałaby, że w relacjach z Kijowem zajmuje stanowisko wasalne. Nawet jeśli rzecznik MSZ popełnił błąd i wyrwał się przed szereg z żądaniem przeprosin, to natychmiastowe odwoływanie go po ostrych i butnych słowach reprezentanta Ukrainy byłoby przejawem słabości. Poważny rząd tak nie postępuje.

Po trzecie wreszcie, opinia publiczna mogłaby jeszcze raz się przekonać, że w Polsce cały czas obowiązuje zgubna doktryna politycznego manicheizmu: jedno jest tylko źródło zła na świecie, czyli Moskwa. Dobre jest to, co służy jej zwalczaniu, złe to, co odbiera wolę takiej walki. Z tego punktu widzenia środowiska wołyńskie znajdują się w paradoksalnym i tragicznym położeniu: gdyby ich przodkowie zostali wymordowani – czy to przez Sowietów lub Rosjan, czy przez Niemców – sprawy by nie było. Dążąc do upamiętnienia ofiar, idealnie wpasowaliby się w obecną linię polityki historycznej. Takie próby redefinicji i rekonstrukcji historycznej zresztą niektórzy polscy politycy, wyposażeni w odpowiednią dozę cynizmu i dysponujący zręcznością manipulacji, podejmowali. Jedni chcieli przypisać zbrodnię na Wołyniu Trzeciej Rzeszy, inni – ogólnie Sowietom.

Nie ukrywam przy tym, że słowa rzecznika Jasiny na temat przeprosin za Wołyń mnie zaskoczyły. Był on przecież jednym z tych polityków, którzy najbardziej bezwarunkowo sformułowali zasady obecnej polityki zagranicznej. On to przecież w marcu 2022 r. głośno wyraził stanowisko Warszawy w związku z agresją Rosji na Ukrainę: „Jesteśmy do dyspozycji Ukrainy, jej decyzji, próśb, jej wniosków w tej sprawie. Jesteśmy tutaj sługami narodu ukraińskiego i jego próśb". Wtedy też mówił, w imieniu polskich władz, „że całkowicie zgadzamy się z panem prezydentem Zełenskim i z jego zdefiniowaniem tej sprawy". Pod tym względem zatem pan Jasina był po linii i na bazie.

Przyjmując takie stanowisko, władze w Warszawie starały się tłumić wszelkie dyskusje na temat ukraińskich win historycznych. W oficjalnych rozmowach z Kijowem nie podnosiły stanowczo i publicznie postulatu godnego pochówku ofiar masowych zbrodni, udawały też (i udają), że nie widzą kultu zbrodniarzy z OUN-UPA na Ukrainie. Wszystko to w imię wizji przyszłości. W oczach związanych z władzą publicystów i ekspertów nawet najbardziej podstawowe postulaty upamiętnienia stawały się natychmiast przejawem groźnej „maksymalizacji" czy „absolutyzacji". Jak zatem człowiek, który ogłosił siebie sługą Ukrainy, mógł nagle ośmielić się domagać przeprosin od prezydenta Ukrainy?

Możliwości jest kilka. Po pierwsze, być może pojawiły się sondaże wyborcze, z których wynikało, że radykalne lekceważenie kwestii Wołynia jest szkodliwe dla notowań partii rządzącej. Słowa Jasiny miałyby być mrugnięciem oka do środowisk kresowych. Być może jednak, spekuluję, był to pomysł tylko jednej frakcji w PiS i pomysł nie został zaaprobowany czy to przez premiera, czy też przez prezesa partii. Dlatego ostry opór Ukrainy – nikt nie ma prawa domagać się czegokolwiek od prezydenta Zełenskiego – wywołał rejteradę.

Po drugie, nie wykluczam, pan Jasina po prostu chlapnął to, co mu w duszy grało, bo nie chciał uchodzić za zawodowego „sługę narodu ukraińskiego". Byłby to czynnik psychologicznie ważny, w końcu to polski urzędnik.

Po trzecie, nie mogę tego wykluczyć, choć uważam to za najmniej prawdopodobne, może ruszyło go sumienie. Do 80. rocznicy masowych mordów na Polakach na Wołyniu coraz bliżej i coś jakoś należałoby w sprawie upamiętnienia zrobić. Skoro Ukraina tyle mówi o przyjaźni, to taki gest jak przeprosiny byłby najbardziej na miejscu, nieprawdaż?

Nie wiem, które z tych tłumaczeń jest prawdziwe. Pewne jest jedno: jeśliby wskutek swoich słów Jasina stanowisko stracił, a beztający go ambasador ukraiński na stanowisku w Warszawie pozostał, byłaby to kompromitacja naszej dyplomacji. ©℗

eprasa.pl dced4af17a

TEMAT TYGODNIA

16 JAKUB WOZINSKI
KOREA POŁUDNIOWA EUROPY
Nowe priorytety polskiego państwa

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PAŃSTWOWA KOMISJA DO SPRAW WYGRANIA WYBORÓW
Prawdziwe powody powstania komisji

25 ŁUKASZ WARZECHA
RZĄDOWA INKWIZYCJA

28 ROZMOWA Z PROF. HENRYKIEM DOMAŃSKIM
NOWA KOMISJA NA PEWNO NIE POMOŻE PO

31 ZUZANNA DĄBROWSKA
POLITYCY W TOGACH

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
WYBORY NA KÓŁKACH

36 TOMASZ ROWIŃSKI
MATKA BOŻA KONTRA LIDL

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
OSTATNI BOHATEROWIE
Hollywood z siwizną

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

49
TRAGEDIA ZAMOJSZCZYZNY
Prawna obrona przed polonofobią

OPINIE

66 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
GDZIE PROWADZI ŚLAD WĘGLOWY?
Koncerny zasiały poczucie winy

69 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KONIEC KATASTROFICZNYCH PSEUDOOBJAWIEŃ?

HISTORIA

72 RAFAŁ ŁATKA
SKUTECZNA DEMITOLOGIZACJA EDWARDA GIERKA
Refleksje na temat książki Mirosława Szumiły

74 PIOTR SEMKA
ĆWIERĆ WIEKU (PRAWIE) BEZ ZABIJANIA

ŚWIAT

78 TERESA STYLIŃSKA
DWIE TURCJE I ICH PREZYDENT
Kolejne pięć lat Erdoğana

82 MACIEJ PIECZYŃSKI
MISTRZ I PROPAGANDA

84 WOJCIECH GOLONKA
CHALLENGER RZUCA WYZWANIE BIDENOWI

EKONOMIA

86 JACEK PRZYBYLSKI
RZĄD ROZMNAŻA... WYBORCÓW
„800+" a marzenia singli

SPORT

90 ŁUKASZ MAJCHRZYK
ADRIAN PIERWSZY WIELKI
Najlepszy polski golfista

FELIETONY:
SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (77), PRZYBYLSKI (81), GABRYEL, WARZECHA (89), KOMUDA (94), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (96), KUCHARCZYK (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl dced4af17a

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Brukselo)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Darek Delmanowicz/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Niemcy zawsze walczą do końca

[...] Jestem germanistą, pracuję od lat w międzynarodowym biznesie, przede wszystkim z Niemcami. Niemcy jako naród posiadają dużo zalet, których inne narody mogłyby uczyć się od nich. To jest bezsprzeczne. Niemcy jednak jako część cywilizacji bizantyjskiej podporządkowują się swoim elitom i nie oceniają elit, używając kategorii moralnych, tak jak to robią Polacy.

Niemieckie elity, german deep state, to w dużej mierze te same elity, które bogaciły się w latach 1939–1945 i popierały Hitlera. Ludzie pragmatyczni i niemoralni. Rozmawiałem z przedstawicielami tych elit. Dla tych elit druga wojna światowa zakończy się dopiero wówczas, gdy Niemcy odzyskają swoje wszystkie dobra, kamienice, dworki, ziemię, majątki utracone w rezultacie drugiej wojny światowej. Niemcy nie widzą powodu, aby te dobra należały do Polaków, to są ich dobra, ich historia i klejnoty rodowe. Z jakiej racji Wrocław należy do Polski? To trzeba zmienić. To jest oczywisty cel i widać go jako motyw działania Niemiec wobec Polski, wobec wojny na Ukrainie, w podtrzymywaniu relacji z Moskwą, w polityce UE wobec Polski. Obecnie największym zagrożeniem dla osiągnięcia tego celu jest zasobna, suwerenna i praworządna Polska. Z tego powodu Polska rządzona przez patriotów nigdy nie otrzyma KPO ani wsparcia z tytułu przyjęcia kilku milionów Ukraińców. [...]

Trzeba tylko wysadzić z posad i zdemolować prawo polskie i jednocześnie przeforsować wyższość prawa europejskiego nad prawem polskim. To jest niezbędny warunek i to właśnie się dzieje. A do tego potrzebne są słaba Polska (niezamożni, upodleni Polacy) oraz ograniczona suwerenność. To jest także oczywiście życzenie Rosji, która wraz z Niemcami chce dominować w Europie Środkowej. To jest oddzielny wątek. W każdym razie Niemcy i Rosja są zawsze aliantami, jeśli chodzi o walkę z Polską.

Jeśli się uda, przy współpracy, zaangażowaniu i poparciu Tuska, Niemiec, agentur różnej maści i różnego wyznania, przy pomocy pożytecznych idiotów, zidiociałych aktorów, Putina, Unii Europejskiej, TVN, czyli jeśli w końcu to się uda, to wówczas jakaś mała gmina żydowska z Nowego Jorku zapyta TSUE, czy jej majątek został przekazany w ręce państwa polskiego w 1945 r. zgodnie z prawem.

Wówczas TSUE może stwierdzić, że w Polsce władza sowiecka działała niezgodnie z prawem i decyzje majątkowe podjęte pod presją Sowietów nie mogą mieć mocy prawnej i należy przywrócić własność zgodnie z księgami wieczystymi z 1939 r. Po krótkim czasie Niemcy zapytają nieśmiało, czy dotyczy to także ich majątków. TSUE oczywiście stwierdzi, że ta zasada ma charakter ogólny. A Niemcy to przecież państwo prawa.

I w ten sposób, bez jednego strzału, Niemcy odzyskają tytuł prawny do swoich dóbr i uruchomienia prawnej machiny. [...]

I jeszcze jedno. Niemcy walczą zawsze do końca. Nawet gdyby to miało trwać 100 lat.

Pozdrawiam
Krzysztof [nazwisko do wiadomości redakcji]

Wyjaśnienie

W moim tekście „Przeciąganie liny" („Do Rzeczy" nr 22/2023) zaliczyłem panią Krystynę Pawłowicz i pana Stanisława Piotrowicza do grupy sędziów kwestionujących przewodnictwo pani sędzi Julii Przyłębskiej w Trybunale Konstytucyjnym. Tak nie jest i z powodu nieporozumienia wyrażam ubolewanie.

Piotr Semka

eprasa.pl dced4af17a

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Sałatka słowna „Monsieur le Président”

Niektórzy liderzy światowi lubią gadać. No cóż, ludzka rzecz – powie ktoś. Gorzej, gdy ich wypowiedzi nijak mają się do siebie w logiczny sposób. Prezydent Francji Emmanuel Macron odwiedził właśnie konferencję na temat bezpieczeństwa w Bratysławie, u naszych sąsiadów zza Tatr. Najwyraźniej, chcąc ująć polityków z naszego rejonu, samokrytycznie wyznał: „Powinniśmy byli słuchać ostrzeżeń Europy Wschodniej”. Chwilę potem wrócił do swej ulubionej melodii – powtórzył apel o bardziej powszechną „europejską obronę” i „europejski filar w NATO”. Co do Ukrainy, Macron nie wsparł jej aspiracji do NATO wprost. Zapowiedział jedynie, że Ukraina powinna zostać objęta gwarancjami bezpieczeństwa, ponieważ „chroni Europę” i „jest świetnie wyposażona”.

Jednak najlepsze zostawił na koniec. Francuski przywódca zasugerował, że Unia Europejska powinna sama w przyszłości dążyć do podpisywania z Rosją traktatów dotyczących rozbrojenia – nie czekając na władze w Waszyngtonie. W ten sposób będzie mogła wziąć kwestie bezpieczeństwa naszego kontynentu we własne ręce.

Francuski przywódca dodał, że w tej chwili – z powodu wojny na Ukrainie – wschodnia flanka NATO jest „za bardzo dozbrojona”. Emmanuel Macron zasugerował, że może to w przyszłości znowu prowadzić do eskalacji napięć z Rosją. I cały pozytywny efekt poprzednich deklaracji – w uszach Estończyków, Litwinow, Ukraińców czy Polaków – diabli wzięli.

Okazuje się, że w umyśle gospodarza Pałacu Elizejskiego nadal błąkają się dwa demony, które w przeszłości nic dobrego nie przyniosły Europie. Pierwszy to obsesja, by wypychać Amerykę z decyzji o bezpieczeństwie na naszym kontynencie. I drugi demon – pokusa ustalania z Kremlem, na ile kraje wschodniej Europy mają prawo bronić się przed rosyjskim niedźwiedziem.

Jest to pośredni ukłon dla tez Putina o biednej Moskwie zagrożonej zwiększaniem się arsenału NATO i Ukrainy. Ciekawe, co powiedziałby Macron, gdyby np. Algieria uznała, że obawia się nawrotu imperialistycznych nastrojów w Paryżu i potencjał militarny Francji musi być ograniczony. Jak zareagowałby Izrael, gdyby francuski lider zasugerował, że dla zademonstrowania dobrej woli wobec arabskich sąsiadów armia izraelska nie powinna być „zanadto uzbrojona”?

Francuski prezydent być może chciał przeprosić za słowa Chiraca o wschodnich Europejczykach: „Stracili dobrą okazję, aby siedzieć cicho”. Tyle że przy okazji znów nieźle zaniepokoił. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

TYGODNIK „DO RZECZY” W KWIETNIU CYTOWANY NAJCZĘŚCIEJ

Z najnowszego rankingu Instytutu Monitorowania Mediów wynika, że w kwietniu „Do Rzeczy” znów było najbardziej opiniotwórczym tygodnikiem w Polsce. Nasz tygodnik był cytowany aż 345 razy (aż o 80 razy częściej niż w marcu). Drugi w rankingu tygodnik „Wprost” miał w kwietniu 258 cytowań, a „Newsweek” 227. W pierwszej piątce znalazła się też „Polityka”. Pierwsze miejsce w kategorii „tygodniki i dwutygodniki” zajęła „Viva!”, na którą inne media powoływały się 357 razy. ***(jap)***

eprasa.pl dced4af17a

Fundusze Europejskie

Ultraszybki Internet bez barier, czyli rusza program Fundusze Europejskie na Rozwój Cyfrowy

Dzięki Programowi Polska Cyfrowa na lata 2014-2020, coraz więcej gospodarstw domowych w Polsce może cieszyć się dostępem do Internetu. Potrzeby w tym zakresie – szczególnie w kwestii dostępu do ultraszybkiego Internetu szerokopasmowego – są w dalszym ciągu spore. Część z nich może zaspokoić program Fundusze Europejskie na Rozwój Cyfrowy, którego celem jest m.in. właśnie wyeliminowanie terytorialnych różnic w możliwości dostępu mieszkańców do sieci o wysokich przepustowościach.

Coraz więcej spraw, także urzędowych, Polacy mogą załatwić bez wychodzenia z domu. Jest to możliwe, m.in. dzięki rozwojowi oferty usług dostępnych on-line, a także dzięki projektom dofinansowywanym z Funduszy Europejskich, zwiększającym dostępność do Internetu. Wsparcie w tym zakresie oferuje, m.in. Program Polska Cyfrowa na lata 2014-2020 (POPC). Jest to pierwszy tego typu program, poświęcony kompleksowemu rozwojowi cyfryzacji i technologii informacyjno-komunikacyjnych.

Główne efekty zrealizowanych projektów

Program Polska Cyfrowa umożliwił nie tylko szerszy dostęp do szybkiego Internetu, lecz także załatwianie spraw urzędowych on-line czy dostęp do zasobów dziedzictwa kulturowego i nauki przez Internet. Dzięki już dofinansowanym projektom, na których realizację przeznaczono łącznie 15,3 mld zł, szerokopasmowy Internet dotrze do końca 2023 roku do ponad 2 mln gospodarstw domowych. Ponadto, połączenie z siecią uzyska blisko 11 700 szkół. Dodatkowo, w ramach programu ponad 630 tys. osób nauczyło się korzystać z Internetu, a ponad 195 tys. uczniów uczestniczyło w szkoleniach zwiększających kompetencje cyfrowe. To oczywiście tylko niektóre z osiągniętych efektów. Ze szczegółami Programu oraz pozostałymi rezultatami przeprowadzonych działań można się zapoznać na stronie **polskacyfrowa.gov.pl.**

Czas na kolejny etap cyfrowej transformacji!

Zakończenie Programu Polska Cyfrowa nie oznacza oczywiście zatrzymania wsparcia w rozwoju cyfryzacji i ukończenia prac nad zwiększaniem dostępności do sieci w Polsce. Choć w minionych latach wiele w tym zakresie już zrobiono, potrzeby są nadal duże. W najbliższych latach o zaspokojenie tych najistotniejszych zadba m.in. program Fundusze Europejskie na Rozwój Cyfrowy 2021-2027 (FERC), będący kontynuacją POPC i stanowiący kolejny etap cyfrowej transformacji kraju.

Zwiększenie dostępu do ultraszybkiego Internetu

W dzisiejszej rzeczywistości dostęp do szybkiego Internetu jest kluczowy w wielu aspektach naszego życia. Dzięki niemu możemy bowiem zdalnie pracować, uczyć się, robić zakupy, załatwiać sprawy urzędowe czy nawet korzystać z usług placówek medycznych. Niestety, w Polsce w dalszym ciągu obecne są obszary, gdzie inwestycje w sieci szerokopasmowe są nieopłacalne na warunkach rynkowych. Aby wyeliminować terytorialne różnice w możliwości dostępu mieszkańców do Internetu o wysokich przepustowościach, w ramach FERC kontynuowane będzie wsparcie w zakresie jak najszerszego zwiększenia dostępu do ultraszybkiego Internetu szerokopasmowego. Na realizację projektów w tym obszarze przeznaczono ponad 1 mld euro, z czego ponad 800 mln euro to środki unijne, zaś ponad 200 mln euro to krajowe środki prywatne. O dofinansowanie wnioskować mogą przedsiębiorstwa telekomunikacyjne. Planowany nabór wniosków w tym obszarze ma się rozpocząć w II kwartale br.

FERC – kompleksowy rozwój cyfryzacji

Umożliwienie gospodarstwom domowym dostępu do ultraszybkiego Internetu to oczywiście nie jedyny cel programu FERC. W jego ramach realizowane będą również projekty z zakresu, m.in. rozwoju e-usług pozwalających obywatelom i przedsiębiorcom na elektroniczne załatwienie spraw, projekty na rzecz wzmocnienia krajowego systemu cyberbezpieczeństwa czy umożliwiające rozwój zaawansowanych kompetencji cyfrowych wśród pracowników zaangażowanych w obsługę cyfrowych procesów i usług (szczególnie w obszarze cyberbezpieczeństwa). Łączna kwota przeznaczona na realizację projektów w ramach FERC to aż 2 mld euro. O dofinansowanie będą się mogli ubiegać, m.in. przedsiębiorcy telekomunikacyjni, organy administracji publicznej, podmioty systemu szkolnictwa wyższego czy podmioty lecznicze. Wnioski o dofinansowanie w wyżej wymienionych obszarach przyjmować będzie Centrum Projektów Polska Cyfrowa. Szczegółowe informacje na temat programu oraz harmonogramu wniosków można znaleźć na stronie **www.rozwojcyfrowy.gov.pl.**

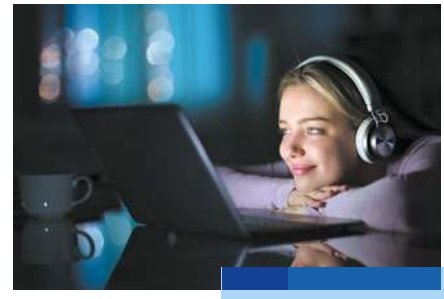

Kampania finansowana z Funduszu Spójności Unii Europejskiej i budżetu państwa

Fundusze Europejskie | Rzeczpospolita Polska | Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej | Unia Europejska Europejskie Fundusze Strukturalne i Inwestycyjne

eprasa.pl dced4af17a

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Spisek flagowy

Pani Dagmara Adamiak, jak sama o sobie pisze, „zajmująca się polityką z perspektywy młodej Polki", szerszej publiczności dała się dotąd poznać jedynie jako donosicielka – to jedna z tych osób, które zażądały od władz Uniwersytetu Warszawskiego relegowania z Wydziału Prawa studenta Oskara Szafarowicza za „pisowskie" poglądy (bo trudno traktować poważnie oskarżenie, jakoby Szafarowicz był współodpowiedzialny za samobójstwo syna posłanki PO). Nieciekawa skądinąd postać pani Dagmary niedawno jednak znowu zwróciła na siebie uwagę, skarżąc się na niezwykłą szykanę, której ofiarą padła ze strony reżimu.

Otóż pani Adamiak zamówiła w serwisie internetowym flagi na Wielki Marsz Tuska. Na fladze, której wzór opublikowała na swym koncie na Twitterze, miały być stylizowane piącha i nazwa organizacji, którą Adamiak założyła, najwyraźniej pozazdrościwszy przywódcom KOD, Obywateli RP itp. Tymczasem zamiast zamówionej piąchy przysłano jej dziwne bannery, łączące, w dość kiczowaty sposób zresztą, krzyż (horrendum!), flagę biało-czerwoną (!), liść palmowy, otwartą księgę i wschodzące słońce oraz napis: „Prawdą, walką, pracą", wszystko wrzucone w błękit. Podobno jest to symbolika Kościoła polskokatolickiego, mało znanej schizmy utworzonej przez polonusów w USA w XIX w. Mniejsza: ważne, że w każdym razie nie są to flagi na marsz Tuska.

„Do tego doprowadziła ta chora władza. To jest świadoma walka polityczna. Jestem przerażona, co tu się dzieje. To jest naprawdę chore!" – zagrzmieli aktywistka, a także liczni komentujący sprawę. Jeden z nich poinformował, że w tej samej firmie zamówił kiedyś flagę UE na marsz ku czci Unii, a przysłali mu flagę Watykanu („Ta władza nie zatrzyma się przed niczym" – dodał). To chyba wystarczający dowód, że nie ma tu mowy o przypadku.

Nie słyszałem o bardziej perfidnej operacji pisowskich służb, odkąd związany z KOD portal ujawnił, że dekodery telewizji kablowej nocą same przełączają się z TVN24 na TVP Info. Pisowskie macki sięgają coraz głębiej. Czujecie to, prawda? ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Reforma Bożego Ciała

Zawsze robi na mnie wrażenie pogodna beztroska zwolenników reformy czy raczej – bo tak ją właściwie należałoby określić – rewolucji liturgicznej. Wszystkie przedkładane im zastrzeżenia są dla nich nieistotne, nad niczym nie widzą powodu się zastanawiać, z niczego wycofać. Choć jest rzeczą oczywistą, że – jak pisał kard. Oddi – nawet najdoskonalsza reforma podlega krytyce. Tym bardziej reforma totalna, która objęła (między wieloma innymi zmianami) nie tylko odwrócenie orientacji modlitwy, zmianę języka liturgicznego, kalendarza, niezmiennego od niepamiętnych czasów porządku czytań, lecz także (choć pośrednio) numerację psalmów.

Dotknęła również Bożego Ciała, nie tylko samej procesji, lecz także czytań mszalnych. Od ustanowienia tej uroczystości Kościół czytał (i czyta dalej w tradycyjnym lekcjonarzu) fragment z 1 Kor 11, 23–29. W liturgii reformowanej już tylko raz na trzy lata; tak czytano go rok temu i będzie się czytać za dwa lata. I z jednym wyraźnym pominięciem – ostatniego fragmentu (1 Kor 11, 27–29): „Dlatego też, kto spożywa chleb lub pije kielich Pański niegodnie, winny będzie Ciała i Krwi Pańskiej. Niech przeto człowiek baczy na siebie samego, spożywając ten chleb i pijąc z tego kielicha. Kto bowiem spożywa i pije, nie zważając na Ciało, wyrok sobie spożywa i pije".

To więcej niż tylko praktyczny skrót. To wyciszenie najmocniejszego apostolskiego apelu o uszanowanie sakralnego charakteru Eucharystii. Ta zmiana (i inne podobne) stały się drogowskazem desakralizacji, całego praktycznego osłabienia czci oddawanej Najświętszej Eucharystii: zmian sposobu jej przyjmowania, udzielania (bez koniecznego pośrednictwa kapłana czy diakona), odwrócenia modlitwy od Najświętszej (i najbardziej widzialnej) Obecności. Dziękujmy Bogu, że w Polsce przynajmniej procesje idą po staremu. To (najdosłowniej) bezcenny skarb naszego życia religijnego i narodowego. ©℗

eprasa.pl dced4af17a

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Pobyty w terminach: 05.06 – 03.09.2023r.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

• Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie • Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna • • Specjalistyczne konsultacje lekarskie •

*możliwa dopłata

tel. 54 416 70 00 www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl dced4af17a

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

OKAZJA ŻYCIA

Chcesz być szczęśliwy? No pewnie, że chcesz. A bogaty? Co za pytanie! Nic więc prostszego – płacisz 499 zł (pakiet basic), 1199 zł (pakiet gold) lub 9999 zł (pakiet platinum) i sukces gwarantowany. Co prawda, trochę dziwi, że płacąc i 500 zł, i 10 tys. zł, możesz być tak niemal samo bogaty i szczęśliwy, ale pomińmy. To oferta, którą przygotowała instagramerka Anna Skura (swego czasu pisałam o jej doświadczeniach z jadem meksykańskiej żaby) wraz z Pawłem Danielewskim (który chwali się w swoich mediach społecznościowych, że „pomaga przeprowadzać rekordowe kampanie promo", a na górze jego strony wisi dumnie zdjęcie z samą Jennifer Lopez). Obiecuje się, że dzięki kursom osiągniesz stabilizację finansową, a dzięki niej i życiową. A że cena z kosmosu? Trudno, za tak solidną dawkę wiedzy trzeba płacić. – Oczywiście jestem świadoma tego, że „wysokie" to pojęcie względne. Dlatego rozumiem, że dla kogoś taki wydatek może być zbyt duży. W porównaniu z pozycjami dostępnymi na rynku w Polsce czy za granicą powiedziałabym, że są raczej standardowe, a wręcz od nich niższe – przekonuje Skura. Celebrytka podkreśla, że wraz ze wspólnikiem nieźle napracowali się nad kursami, więc hajs musi się zgadzać. – Z drugiej strony, by ten projekt powstał, najpierw my sami musieliśmy poczynić sporą inwestycję finansowaną z naszych własnych pieniędzy. Na pewno dużo większą niż w przypadku powstania e-booka. Przy projekcie pracuje mnóstwo osób, usługi każdej z nich trzeba opłacić osobno – wyjaśnia influencerka w rozmowie z portalem Plejada. Ania zaznacza, że najdroższy pakiet to nie byle co – zawiera osobiste spotkanie z nią i panem Pawłem („200 milionów zł wygenerowane klientom"). – Pakiet premium oprócz kursu zawiera głównie cenę sesji mentoringowych i przygotowania strategii działania pod konkretną osobę, co wymaga ogromu naszego czasu i zaangażowania, by poświęcić możliwie najwięcej uwagi. Ta cena to będzie wspólna kilkumiesięczna praca, a nie zarobek na jeden dzień. Ten pakiet ma największe zainteresowanie. Być może również dlatego, że w skład wchodzi spotkanie na żywo i reklama na moim Instagramie – dodaje Skura. I jak tu się nie skusić?

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

BEZ SENTYMENTÓW

Niedawno Edward Miszczak, który od pewnego czasu jako dyrektor programowy bez sentymentów wprowadza swoje porządki w stacji Polsat, pożegnał się z prowadzącą niezwykle popularny program „Nasz nowy dom" Katarzyną Dowbor. Decyzja ta spotkała się z oburzeniem fanów rudowłosej Kasi i generalnym niezrozumieniem opinii publicznej. Sama prezenterka od początku sygnalizowała, że została „wymieniona na młodszą" i nie zgadza się z polityką Miszczaka. Teraz w wywiadzie opowiedziała nieco więcej o kulisach swojego zwolnienia. „Poczułam się upokorzona, dostałam komunikat, że spowalniam ten pociąg. Nie mając argumentu dotyczącego moich umiejętności zawodowych, zastosowano taki – nieprawdziwy – że nie daję rady fizycznie i psychicznie. Myślę, że właśnie o upokorzenie chodziło" – stwierdza gorzko w wywiadzie udzielonym „Wysokim Obcasom". Dowbor przyznała, że na rozmowę z dyrektorem została zaproszona SMS-em, a wszystko trwało „15, może 20 minut". „Rozmowa była prowadzona w asyście mojej pani producent, producenta z Polsatu i dyrektora Constantin Entertainment, firmy produkującej program. Oni byli w szoku nie mniejszym niż ja. Producentka miała w oczach łzy" – wspomina prezenterka. Dowbor przekazano, że program notuje spadki oglądalności, więc odświeżenie formatu jest konieczne. Jednak dane pokazujące trend odwrotny – wzrostowy – opublikował niedawno portal Wirtualne Media. Z tej historii płynie jeden wniosek – nie zawsze młodziej oznacza lepiej. I warto doceniać ludzkie doświadczenie.

ALLAN ZBAWICIEL

Nie dość, że Edyta Górniak to nasza narodowa diwa, to jeszcze wydała na świat „zbawiciela". Chodzi o jej syna, Allana, który kiedyś był fotografowany przez paparazzich w mundurze (uczęszczał do szkoły wojskowej), a dziś zdecydowanie lepiej czuje się nad stołem DJ-a. – Znalazłem w sumie siebie. To moje przejście z wojskiem było może jakąś taką wewnętrzną potrzebą. Na obecną chwilę to jest mi już niepotrzebne, bo stwierdziłem, że wolę zbawiać ludzi muzyką niż ich zabijać – stwierdził 19-latek w śniadaniówce TVN. – Myślę, że miałem taką wewnętrzną potrzebę, bo bycie w wojsku jest bardzo proste. Tam nie trzeba się o nic martwić, dlatego że tam się wykonuje polecenia, i to był po prostu łatwy okres w moim życiu, bo tak naprawdę nie miałem jakichś tam głębokich przemyśleń i tak dalej. Po prostu robiłem to, co mi kazali. To było proste – podsumował. Prawie tak proste jak myślenie Allana, że wojsko równa się zabijanie. ©℗

eprasa.pl dced4af17a

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Myśleliśmy, kochani, iż młode pokolenie mieszkańców tego kraju wyrosło już z niemieckich resentymentów i nie wykazuje podobnej do starszego pokolenia właściwości dyskryminowania wszelkiego, co niemieckie. A teraz nie wiemy, co należy myśleć, iż młodzieżowa reprezentacja tego kraju w piłce nożnej grała podczas mistrzostw Europy mecz z Niemcami i w pewnym momencie prowadziła już 2:1, a potem wyrównała na 3:3.

Na szczęście opamiętanie przyszło w porę i mecz zakończył się sprawiedliwym zwycięstwem młodych Niemców 5:3. Ostatecznie nie ma więc siary przed Europą i wszystko skończyło się dobrze.

Jedyne, co pozostawiło pewien niesmak, to to, iż polska reprezentacja jest tak smutno jednorodna etnicznie. A jej niemieccy rówieśnicy świadczą o różnorodności tamtejszego społeczeństwa. Mamy tu jeszcze wiele do nadrobienia – mamy nadzieję, że ten cały PZPN wprowadzi jakieś parytety, bo to przecież wstyd się tak na boiskach w Europie pokazywać.

Pozostaniemy w klimatach sportowych. Otósh nie tak całkiem dawno dowiedzieliśmy się, iż nasz Kraków zorganizuje w tym roku Igrzyska Europejskie. Początkowo się ucieszyliśmy, myśleliśmy, iż to naprawdę OSOM nowina. Zjadą się ciekawe osoby z całej Europy, pomimo tego całego fashysmu w tym kraju, może złapiemy trochę oddechu, zobaczymy, iż można żyć inaczej, a po wszystkim może nawet wyjedziemy. Kto to wie?

Tymczasem okazało się, iż chodzi o sport. Znów to bieganie, skakanie, bicie rekordów, mnóstwo spoconych ludzi na stadionach, wąsate janusze pijane okowitą patriotyzmu, śledzące poczynania polskich sportowców i faworyzujące ich kosztem gości z zagranicy. Tragedia.

No bo pomyślcie sami: Czy na hasło „Igrzyska Europejskie" waszym pierwszym skojarzeniem byłby sport? Czy może raczej jakieś wspólne inicjatywy proekologiczne? Wyścigi elektrycznymi samochodami na pełnym dystansie ładowania, czyli np. jedna rundka wokół Błoń? A nawet wspólne rezolucje, stanowiska, wypracowane w toku całodobowych dyskusji w ramach sesji podczas paneli. To by dopiero było.

A, no a na koniec podpisany przez wszystkich uczestników dokument z wnioskami do realizacji i rewizji podczas kolejnych takich igrzysk za cztery lata. I wtedy znów okazja do tego, iżby się spotkać i wypracować kolejne stanowiska podczas dyskusji w ramach paneli. Chyba wyobraziliśmy sobie idealny świat i idealną imprezę :(.

Ech, ten polski mindset. Pamiętacie? Jak samochód, to stary diesel, jak wakacje, to na działce, jak budowa domu, to oby najmniejszy, parterowy i najlepiej postawiony razem ze szwagrem. Bo po co płacić specjalistom? Wielokrotnie to powtarzaliśmy, iż Polacy potrzebują nowych ścieżek na swoich mapach mentalnych, iżby wyzbyć się myślenia typu „nie stać mnie", „nie mam", „nie mogę sobie pozwolić", iż, jak wiadomo, ograniczenia istnieją tylko w głowach.

No ale jak ma być dobrze, skoro czytamy, iż coraz więcej młodych Polaków, którzy wkraczają w dorosłość, nadal mieszka ze swoimi osobami płodzącymi? Bo osoby płodzące, zamiast kupić im samodzielne mieszkania lub domy, złośliwie trzymają dzieci przy sobie w egoistycznej potrzebie, iżby mieli kogoś, kto poda szklankę wody na stare lata.

Jak młodzież ma się uczyć pokonywania tych ograniczeń mentalnych, skoro starsze pokolenie tak uparcie wychowuje je w duchu patriarchalnym, w wielopokoleniowych rodzinach? No i kiedy ci młodzi ludzie mają rozwinąć skrzydła, żeby potem kupować nowe elektryki, wakacje spędzać na Bali, a domy budować pasywne of kors, ale za to przynajmniej 200-metrowe? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Chińczyki

No, Donek, rzutem na taśmę, ale będziemy mieli 60 tys. ludzi dodatkowo na marszu, prosto z Chin.
Czekaj, Sławek, jak: z Chin? Przecież to widać będzie!

Ale nie. Nie w sensie, że Chińczyki, tylko wyprodukowani w Chinach.
Roboty?

No... nie, takie... manekiny jakby, dmuchane. Ale z daleka nic nie będzie widać.
A jak ktoś będzie chciał z nimi rozmawiać? Po chińsku zaczną gadać? Jeśli w ogóle...

Jak zamawiałem, to poprosiłem, żeby ich podłączyć zdalnie do bota ChatGPT. Każdy ma prosty układ scalony i łącze z siecią. Zresztą sam zobacz, mam tu jednego, możesz go o coś zapytać. Tylko wtargać go muszę przez drzwi... No, już.
Kto to jest Jarosław Kaczyński?

„Jarosław Kaczyński – wybitny polski polityk, kreator polskiej sceny politycznej...".
Ty sobie żarty robisz, Sławek?

Oj, nie wściekaj się. Muszę to jeszcze dostroić. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS jest przesiąknięty agenturą rosyjską".

GEN. JANUSZ NOSEK, *były szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej"*

eprasa.pl dced4af17a

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Kampania (pardon: prekampania) się rozkręca. Czyli sezon na donoszenie na największych wrogów, znaczy potencjalnych rywali z własnej listy wyborczej. W ubiegłym tygodniu dostaliśmy informacje o wsadzeniu za kraty dwóch asystentów społecznych znanego ministra. Oraz o romansie pewnego posła z małoletnią, acz nieściganym przez prokuratora. Musimy zmartwić nasze tym razem nierzetelne wiewiórki. Rzadko kiedy polegamy tylko na jednym źródle, a takie informacje sprawdzamy szczególnie starannie. Ponadto oczernianie bezpodstawne czasem przynosi w polityce równie dobre efekty jak oczernianie uzasadnione. Niestety.

Gdy oczernianie jest uzasadnione, dobrze byłoby zamknąć je działaniami prokuratury i sądu. Ale nie jest to aktualnie takie oczywiste. Obserwujemy bowiem w prokuraturze i służbach ciekawe spowolnienie. Choć nie ma nic wspólnego z wakacjami, to jest to zjawisko cykliczne. Powtarza się zawsze w okolicach wyborów. Prokuratorzy i funkcjonariusze przyjmują wówczas tzw. pozycję wyczekującą, co oznacza faktyczny strajk włoski.

Inna sprawa, że nad ziobrową prokuraturą krąży duch łkającej Sawickiej. Widmo sytuacji, w której jakaś posłanka się rozbeczy i zmieni wynik wyborów, skutecznie powstrzymuje wykonywanie tzw. realizacji. Tak w slangu prokuratorskim określa się zatrzymania podejrzanych. To jednak nie oznacza, że żadnych zatrzymań nie będzie. Będą. Ale realizacje dotkną osobników płci męskiej i raczej nie takich, którzy mdleją na widok CBA.

Apropos ludzi mdlejących na widok CBA. Współczujemy mieszkańcom pięknego wielkopolskiego Kórnika. Plan wystawienia w tamtejszym okręgu senackim niejakiego Giertycha Romana, mecenasa zwanego Koniem, wydaje nam się okrucieństwem ponad miarę. Jednak tam 70 proc. ludzi głosuje na PeŁo, więc sami będą sobie winni.

Niektórym wydaje się, że najdłuższy polski mecenas chce do parlamentu, żeby rozliczać, piętnować i niszczyć PiS, ale wiadomo, że chodzi o immunitet. To cenna rzecz. Na przykład taki marszałkissimus Tomasz Grodzki skutecznie unika jego uchylenia już od ponad 800 dni. Co oznacza, że opozycja realizuje już własny program „800+". Dość specyficzny, ale nie czepiajmy się szczegółów.

Przy okazji chryi o to, skąd ma kandydować Roman i czy nie jest to złamanie paktu senackiego, objawił się Tomasz Siemoniak z tezą, że Giertych to taki Kmicic. No nie, jednak nie. Jeśli już, to raczej płk Kuklinowski.

Jeszcze o pakcie senackim. Jeszcze nie został zawarty, a już trzeszczy w szwach. I to nie tylko za sprawą mecenasa. Platforma jest szantażowana przez swoje opozycyjne przystawki, że jeśli nie dostanie więcej miejsc w Senacie, to wystawi swoich kandydatów bez oglądania się na Tuska. To zaś oznacza, że Senat niekoniecznie musi wpaść w ręce opozycji, zwłaszcza że badania pokazują, że w dotychczasowych okręgach uważanych za bastiony opozycji niekoniecznie musi wygrać ich przedstawiciel.

Skoro już o Eine Totalopposition. Media obiegła historia sędziego z Podkarpacia, gwiazdy stowarzyszenia Iustitia, który wjechał swoim samochodem do rowu, a potem dał dyla i nikt nie wiedział dokąd. Mamy swoją teorię. Być może sędzia chciał dotrzeć na Wielki Marsz Donalda do Warszawy, ale doszedł do wniosku, że pójdzie pieszo, jako pielgrzym. Za co miałby pokutować? – ktoś zapyta. No jak to za co? Że zbyt słabo zwalcza PiS!

Ciekawa rzecz związana z weekendem marszowym w stolicy. Zły Donald z Sopotu zwoływał swoich zwolenników na niedzielę, podczas gdy na sobotę skrzykiwali się uczestnicy jubileuszowego Marszu Wyzwolenia Konopi. Co z jakichś powodów przypomina nam puentę słynnego wiersza Andrzeja Bursy „Sylogizm prostacki". Brzmi ona: „nie znajduję specjalnej różnicy".

Z jakichś powodów wśród czytelników naszej rubryki wielką popularność robi wymyślone przez Piotra Zgorzelskiego określenie koalicji Peezel-Polska

eprasa.pl dced4af17a

Platforma jest szantażowana przez swoje opozycyjne przystawki, że jeśli nie dostanie więcej miejsc w Senacie, to wystawi swoich kandydatów bez oglądania się na Tuska

2050, który mówił o sojuszu świnek z kurkami. Przypomnijmy, że oficjalnie ta koalicja żywnościowa zwie się Trzecia Droga. Jeden z czytelników podpowiada, że pierwszym ideologiem Trzeciej Drogi był niejaki Muammar Kaddafi, który swoje rojenia zawarł w – uwaga! – zielonej książeczce! Ten sam Kaddafi wpadł na pomysł, by dla poprawienia sytuacji żywnościowej Libii każdy Libijczyk, zwłaszcza ten mieszkający w blokach, hodował kurki. Przypadek?

Po stolicy krążą tymczasem plotki, jakoby Rafcio Trzaskowski miał kandydować do Sejmu, i to ze Śląska. Oznaczałoby to pojedynek zastępczy Rafcia z premierem Mateuszem. A pojedynek właściwy miałby miejsce w Warszawie, to znaczy Donald versus Jarosław. Trzymamy kciuki za taką decyzję, bo oznacza to, że po tym, jak był solą ziemi krakowskiej oraz warszawskiej, teraz Rafcio zostałby solą ziemi czarnej. Czyli jak Bronisław Komorowski mógł mówić, że jest „z całej Polski". Zdradzimy przy okazji jedną rzecz – źli ludzie mówią, że nawet Bronek był od Rafcia bardziej pracowity.

W ubiegłym tygodniu na przejściu granicznym gościł wiceminister spraw wewnętrznych Bartosz Grodecki. Spotykał się z szefową niemieckiego MSW Nancy Faeser. I zrobił wrażenie na obecnych tam paniach. Posłuchaliśmy, jak wymieniały uwagi na jego temat, w których powtarzało się młodzieżowe słowo „geil". Na polski można to przetłumaczyć jako „ciacho". Wiceminister odniósł sukces. Jego niemiecka koleżanka pod niebiosa wychwalała polskie władze i ani słowem się nie zająknęła na temat praworządności.

Wogóle w tej sytuacji zalecamy wysyłanie na fora międzynarodowe – ze szczególnym uwzględnieniem Niemiec – większej liczby ciach. Na Niemki to działa. Taki premier Bułgarii, niejaki Bojko Borisow, tak kiedyś oczarował Angelę Merkel, że cała Unia Europejska przymykała i nadal przymyka oczy na katowanie opozycji, permanentny kryzys rządowy i największą we wspólnocie korupcję. Bułgaria od dawna wydaje (choć chyba właściwszym w tej sytuacji słowem byłoby „prywatyzuje") pieniądze z KPO i nikt nie mówi o żadnej praworządności. Inna sprawa, że sami nie wiemy, co takiego dostrzegła Angela w tym byłym ochroniarzu Todora Żiwkowa. Nam się wydaje dość nieciekawy. I nie mówimy tylko o urodzie. ©℗

REKLAMA

eprasa.pl dced4af17a

DONOS NA SĘDZIEGO MARCINIAKA

Jeden z najlepszych piłkarskich sędziów na świecie – Szymon Marciniak – wystąpił na imprezie biznesowej zorganizowanej przez lidera partii Nowa Nadzieja (wchodzącej w skład Konfederacji) Sławomira Mentzena w Katowicach. Opowiadał tam o swojej drodze zawodowej, o porażkach i sukcesach. Wspominał, że niebawem sędziował będzie finał Ligi Mistrzów. – Zrównam się z największymi, Pierluigim Colliną, Howardem Webbem, Nicolą Rizzolim – mówił. I dodawał, że największym sukcesem dla niego jako sędziego było jednak sędziowanie finału mistrzostw świata (Argentyna – Francja, podczas mundialu w Katarze).

Po tym wydarzeniu stowarzyszenie Nigdy Więcej zaapelowało do UEFA i FIFA o „wyciągnięcie konsekwencji" wobec sędziego. Według stowarzyszenia Marciniak wziął udział w wydarzeniu networkingowym, ale „wyraźnie służącym promocji programu politycznego Mentzena". Tu wyjaśniono, że polityk związany jest ze skrajnie prawicową Konfederacją, której nazwa „została zainspirowana Konfederacją Południa, która broniła niewolnictwa podczas wojny secesyjnej". Stowarzyszenie wspomniało też, że w 2019 r., podczas kampanii do europarlamentu, polityk mówił o pięciu postulatach Konfederacji: „Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej". W apelu do UEFA stowarzyszenie wspomniało też, że Mentzen jako producent piwa oferował piwo White IPA Matters, które „kpiło z ruchu Black Lives Matter".

Po tym apelu piłkarska federacja wydała komunikat. „UEFA jest świadoma zarzutów dotyczących Szymona Marciniaka i domaga się pilnych wyjaśnień. UEFA i cała społeczność piłkarska brzydzą się wartościami promowanymi przez wspomnianą grupę i traktują te doniesienia bardzo poważnie" – napisano w nim.

Sędzia Marciniak wydał własne oświadczenie, które przesłał działaczom stowarzyszenia oskarżającego go o udział w imprezie skrajnej prawicy. „Będąc od wielu lat międzynarodowym sędzią piłkarskim, zawsze na pierwszym miejscu stawiam fair play oraz szacunek do drugiego człowieka i pragnę przekazywać te najwyższe wartości innym. Zawsze odcinam się od przejawów rasizmu i antysemityzmu, i braku

FOT. JAKUB KAZMARCZYK/PAP

eprasa.pl dceed4af17a

tolerancji, co pokazuję na meczach, na których sędziuję. Zawsze mówię stop nienawiści i będę propagować, że najważniejsze jest bycie dobrym człowiekiem" – podkreślił Marciniak.

Sędziego bronił też Sławomir Mentzen, który stwierdził, że Nigdy Więcej pomyliło dwie organizowane przez niego imprezy, czyli „Everest" z „Piwem z Mentzenem". Lider Nowej Nadziei tłumaczył, że podczas pierwszej z imprez nie pojawiały się żadne polityczne deklaracje czy agitacja. Były to jedynie wystąpienia ludzi ze świata biznesu, którzy dzielili się z prelegentami swoimi doświadczeniami. „Dlatego donos na Szymona Marciniaka, w którym organizacja Nigdy Więcej oskarża go o wspieranie jakiejkolwiek partii politycznej, jest absurdalny. Nigdy nie wyraził żadnego poparcia dla mojej działalności politycznej, a wykluczenie go z sędziowania finału Ligi Mistrzów z tego powodu byłoby głębokim nadużyciem" – stwierdził Mentzen na Twitterze.

Najpierw – jak wynikało z nieoficjalnych informacji – sędzia miał zostać zawieszony przez UEFA. Wszystko wskazywało na to, że nie poprowadzi finału Ligi Mistrzów.

Takie doniesienia zbulwersowały ludzi, którym daleko do Konfederacji. „Nie jestem wyborcą Mentzena. Ale jeśli Szymon Marciniak straci finał Ligi Mistrzów za ten występ na jego konferencji (nie wiecu politycznym, nie kongresie partii), to będzie to nie tylko kara niewspółmierna do »winy«, ale zwykłe k....stwo" – napisał na Twitterze dziennikarz Michał Pol z Kanału Sportowego. A publicysta Rafał Rostowski przypomniał, że sędzia Marciniak był pierwszym sędzią w polskiej Ekstraklasie, który przerwał mecz i rozpoczął procedurę antyrasistowską.

„Kłamliwe donosy na sędziego Szymona Marciniaka mogą pozbawić go prawa sędziowania najważniejszych meczów w Europie. Spróbujmy zatrzymać to szaleństwo" – zaapelował wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński. I poinformował, że minister sportu Kamil Bortniczuk wysłał oficjalne pismo do UEFA z wyjaśnieniami sprawy donosu na sędziego.

W piątek UEFA poinformowała, że Szymon Marciniak wyjaśnił sprawę i będzie sędziował finał Ligi Mistrzów. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

eprasa.pl dced4af17a

Korea Południowa

eprasa.pl dced4af17a

Premier Mateusz Morawiecki i szef MON Mariusz Błaszczak przy koreańskich czołgach K2 zakupionych dla polskiego wojska, Morąg, 9 grudnia 2022 r.

FOT. STANISŁAW BIELSKI/REPORTER

Europy

Jakub Wozinski

Zwiększenie stanu liczebnego polskiej armii jest bezwzględnie potrzebne, ale osiągnięcie tego celu może być nie lada wyzwaniem z przyczyn demograficznych i finansowych

Idea podwojenia liczby zawodowych żołnierzy w Polsce po raz pierwszy stała się czymś więcej niż tylko polityczną zapowiedzią w październiku 2021 r. Do polskiego rządu zaczęły już wówczas docierać raporty amerykańskiego wywiadu wskazujące na to, że rosyjska agresja na Ukrainę jest już tylko kwestią czasu i niemal z dnia na dzień minister Mariusz Błaszczak ogłosił, że Polska w ciągu dekady doczeka się armii liczącej aż 250 tys. żołnierzy zawodowych i ok. 50 tys. żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej.

DEMOGRAFICZNY ZNAK ZAPYTANIA

Jeżeli początkowo plany MON mogły się wydawać nieco przesadzone, to już w lutym 2022 r. okazało się, że są w pełni uzasadnione czy wręcz nawet spóźnione. Do czasów objęcia rządów przez Zjednoczoną Prawicę stan liczebny wojska zawodowego był praktycznie nieustannie redukowany i w 2015 r. sięgnął poziomu zaledwie 95 tys. żołnierzy. Jednakże nawet w chwili, gdy minister Błaszczak wygłaszał swoje przemówienie, było ich wciąż ok. 113 tys. Wcielenie w życie rządowego planu oznaczało tym samym więcej niż podwojenie liczebności armii, która po raz ostatni była tak wielka tuż po upadku komunizmu.

Kluczowa przy realizacji tak wielkiego przedsięwzięcia ma być uchwalona w kwietniu ubiegłego roku Ustawa o ochronie Ojczyzny, która zakłada wzrost wydatków na obronność do co najmniej 3 proc. PKB oraz kompleksową modernizację uzbrojenia armii. Dzięki niej już do końca ubiegłego roku liczba zawodowych żołnierzy zwiększyła się o ok. 14 tys. osób. Sam ten fakt pokazuje natomiast, z jak

eprasa.pl dced4af17a

wielkim wyzwaniem będzie się musiało mierzyć polskie państwo w kolejnych latach. Aby bowiem za 10 lat zawodowych żołnierzy było już 250 tys., każdego roku do armii musiałoby dołączać co najmniej kilkanaście tysięcy osób. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego za 10 lat w każdym z roczników podlegających rekrutacji do wojska będzie już poniżej 200 tys. mężczyzn, a w kolejnych już zdecydowanie poniżej 150 tys.

Przy nasilającej się z roku na rok katastrofie demograficznej utrzymanie ćwierćmilionowej armii będzie więc nie lada wyzwaniem nie tylko z powodu stale malejącej liczby osób zdolnych do służby, lecz także z powodu rosnącego ciężaru finansowego w postaci osób w wieku poprodukcyjnym. Według danych ZUS do końca dekady w naszym liczącym 36,6 mln osób kraju na każdego emeryta będą przypadały już tylko dwie osoby w wieku produkcyjnym (jeszcze przed pandemią stosunek wynosił ten 1:3). Brutalne fakty są takie, że im więcej osób znajdzie zatrudnienie w zawodowym wojsku, tym większy ciężar pozostanie do utrzymania na barkach stale kurczącej się liczby osób pracujących w całej gospodarce. O ile nie wydarzy się demograficzny cud, o tyle licząca 250 tys. zawodowych żołnierzy armia będzie więc stanowiła nie lada wyzwanie dla rodzimego rynku pracy, na którym już w tej chwili brakuje pracowników w niemal każdej branży.

POZABUDŻETOWE WSPARCIE

Na cud demograficzny na razie nie ma co liczyć, gdyż z perspektywy rządu zdecydowanie większy priorytet posiadają choćby kwestie klimatyczne. Warto więc przynajmniej rozważyć, czy projekt wielkiej jak na polskie warunki armii ma odpowiednie podstawy finansowe. Zgodnie ze wspomnianą ustawą o ochronie kraju na armię mają płynąć dodatkowe środki, m.in. poprzez powołany do życia Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych, który zastąpił wcześniej istniejący Fundusz Modernizacji Sił Zbrojnych. Jesienią ubiegłego roku zrezygnowano z emisji pierwszej transzy obligacji, choć ostatecznie do końca roku udało się pozyskać 15 mld zł. W obecnym roku planuje się, że Fundusz uda się zwiększyć o kolejne 40 mld zł, a zasilać go mają także wpłaty z budżetu państwa i Narodowego Banku Polskiego.

40 mld zł

O TYLE MA ZOSTAĆ ZWIĘKSZONY W TYM ROKU FUNDUSZ WSPARCIA SIŁ ZBROJNYCH

Jeszcze do niedawna premier Mateusz Morawiecki kreślił bardzo swobodne plany finansowania wielu przedsięwzięć przy pomocy funduszy pozabudżetowych, czyli takich, które nie podlegają bezpośrednio budżetowym regułom wydatkowym. Niedawno w tej kwestii nastąpił zwrot i zgodnie z rządowym planem konsolidacji finansów publicznych niemal wszystkie fundusze obsługiwane przez Bank Gospodarstwa Krajowego mają, począwszy od 2024 r., zostać stopniowo włączone do budżetu państwa. Wyjątek uczyniono jedynie dla dwóch z nich: Krajowego Funduszu Drogowego oraz Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych. Oznacza to, że sam rząd ma poważne wątpliwości co do tego, czy związane z rozbudową sił zbrojnych wydatki nie będą na tyle wysokie, że przerosną możliwości tradycyjnego budżetu.

PŁACOWY ZAWRÓT GŁOWY

W 2023 r. w budżecie MON wydatki na wynagrodzenia żołnierzy zawodowych i pracowników cywilnych armii zaplanowano na 16,68 mld zł. Gdyby jednak armia miała się podwoić, już dziś potrzeba byłoby nawet 25–30 mld zł więcej – i to przy ostrożnych szacunkach. Zwiększenia liczby żołnierzy zawodowych nie sposób zadekretować przy pomocy ustawy. Przyszłych żołnierzy trzeba będzie przyciągnąć do armii atrakcyjnymi stawkami wynagrodzenia, które dziś pozostawiają nierzadko wiele do życzenia. Od 1 marca w wojsku podniesiono kwotę uposażenia podstawowego o 400 zł, co było koniecznością wobec szalejącej inflacji. Według oficjalnych danych średnie wynagrodzenie wraz z dodatkami wynosi obecnie 7976 zł brutto, lecz aby ściągnąć do wojska drugie tyle osób co dzisiaj i utrzymać atrakcyjny poziom wynagrodzenia, fundusz płacowy MON będzie musiał wzrosnąć dużo bardziej, niż wskazują to obecne prognozy.

Oprócz wynagrodzeń dla obecnych żołnierzy dochodzi także kwestia emerytur wojskowych. W 2023 r. będzie to wydatek rzędu 9,5 mld zł, choć jeszcze w połowie ubiegłej dekady przeznaczano na nie połowę tej kwoty. Chęć posiadania większej armii wiąże się w sposób nieuchronny z koniecznością łożenia coraz większych środków na uposażenia dla żołnierzy, którzy korzystają z wyższych świadczeń i przechodzą na emeryturę znacznie wcześniej niż zdecydowana większość pracowników.

NIE TYLKO PIENIĄDZE

Pieniądze są oczywiście ważne, by nie powiedzieć – najważniejsze, lecz ostatnie miesiące wszystkim trzeźwym obserwatorom uzmysłowiły także, jak wiele w polskiej armii musi się jeszcze zmienić, aby faktycznie uczyniła właściwy pożytek z łożonych na nią środków. Opinia publiczna mogłaby patrzeć na zapewnienia władzy o dobrym przygotowaniu naszego wojska do wszelkich wyzwań bojowych w dużo bardziej przychylny sposób, gdyby w ostatnim czasie na Polskę nie spadł m.in. rosyjski pocisk manewrujący, który zdołał dotrzeć aż do Kujawsko-Pomorskiego. Jeśli najsilniejsza armia lądowa Europy in statu nascendi zdołała zaliczyć w warunkach pokojowych tak sporą wpadkę, to czeka ją jeszcze ogrom pracy nad kwestiami organizacyjnymi i wizerunkowymi, której nie zastąpią nawet setki miliardów złotych.

Ostatnie incydenty ze spadającymi na Polskę przedmiotami obnażyły także wszelkie niedomagania związane z zarządzaniem armią oraz relacjami na linii armia – MON. Wystarczyła seria teoretycznie niegroźnych incydentów, a minister Błaszczak zdążył się skonfliktować z częścią generałów, co niespecjalnie optymistycznie rokuje w kontekście ewentualnych naprawdę poważnych i kryzysowych sytuacji. Na całym świecie tego rodzaju polityczne przepychanki są oczywiście na porządku dziennym, jednakże do całej sytuacji nie doszłoby nigdy, gdyby obie strony zachowały się tak, jak by się tego od nich oczekiwało, gdy jeszcze sprawa nie wyciekła do mediów.

Od kiedy władzę przejęła Zjednoczona Prawica, parady z okazji dnia Wojska Polskiego są zdecydowanie bardziej okazałe niż we wcześniejszych latach. Pomiędzy tym wizerunkowym zabiegiem a prawdziwymi zdolnościami bojowymi

eprasa.pl dced4af17a

i organizacyjnymi istnieje jeszcze spory rozdźwięk. Przez wiele lat niedoinwestowana i bazująca w niektórych obszarach na starym sprzęcie polska armia zaliczała się do średniaków, a opuszczenie tego grona zajmie z pewnością więcej niż deklarowane przez władze dwa lata.

Ponadto dysponowanie określonym sprzętem i oddziałami a umiejętność wykorzystania ich w boju to dwie różne sprawy, o czym można najlepiej przekonać się na przykładzie Ukrainy, która za sprawą ciągnącego się od 2014 r. konfliktu zdołała stworzyć armię o sporej sile bojowej. Trudno obwiniać Polskę o to, że takiej sposobności przez ostatnie lata nie miała, jednakże prezentowany w czasie defilad czy medialnych pokazów sprzęt nie do końca oddaje to, na co nas realnie stać. Efektywne wdrożenie każdego zakupionego sprzętu zajmuje zresztą co najmniej kilka lat, a polskie wojsko znajduje się w przededniu być może największych zakupów w swojej dotychczasowej historii.

Uczciwie rzecz biorąc, należałoby więc stwierdzić, że polska armia ma jeszcze do przebycia naprawdę bardzo długą drogę w zakresie organizacyjnym. Bez względu na to, ile energii obecna ekipa rządząca włożyła do tej pory w to, aby zerwać z wieloma patologicznymi zjawiskami, ewentualne przekształcenie polskiej armii w najpotężniejszą siłę lądową na kontynencie wymagało skrajnego wręcz wysiłku i długo niewidzianej w warunkach naszego życia politycznego konsekwencji.

NIEPOKOJĄCA MEGALOMANIA

Nie jest dziełem przypadku to, że zapowiedź budowy największej od wielu lat armii zbiegła się w czasie z innymi zapowiedziami obecnej władzy roztaczającymi przed Polakami wizję błyskawicznego awansu materialnego. Wprowadzaniu od początku 2022 r. Polskiego Ładu towarzyszyła obietnica podniesienia poziomu zamożności Polski do tego, który jest obserwowany na Zachodzie. Nadzieje na osiągnięcie tego celu są podtrzymywane także w trakcie obecnej kampanii wyborczej: na niedawnym spotkaniu z wyborcami Jarosław Kaczyński wyraził przekonanie, że do 2030 r. „polska rodzina będzie miała więcej niż angielska". Podobne przekonanie powtórzył niedawno także prezes NBP Adam Glapiński, który uważa, że w ciągu mniej więcej ośmiu lat osiągniemy obecny poziom realnego dochodu w przeliczeniu na głowę, jaki jest obecnie we Francji. Wykonalność takiego projektu stanęła jednak pod wielkim znakiem zapytania już w ubiegłym roku, gdy w następstwie galopującej inflacji realne płace w Polsce wyraźnie się skurczyły. Wpatrzeni w niezbyt miarodajny wskaźnik PKB per capita zdają się przy tym zapominać, że pod względem posiadanego majątku i płac nadal wcale nie nadganiamy najbogatszych państw Europy Zachodniej.

W identyczny sposób aspiracje polskiego rządu względem wielkości i siły naszej armii mogą w pewnym momencie zostać zweryfikowane przez twarde gospodarcze i demograficzne realia.

Projekt znaczącej rozbudowy potencjału militarnego jest w pełni uzasadniony, lecz towarzyszy mu zdecydowanie zbyt wysoki poziom życzeniowego myślenia. W mediach szerokim echem odbiła się niedawno wypowiedź ministra Błaszczaka, który zapowiedział, że w ciągu dwóch lat Polska będzie dysponowała najsilniejszą armią lądową w całej Europie. Zakupy dokonywane przez polską armię są rzeczywiście imponujące i zdecydowanie większe niż jakiegokolwiek innego państwa na kontynencie. Utrzymanie największej armii lądowej w Europie spadnie jednak na barki średnio zamożnego społeczeństwa wkraczającego coraz bardziej w fazę ostrego kryzysu demograficznego. Tymczasem zgodnie z zapowiedziami ministra obrony narodowej 250 tys. żołnierzy „to nasz plan minimum".

KOREAŃSKIE ANALOGIE

Trudno jednak sobie wyobrazić, w jaki sposób 250 tys. zawodowych żołnierzy wraz z 50 tys. żołnierzy z WOT miałoby stanowić „plan minimum", skoro niemal do podobnej wielkości będzie niedługo musiała zredukować swój stan liczebny zajmująca szóste miejsce w rankingu Global Firepower armia południowokoreańska. Jeszcze do niedawna w liczącym regularnie ponad 600 tys. osób wojsku Korei Południowej połowę stanowili zawodowcy. Od ubiegłego roku jej stan liczebny został zredukowany do 522 tys. osób, a stale spadająca liczba mężczyzn w wieku poborowym sprawia, że do końca przyszłej dekady w wojsku będzie już zapewne co najwyżej 300–350 tys. osób. Do tego dochodzą czynniki kulturowe sprawiające, że coraz mniej młodych osób chce w ogóle służyć w armii, a jeszcze mniej w ogóle się do tego nadaje. Problem ma nawet świetnie opłacana amerykańska armia: według danych Pentagonu zaledwie 9 proc. młodych ludzi wyraża skłonność do służby, a wszystkie formacje sił zbrojnych w USA nie zdołały przeprowadzić w minionym roku pełnego naboru. Te same zjawiska dają o sobie znać praktycznie wszędzie, w tym w Polsce.

Warto zauważyć, że Korea Południowa liczy wciąż ponad 51 mln mieszkańców, czyli ponad 13 mln więcej niż Polska. Co prawda, nasza dzietność (1,38) jest lepsza niż Korei (1,08), lecz i tak nie stawia nas w dużo lepszej sytuacji, gdyż szybko nadrabiamy dzielący nas dystans. Podstawowa różnica między naszymi krajami polega jednak na tym, że Korea Południowa jest dużo bardziej zamożna i przeznaczała na armię przez ostatnie 30 lat blisko 3 proc. PKB niemal każdego roku. Ostatnie trzy dekady były jednak dekadami bezprecedensowego wzrostu, a najbliższe lata przedstawiają się co najwyżej jako okres przedłużającej się stagnacji połączonej z wysoką inflacją.

250 tys.

TYLU ŻOŁNIERZY ZAWODOWYCH MA SŁUŻYĆ W POLSKIEJ ARMII ZA 10 LAT

W razie upadku Ukrainy Polska znajdzie się w sytuacji analogicznej do tej, w jakiej Korea Południowa znajduje się od 1953 r., i wszelkie wydatki na wojsko będą w pełni uzasadnione. Nie wiadomo oczywiście, czy do tego dojdzie, ale lepiej być na taką ewentualność przygotowanym. Na przykładzie Korei Południowej widać jednak wyraźnie, z jak wielkim wyzwaniem będzie się wiązało utrzymanie liczącej ćwierć miliona nowocześnie wyposażonej zawodowej armii. Mając przy swojej północnej granicy rozlokowanych kilkadziesiąt dywizji Koreańskiej Armii Ludowej, obywatele Korei Południowej mają stałą motywację do tego, aby łożyć na swoją armię znaczne kwoty. Tego

eprasa.pl dced4af17a

typu wyzwanie jest jednak dużo łatwiejsze, gdy ma się najbardziej innowacyjną gospodarkę świata i własne marki technologiczne o globalnym zasięgu.

TUŻ ZA SUPERPOTĘGAMI

Wspomniany już ranking Global Firepower pokazuje jednocześnie, jak wielkiego skoku chce dokonać Polska w zakresie siły militarnej. Mimo że sam ranking jest zdecydowanie bardziej medialny niż fachowy i nie odwzorowuje dokładnie realnej siły militarnej danego państwa, można dziś śmiało zakładać, że Polska celuje w zajęcie w nim miejsca nawet w pierwszej dziesiątce zestawienia. Jak wiadomo, do 2030 r. nasza armia ma mieć więcej czołgów niż Niemcy, Wielka Brytania, Francja, Włochy, Belgia i Holandia razem wzięte. Jeszcze w chwili wybuchu wojny na Ukrainie mieliśmy mniej niż 800 czołgów w czynnej służbie, lecz w ciągu najbliższych lat ich liczba ma się aż potroić. Jeśli do tego uwzględnimy zakup 48 koreańskich samolotów FA-50 oraz 32 sztuki F-35, to liczba myśliwców bojowych zwiększy się do niemal 160 (czyli więcej, niż mają choćby Niemcy czy Brytyjczycy). A to jeszcze nie koniec, ponieważ podpisano także wielkie kontrakty m.in na wyrzutnie rakiet, armatohaubice czy helikoptery bojowe.

W większości przypadków z pewnym zaokrągleniem można stwierdzić, że polska armia podwoi stan liczebny najważniejszych komponentów: począwszy od stanu liczebnego armii, a skończywszy na wyposażeniu. Wzrost naszego potencjału będzie więc ogromny nawet pomimo tego, że nie będziemy przecież posiadali broni atomowej, lotniskowców ani nowych łodzi podwodnych.

Wiele może się jeszcze przez najbliższe lata wydarzyć, lecz najbardziej na społeczne wyobrażenie co do kierunku, w którym zmierzamy, powinno zadziałać zdanie sobie sprawy z tego, które kraje będą docelowo wyprzedzać nas w rankingach siły militarnej. Wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi oprócz wspomnianej Korei Południowej wyżej od nas będą jedynie światowe supermocarstwa: Stany Zjednoczone, Chiny, Indie i Rosja, a także regionalne potęgi dysponujące dużo większym potencjałem ludnościowym lub terytorialnym, jak choćby Japonia, Pakistan czy Brazylia. W polityce

Polskę powinno być stać na tak dużą armię, ale będzie to wymagać przedefiniowania priorytetów polskiego państwa

międzynarodowej trzeba sobie stawiać niezwykle ambitne cele, lecz statystyczny Polak wciąż nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo ambitnego zadania podjęła się władza.

Aby utrzymać tak silną armię przy średnich rozmiarach państwa, potrzebna będzie tak naprawdę zmiana sposobu myślenia o wszystkich wydatkach publicznych i organizacji życia społecznego. Awans w rankingu siły militarnej będzie bowiem pociągał za sobą również nieuchronnie awans w rankingu najbardziej zmilitaryzowanych krajów świata, do których należą m.in. Izrael, Cypr, Grecja czy oczywiście Korea Południowa. Wypada tylko mieć nadzieję, że wysoki stopień militaryzacji przybierze charakter właściwy dla krajów, które zamiast uczynić z niego wyłącznie ciężar dla finansów publicznych, zdołały wykorzystać go jako szansę na dynamiczny rozwój wielu branż powiązanych z przemysłem zbrojeniowym. Przyglądając się jednak długiej liście zakupowej polskiej armii realizowanej głównie w Stanach Zjednoczonych i Korei Południowej, można żywić uzasadnione obawy co do tego, czy faktycznie się tak stanie.

WYDATKI PILNE I ZBYTECZNE

Jak już wspomniano, zgodnie z Ustawą o obronie Ojczyzny na utrzymanie armii planuje się przeznaczać co najmniej 3 proc. PKB. To połowa pieniędzy, które polskie państwo wydaje obecnie na służbę zdrowia. Polskę powinno więc być stać na bardzo dużą armię, lecz utrzymanie tak wysokiego poziomu finansowania będzie wymagało przedefiniowania priorytetów polskiego państwa.

Obecnie bezsprzecznie najważniejszy dla finansów publicznych stał się polityczny projekt zielonej transformacji. Rządzący coraz częściej sami przyznają otwarcie, że program osiągnięcia zeroemisyjności to tak naprawdę plan celowego spowolnienia rozwoju gospodarczego i zniszczenia konkurencyjności naszego kraju poprzez sztuczne zawyżenie kosztów produkcji czy też cen energii. Równie niebezpiecznym obliczem ekologizmu są także monstrualne wydatki publiczne, do których zobowiązał się rząd, związane m.in. z dostosowaniem budynków do zielonych standardów, budowy infrastruktury dla pojazdów z napędem elektrycznym czy też całkowitą przebudową narodowego systemu energetycznego. Innymi słowy, polskie państwo wpakowało się właśnie w niekończącą się serię ekowydatków, które z definicji mają ograniczyć tempo wzrostu gospodarczego, choć w naszej sytuacji tylko dynamiczny rozwój może pomóc utrzymać tak wielką i nowoczesną armię, do której utworzenia dążą rządzący.

Osobnym problemem jest również to, że w sytuacji, gdy potrzeby armii wydają się tak wielkie jak nigdy dotąd, rządzący wciąż nie potrafią powstrzymać wydatków na kwestie drugorzędne. Polacy z pewnością poradzą sobie bez 14. emerytury, „darmowych" laptopów dla czwartoklasistów czy też kolejnej podwyżki płacy minimalnej, lecz bez odpowiedniej liczby pancernych dywizji mogą nie utrzymać niepodległości.

Doceniając intencję budowy dużej i świetnie uzbrojonej armii, nie sposób nie dostrzec jednak w pomysłach ministra Błaszczaka pewnych istotnych słabych stron. Wbrew bardzo łechcących naszego ego zapewnień o szczególnej pozycji Polski na arenie międzynarodowej, wypowiadanych w ostatnim czasie przez rozmaite środowiska, nasze miejsce w gospodarczym porządku dziobania na świecie wcale nie jest tak bardzo wyróżnione. A w ostatecznym rozrachunku to właśnie gospodarcza siła decyduje najbardziej o tym, jaką armię jesteśmy w stanie utrzymać.

Chłodna analiza naszej kondycji demograficznej i gospodarczej powinna raczej skłaniać do przyjęcia dużo bardziej pokornej postawy. Byłoby świetnie, gdyby dzięki mądrze przeprowadzonym inwestycjom Polska mogła w kwestiach militarnych zależeć od siebie w tak dużym stopniu, jak to tylko możliwe, ale nakreślony program zwiększenia liczebności armii będzie bardzo trudno wcielić w życie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

ALIOR BANK

KREDYT ZE STAŁĄ RATĄ

NA TAKIEJ RACIE MOŻNA SIĘ OPRZEĆ

www.aliorbank.pl

RRSO 10,36%

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) „Kredytu ze stałą ratą" wynosi 10,36% i została wyliczona na reprezentatywnym przykładzie na 2.05.2023 r. Okres kredytowania wynosi od 3 miesięcy do 3 lat. Z oferty specjalnej mogą skorzystać klienci indywidualni, którzy nie posiadali w Alior Banku pożyczek gotówkowych lub kredytów konsolidacyjnych w żadnym z 12 miesięcy poprzedzających miesiąc złożenia wniosku. W ramach oferty nie ma możliwości konsolidacji wewnętrznej. Dla kwoty kredytu powyżej 70 000 zł brutto wymagane jest zabezpieczenie w formie cesji z umowy ubezpieczenia od następstw nieszczęśliwych wypadków oraz od utraty pracy. Ostateczne warunki kredytowania zależą od zdolności kredytowej klienta, kwoty kredytu, okresu kredytowania, daty wypłaty kredytu, daty płatności pierwszej raty oraz wymaganych przez bank zabezpieczeń. Szczegóły oferty oraz Taryfa opłat i prowizji dla Klientów Indywidualnych są dostępne w placówkach Alior Banku SA i na www.aliorbank.pl.

eprasa.pl dced4af17a

Państwowa komisja do spraw wygrania wyborów

Rafał A. Ziemkiewicz

Nikt nigdy nie odwołał nieformalnej „doktryny Kaczyńskiego", głoszącej, że na prawo od PiS nie powinno być nic poza ścianą. Rzekome „lex Tusk" to tak naprawdę „lex Konfederacja"

Trochę szkoda czasu na wyważanie otwartych drzwi, ale dla porządku trzeba zacząć od odpowiedzi na pytanie, czy deklarowana przez rządzących potrzeba zdemaskowania wpływów rosyjskich w Polsce w minionych latach, a w szczególności wpływu Kremla na decyzje podejmowane przez polskich polityków i urzędników – przyjmując, że istnieje taka konieczność – wymaga tworzenia nowej instytucji i czy właśnie formuła specjalnej państwowej komisji jest do tego najbardziej stosowna.

Czy dziewięć osób wybranych przez Sejm jest w stanie wyświetlić te sprawy lepiej niż cywilne i wojskowe służby specjalne, prokuratura, NIK i wydziały kontrolne poszczególnych resortów oraz inne powołane do tego agendy państwa? Przeciwnie, będzie im to trudniej zrobić, bo skuteczność narzędzi, za pomocą których mieliby wymuszać współpracę z komisją i dostarczanie żądanych dokumentów, jest mniejsza. Mają natomiast nad istniejącymi dotąd instytucjami jedną przewagę – tę mianowicie, że zdobywaną wiedzę będą mogli znacznie łatwiej niż służby czy prokuratura na bieżąco upubliczniać.

Co więcej, o ile dociekania istniejących instytucji podlegają procedurom i ich logice, a komunikaty mają charakter jednorazowy, o tyle komisja może dość swobodnie łączyć poszczególne wątki w medialne narracje w taki sposób, aby podtrzymywać ich istnienie w sferze publicznej przez dłuższy czas. W zalewającym przeciętnego wyborcę informacyjnym szumie i wobec jego, stwierdzanego przez socjologów, „przebodźcowania" podgrzewanymi od lat politycznymi emocjami jest to postrzegane jako warunek skutecznej perswazji.

NÓŻ Z GUMY?

Te same możliwości miałaby jednak sejmowa komisja śledcza, która, w przeciwieństwie do ostatecznie wybranej pozakonstytucyjnej „komisji państwowej", daje niekwestionowane narzędzia do wymuszania stawiennictwa świadków, przekazania wskazanych dokumentów etc. Dlaczego zatem zdecydowano się na formułę wątpliwą, skopiowaną z komisji zwanej potocznie reprywatyzacyjną, której wszystkie decyzje zostały unieważnione przez sądy? Skoro bezprawność tej formuły stwierdzają jednogłośnie wszystkie ośrodki eksperckie, także generalnie życzliwe rządzącym,

eprasa.pl dced4af17a

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

jak Instytut Ordo Iuris, wydaje się pewne, że nawet próby wzywania świadków – co dopiero konkluzje czy decyzje, w których prawo podejmowania wyposażył komisję ustawodawca – spotkają się z bojkotem, podtrzymanym decyzjami sądów.

Jedynym wyjaśnieniem jest to, że sejmowa komisja śledcza musiałaby zakończyć pracę wraz z Sejmem obecnej kadencji. Natomiast „państwowa komisja do spraw badania wpływów rosyjskich" będzie mogła procedować także w trakcie kampanii, aż do samych wyborów – a może nawet i po nich.

Dodać trzeba, że to, co najbardziej oburza krytyków komisji i co w istocie stanowi o jej bezprawności – obdarzenie prawem do podejmowania w trybie administracyjnym decyzji, jakie podejmować mogą tylko sądy, takich jak zakaz piastowania funkcji publicznych – w istniejącej sytuacji będzie mogło mieć tylko wymiar symboliczny. Niedwuznacznie zresztą zasugerował to prezydent, podejmując zaskakującą dla wielu i bardzo szybką decyzję o podpisaniu ustawy: ostatecznie przecież decyzje komisji podlegać będą normalnej, dwuinstancyjnej kontroli sądu (co prawda, o czym prezydent nie wspomniał, dopiero w trybie zaskarżenia decyzji administracyjnej). Zabrzmiało to jak Mickiewiczowskie „Cóż stąd, że bije? Nikogo nie zabił": spokojnie, ostatecznie przecież nikomu skutecznie komisja krzywdy nie wyrządzi.

Po co więc ona – skoro właśnie konieczność rozprawienia się z Tuskiem i jego ludźmi zupełnie otwarcie przedstawiają twardogłowi politycy PiS jako cel jej powołania? Wygląda to groteskowo, jakby PiS zamierzał się na lidera opozycji nożem, dla uspokojenia oburzonych świadków pokazując jednak od razu, że to nóż z gumy.

Podsumowując: komisja nie ma dowiedzieć się niczego, czego by już nie wiedziano, ani (choć tu mogą być niespodzianki) ujawnić niczego, co dotąd jawne nie było. Komisja ma, nazwijmy to, dystrybuować niesławę i podtrzymywać w debacie publicznej oskarżenia o agenturalność względem Putina, popierając je dowodami. Dowodami, których zmyślać ani fabrykować wobec PO i jej lidera, a także koalicyjnego w badanym czasie PSL, bynajmniej nie potrzebuje. W przeciwieństwie bowiem do lewicowo-liberalnej opozycji, która jeszcze niedawno tym samym oskarżeniem chciała zniszczyć PiS, opierając się na absurdalnych wynurzeniach gen. Pytla czy Tomasza Piątka, obóz rządzący może przywołać dziesiątki niewątpliwie prorosyjskich i antyamerykańskich decyzji, oświadczeń oraz innych działań swoich przeciwników z czasów sprawowania przez nich władzy. Przypomina je zresztą nieustannie od wielu już tygodni w swoich mediach; komisja jest po prostu jeszcze jednym pomysłem na wykorzystanie tego kapitału. Lepszym jego wykorzystaniem byłoby oczywiście postawienie Tuska, Pawlaka i innych przed prawdziwym sądem, ale do tego nie ma podstaw. Wspomniane decyzje i wypowiedzi były z dzisiejszego punktu widzenia niewątpliwie politycznymi błędami, wiadomo zresztą, czym motywowanymi – założeniem utrzymania Polski „w głównym nurcie" polityki niemieckiej. Ale niczego, co stanowiłoby złamanie prawa lub procesowy dowód agenturalności wobec Kremla, najwyraźniej w spuściźnie po rządach PO-PSL znaleźć się nie udało – stąd powołanie „parasądu".

TO NIE „LEX TUSK"

Lewicowo-liberalna opozycja podjęła zresztą ochoczo tę grę, widząc w niej swoje korzyści: przede wszystkim możliwość wykreowania Tuska na męczennika, prześladowanego przez reżim, umocnienia w ten sposób jego dominacji nad liderami mniejszych partii opozycyjnych i hegemonii w lewicowo-liberalnej „bańce" oraz wsparcia nowymi argumentami prowadzonej na użytek Zachodu kampanii przeciwko PiS jako „rządom bezprawia". Od pierwszej chwili więc, gdy pojawił się pomysł „powtórki z komisji weryfikacyjnej", tym razem dla rozegrania tematu rosyjskiego, media lewicowo-liberalne zaczęły narzucać taką właśnie narrację, m.in. lansując skutecznie nazwę „lex Tusk".

W istocie Tusk wcale nie jest głównym celem komisji. Powtórzenie podczas jej obrad i przesłuchań tych samych zarzutów, które od tygodni rezonują w sprzyjających rządowi i kontrolowanych przez PiS mediach, nie tworzy aż takiej „wartości dodanej", żeby opłacało się partii rządzącej i wywodzącemu się z niej prezydentowi jeść tę żabę. Z góry wiadomo, że „pisowska" część wyborców przyjmie prace komisji entuzjastycznie, część „peowska" pryncypialnie wszystko odrzuci, choćby stanął przed nią sam

eprasa.pl dced4af17a

Pan Bóg i wsparł antytuskowe zeznania cudami, a ci niezaangażowani emocjonalnie w międzypartyjną bijatykę nie dowiedzą się z prac komisji niczego takiego, co by na nich szczególnie wpłynęło.

Rzekome „lex Tusk" to tak naprawdę „lex Konfederacja". W walce z PO i jej przystawkami wiele dać PiS nie może – ot, odprawione zostaną kolejne figury coraz bardziej rytualnego tańca wzajemnej nienawiści i każdy pozostanie przy swoim stanie posiadania. Ale poza obozem PO PiS ma jeszcze jeden problem: jest nim coraz bardziej realna perspektywa zdobycia przez Konfederację w przyszłym Sejmie „pakietu kontrolnego", ponad 40-osobowego klubu poselskiego. Wbrew propagandzie mediów PO, kierujących się uparcie zasadą „kto nie z nami, ten z PiS", Jarosław Kaczyński nie ma najmniejszej ochoty zawierać z Konfederacją żadnych koalicji, a i Konfederacja nie wykazuje takich skłonności, zapowiadając twardo, że postawi warunki bardzo trudne dla PiS do spełnienia.

Na obecnym etapie kampanii uznano w PiS, że wzrost notowań Konfederacji jest korzystny, jako że czerpie ona głównie z wyborców „liberalnych" rozczarowanych wejściem PO w licytację z rządem na „rozdawnictwo socjalne" oraz „antysystemowych" zirytowanych aliansem Hołowni z PSL. Ale nikt nigdy nie odwołał nieformalnej „doktryny Kaczyńskiego", głoszącej, że na prawo od PiS nie powinno być nic poza ścianą. Poza wszystkim Jarosław Kaczyński wydaje się mieć niechęć do endecji wdrukowaną w duszę równie głęboko jak miłość do zwierząt – jako wielki autorytet swej młodości wskazuje przecież Jana Józefa Lipskiego, autora antyendeckiego paszkwilu „Katolickie Państwo Narodu Polskiego". Został już zresztą kiedyś przez sejmową arytmetykę i oczekiwania elektoratu zmuszony do koalicji z deklarującą się jako „narodowcy" (inna sprawa, na ile cynicznie) LPR i wiadomo, jak było.

KONFEDERACI I PUTINOWSKIE JACZEJKI

A tak się składa, że kwestia stosunku wielu polityków Konfederacji do Rosji, a także zbieżność pomiędzy antyukraińską narracją wielu z nich a linią propagandy rosyjskiej to słaby punkt tej formacji. I w ten punkt zamierza PiS kopnąć z całej siły w ostatnich tygodniach kampanii, wyciągając rozmaite zapomniane podróże i wypowiedzi Korwin-Mikkego i Brauna, a możliwe też, że nieznane na razie kontakty innych konfederatów z różnymi putinowskimi jaczejkami. Tylko tak wyjaśnić można nakreślony zakres czasowy, wyposażenie komisji w prawo zajmowania się nie tylko osobami pełniącymi funkcje publiczne, lecz także „mogącymi wywierać wpływ" i „szerzyć rosyjską dezinformację", czy słowa, że przed komisją powinno stanąć także „wielu dziennikarzy". Przypomnijmy, że pod tym pretekstem ABW uderzyła już w sympatyzujące z Konfederacją media, blokując strony internetowe wRealu24 i nczas.com.

Zarzutem prorosyjskości szermuje zresztą PiS wobec prawicowej konkurencji od lat, nie tracąc nadziei, że część rozczarowanego rządami PiS elektoratu tradycjonalistycznego, który skłonna jest widzieć w Bosaku i Mentzenie przedstawicieli tych samych wartości, właśnie z tego powodu ostatecznie jednak poprzeć ich się nie zdecyduje.

KOMENDANT LICYTUJE OSTRO

Jeśli w ogóle można tu mówić o „lex Tusk", to w zupełnie odwrotnym sensie, niż histeryzują politycy i media liberalnej lewicy – nie chodzi bynajmniej o „próbę wyeliminowania Tuska z życia publicznego" czy „uniemożliwienie mu kandydowania", coś podobnego zresztą w ogóle nie jest możliwe, choćby komisja nie wiem, jak chciała, i nie wiem, jak naginała prawo. Chodzi o rzucenie mu koła ratunkowego w chwili, gdy jego przywództwo w obozie antypisu zaczęło się chwiać.

Jak wyjaśnić odnotowaną wyżej skwapliwość prezydenta w ogłoszeniu, że kontrowersyjną ustawę podpisze? Dlaczego Andrzej Duda nie odczekał tygodnia, „analizując", aż odbędzie się „wielki marsz" Tuska zapowiedziany na 4 czerwca? Jedyne racjonalne wyjaśnienie brzmi: właśnie dlatego, żeby ten marsz wyszedł Tuskowi bardziej okazale. Bezpośrednim skutkiem prezydenckiej zapowiedzi było spektakularne ukorzenie się przed Tuskiem Kosiniaka-Kamysza i Hołowni. Wzmocnienie polaryzacji i podgrzanie przyklapłych już emocji „obrony praworządności" zwiększyło też gotowość „żelaznego elektoratu" Tuska do wyjścia na ulicę.

Sytuacja jest analogiczna, jak w 2020 r., kiedy to PiS pozwolił Platformie wymienić w trakcie wyborów kandydata na prezydenta. Gdyby nie to, do drugiej tury weszliby albo Hołownia, albo Kosiniak-Kamysz. Nawet gdyby ostatecznie ją przegrali (a szanse sukcesu mieli większe od Trzaskowskiego), to scena polityczna wyglądałaby dziś zupełnie inaczej, PO podzieliłaby los SLD, a PiS miałby przeciwko sobie opozycję nieobciążoną odpowiedzialnością za odrzucone przez wyborców rządy przed 2015 r.

Przywództwo Tuska nad opozycją gwarantuje PiS, że kampania wyborcza będzie po raz kolejny plebiscytem „Czy rządy Kaczyńskiego są generalnie lepsze niż wcześniejsze rządy Tuska". Jest to ze wszystkich możliwych osi sporu najwygodniejsza dla PiS; wygodne dla rządzących jest także brnięcie liberalnej lewicy w koleiny wrzasku o obronie demokracji i dopraszania się o interwencje z zagranicy – w które powołanie komisji po raz kolejny ją skierowało. Na dodatek wszystko wskazuje na to, że Tusk, podobnie jak przed 2014 r., gra nie na swój obóz, tylko na siebie, i wcale nie jest dla niego niekorzystna trzecia kadencja PiS, jeśli umożliwi mu to zmarginalizowanie Trzaskowskiego, Czarzastego, Hołowni i Kosiniaka-Kamysza, a tym samym uzyskanie dogodnej pozycji do startu w wyborach prezydenckich, w których wygrana dałaby mu możliwość powrotu na europejskie salony.

„Komendant" licytuje więc ostro: przekraczając granice, o których przekraczanie był dotąd tylko oskarżany, świadomie intensyfikuje polaryzację i podgrzewa emocje. Gra w to, w co od wielu lat wygrywa, wzmacniając wygodnego dla siebie wroga, ale też ryzykując. Kolejne rezolucje Parlamentu Europejskiego raczej nie są mu straszne, nawet przeciwnie, gdyż dotychczasowe, jak pokazują badania, mocno ostudziły dawny euroentuzjazm Polaków, z którego czerpała siły PO. Sojusznik amerykański w obecnej sytuacji raczej nie posunie się dalej niż „wyrażenie zaniepokojenia", zwłaszcza że przecież nic konkretnego za sprawą komisji się nie ma stać. Tylko czy ogół wyborców na tę kolejną „powtórkę z rozgrywki" zareaguje tak, jak reagował na poprzednie? Czy podgrzewanie w nieskończoność emocji plemiennych nie doprowadzi w końcu do ich przegrzania? Najwyraźniej Jarosław Kaczyński uznał, że dla utrzymania samodzielnej większości warto takie ryzyko podjąć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

Rządowa inkwizycja

Prezydent Andrzej Duda podpisał ustawę powołującą komisję do spraw rosyjskich wpływów i skierował ją do Trybunału Konstytucyjnego FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

Łukasz Warzecha

Komisja do spraw rosyjskich wpływów będzie mogła się znęcać nad niepasującymi władzy dziennikarzami, działaczami organizacji pozarządowych czy lekarzami, którzy w czasie pandemii ośmielili się mieć krytyczny stosunek do rządowej polityki zdrowotnej

Andrzej Duda miał w czasie swoich dwóch i pół kadencji momenty lepsze i gorsze. Niektórzy uważają jednak, że tę prezydenturę zdefiniowało już na samym początku nocne zaprzysiężenie sędziów Trybunału Konstytucyjnego w grudniu 2015 r., dokonane pod presją partii matki. Podpisanie ustawy o komisji do spraw rosyjskich wpływów może być równie znaczące i symboliczne. W ten oto bowiem sposób pan prezydent zgodził się na wprowadzenie do polskiego ładu prawnego instytucji bezprecedensowej: quasi-sądowego organu administracji o ogromnych kompetencjach, pozostającego właściwie poza wszelką kontrolą, a zdolnego do zdemolowania polskiego życia publicznego.

KOMISJA Z UPRAWNIENIAMI

Komisja ma być organem administracji i jej decyzje mają taki właśnie charakter – decyzji administracyjnych. Dlatego przywołanie przez pana prezydenta, gdy uzasadniał swą decyzję, komisji ds. Rywina było manipulacją. Tamta komisja była sejmową komisją śledczą i działała na podstawie ustawy o takiej komisji z 1999 r. Oznaczało to, że – po pierwsze – jej działalność była powiązana z kadencją Sejmu, po drugie – komisja śledcza Sejmu nie ma możliwości wydawania decyzji administracyjnych. Jej członkowie mogą jedynie kierować doniesienia do prokuratury, ale to może zrobić każdy obywatel. Z zasady celem sejmowej komisji śledczej (kolejne to m.in. komisja ds. Amber Gold, PZU czy VAT) jest naświetlenie mechanizmów, które doprowadziły do jakiegoś

eprasa.pl dced4af17a

wydarzenia, a które niekoniecznie były niezgodne z prawem. Raporty komisji w zamierzeniu mają służyć pokazaniu słabych stron działania państwa, tak aby można je było wyeliminować. Członków sejmowej komisji śledczej wybiera się spośród posłów bezwzględną większością głosów, a skład „powinien odzwierciedlać reprezentację w Sejmie klubów i kół poselskich mających swoich przedstawicieli w Konwencie Seniorów, odpowiednio do jej liczebności".

Komisja do spraw badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007–2022 istnieć ma natomiast niezależnie od kadencji Sejmu, a do dyspozycji będzie mieć środki faktycznie karne, dla niepoznaki nazywane „zaradczymi". Co więcej, jej dziewięcioro członków wybiera się zwykłą większością, a kandydatów mogą zgłaszać tylko kluby (co eliminuje m.in. Konfederację). Członkowie komisji nie muszą być posłami, nie ma zatem mowy o proporcjonalnej reprezentacji sił politycznych, a przewodniczącego wyznacza spośród nich premier.

Komisja może przeprowadzić „rozprawę", ale ustawa nie określa, według jakiego reżimu (np. kodeksu postępowania karnego) ta rozprawa ma się odbywać. Oznacza to, że nie obowiązują zasady, jakie znamy z sądów karnych, a więc np. konieczność dowiedzenia winy ponad wątpliwość, domniemanie niewinności albo rozstrzyganie wątpliwości na korzyść oskarżonego. W praktyce komisja może orzekać „po uważaniu", a co więcej, zgodnie z ustawą jej członkowie nie mogą być pociągnięci do odpowiedzialności za swoje działania.

Komisję wyposażono w ogromne uprawnienia. Może ona np. domagać się od firm ujawnienia wszelkich poufnych danych, w tym tajemnicy przedsiębiorstwa, co rodzi oczywiście duże ryzyko wycieku takich informacji. Członkowie komisji dostali również prawo bezpośredniego dostępu do materiałów dotyczących działalności wszelkiego rodzaju organów administracji i samorządu, a także do danych z kontroli operacyjnej prowadzonej przez policję lub ABW. Komisja może też wystąpić do sądu o zwolnienie wezwanej osoby z tajemnicy zawodowej (adwokackiej, notarialnej, dziennikarskiej itd.). Członkowie komisji wejdą więc w posiadanie ogromnej wiedzy, z której w przyszłości będą mogli zrobić trudny do przewidzenia użytek.

Mało tego – komisja może bez żadnej konsultacji z kimkolwiek uchylić decyzję administracyjną, która została jej zdaniem wydana „pod wpływem rosyjskim", lub stwierdzić jej nieważność.To oznacza możliwość interwencji w od dawna obowiązujące umowy czy regulacje bez kontroli sądowej i realnego politycznego nadzoru. Skutkiem mogą być pozwy wobec polskiego państwa.

ROSYJSKIE WPŁYWY – CZYLI CO?

Czym są „rosyjskie wpływy", które komisja ma badać? Otóż tego właśnie ustawa w ogóle nie określa. Choć jej art. 2 pozornie zawiera definicję „wpływów rosyjskich", to w praktyce jej tam po prostu nie ma. Czytając przepis, możemy uznać, że za „wpływ rosyjski" zostanie uznany każdy kontakt nie tylko z przedstawicielem Federacji Rosyjskiej – nawet w ramach wypełniania obowiązków służbowych – lecz także jakikolwiek przypadkowy kontakt z kimś, kto według komisji działał na polecenie kogoś powiązanego z takimi przedstawicielami.

Dla przykładu – wystarczy, że ktoś otrzymał kiedykolwiek zaproszenie z ambasady rosyjskiej na raut, a również może zostać przed komisję wezwany. Nawet jeśli z niego nie skorzystał. Dodatkowo wymieniony w przepisie warunek zmierzania „do wywarcia wpływu na działania spółek lub organów władzy publicznej" niczego nie wyjaśnia – za próbę „wywarcia wpływu" komisja może uznać praktycznie wszystko. Nie jest przecież związana wymogami rozpatrywania dowodów.

Komisja ma badać takie działanie prowadzone również metodami prawnie dozwolonymi, czyli całkowicie legalnymi. To otwiera drogę do postawienia przed nią wszystkich tych, którzy kontakty z Rosją utrzymywali całkowicie legalnie i bez żadnego drugiego dna – czy to sprawując funkcje publiczne, czy np. prowadząc biznesy.

Kim komisja ma się zajmować? Przede wszystkim decydentami, czyli „funkcjonariuszami publicznymi lub członkami kadry kierowniczej wyższego szczebla", którzy „pod wpływem rosyjskim" działali „na szkodę interesów Rzeczypospolitej Polskiej" poprzez podejmowanie różnego rodzaju decyzji. Co jest „działaniem na szkodę interesów RP", z ustawy się nie dowiemy. To znów członkowie komisji mogą sobie dowolnie zdefiniować. Spory wokół polskiej polityki wobec wojny na Ukrainie wskazują zaś, że za takie działanie członkowie obozu władzy są skłonni uznać jakąkolwiek polemikę z obowiązującą linią. Czyli tam, gdzie w normalnych warunkach mielibyśmy spór o to, jaka polityka zagraniczna jest dla Polski dobra, PiS oznajmia: tylko nasza polityka jest dobra, a jeśli się z tym nie zgadzasz, to wylądujesz przed naszą komisją.

Twórcy ustawy umożliwili faktyczne oskarżenie właściwie każdego, kto w jakiś sposób zahaczył o życie publiczne. Można zatem przed komisję wezwać osoby, które decyzji nie podejmowały, ale rzekomo „godziły w interesy RP", mając m.in. wpływ na środki masowego przekazu, działały w fundacjach lub stowarzyszeniach, związkach zawodowych czy też wpływały na organizację systemu opieki zdrowotnej ze szczególnym uwzględnieniem zwalczania chorób zakaźnych. W praktyce komisja będzie mogła się znęcać nad niepasującymi władzy dziennikarzami, działaczami organizacji pozarządowych czy lekarzami, którzy w czasie pandemii ośmielili się mieć krytyczny stosunek do rządowej polityki zdrowotnej. A pamiętamy przecież szaleńczą narrację, zgodnie z którą każda krytyka wobec lockdownów czy wmuszania ludziom szczepionek miała być inspirowana przez Moskwę.

DRAKOŃSKIE KARY

Co komisja będzie mogła zrobić osobom wezwanym przed jej oblicze? Po pierwsze – będzie mogła nałożyć drakońskie kary za niestawiennictwo. Pierwszą w wysokości 20 tys. zł, kolejną – 50 tys. zł, a dalej mamy już doprowadzenie przez policję. Po drugie – będzie mogła zastosować wobec decydentów „środki zaradcze", a faktycznie – karne.

Pierwszy z nich to cofnięcie lub zakaz wydania danej osobie certyfikatu dostępu do informacji niejawnych na czas do 10 lat. Ktoś taki nie będzie w stanie sprawować żadnej funkcji z obszernego katalogu tych, które takiego dostępu wymagają (praca w MON czy MSWiA, a także np. zajmowanie stanowiska ambasadora), a jako poseł nie będzie mógł zasiadać w komisjach, gdzie poświadczenie jest potrzebne.

eprasa.pl dced4af17a

Drugi środek to zakaz pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi na okres do 10 lat. To oznacza odebranie możliwości sprawowania niemal wszystkich funkcji w administracji publicznej, z samorządowymi włącznie.

Trzeci środek, sprawiający wrażenie, jakby miał uderzyć w jakąś konkretną osobę, to cofnięcie pozwolenia na broń i zakaz jego posiadania na okres do 10 lat.

Co zaś najważniejsze – samo tylko stwierdzenie, że osoba decyzyjna zdaniem komisji działała pod wpływem rosyjskim, oznacza, że taki ktoś „nie daje rękojmi należytego wykonywania czynności w interesie publicznym". Ta pozornie niewinna formułka to broń atomowa, bo taka rękojmia jest konieczna dla sprawowania istotnych funkcji publicznych.

Środków zaradczych nie można zastosować wobec osób z poszerzonego katalogu odpowiadających przed komisją (czyli m.in. dziennikarzy), ale wystarczy przecież, że ktoś taki zostanie przez komisję przeczołgany i upokorzony. Jeśli wykonuje zawód zaufania publicznego, to ta sytuacja może mieć dla niego dramatyczne skutki życiowe.

ODWOŁANIE, ALE PO UKARANIU

Nie jest prawdą to, co usiłują nam wmawiać pan prezydent i inni obrońcy ustawy, że od jej orzeczeń przysługuje odwołanie do sądu. A mówiąc precyzyjniej – jest to manipulacja obliczona na wykorzystanie nikłej świadomości prawnej odbiorców. Od decyzji administracyjnych, owszem, przysługuje odwołanie do sądu administracyjnego. Problem w tym, że takie odwołanie nie wstrzymuje wykonania decyzji, a na rozstrzygnięcie czeka się rok lub więcej. Poza tym z zasady sądy administracyjne nie badają okoliczności faktycznych sprawy, a więc nie będą się zajmować tym, czy ktoś rzeczywiście działał pod rosyjskim wpływem. Mówiąc w uproszczeniu – zajmą się jedynie tym, czy decyzja została podjęta zgodnie z prawem. Oczywiście nie sposób przewidzieć w pełni, jak zachowają się sądy administracyjne, gdyby zaczęły do nich spływać skargi osób objętych „środkami zaradczymi" przez komisję.

Sięgając po rutynowe porównanie, można by orzec, że komisja do spraw rosyjskich wpływów to prawdziwa inkwizycja – tyle że byłoby to obraźliwe wobec inkwizytorów. Wbrew czarnej legendzie stworzonej w oświeceniu procesy inkwizycyjne odbywały się bowiem z poszanowaniem reguł postępowania i zapewniały podsądnemu większe możliwości obrony, niż ustawa o komisji daje osobom przed nią wezwanym.

Komisja może orzekać „po uważaniu", a jej członkowie nie mogą być pociągnięci do odpowiedzialności

Jeśli powiążemy uprawnienia komisji z projektem zmian w konstytucji, które PiS próbuje przepchnąć przez parlament, to dostaniemy obraz wręcz alarmujący. Projekt zmian ustawy zasadniczej przewiduje bowiem możliwość skonfiskowania majątku dowolnej osobie lub podmiotowi jedynie na podstawie domniemania, że jakakolwiek jego część nie tylko została, lecz także może w przyszłości zostać użyta do wsparcia agresora. I to nietoczącego wojny przeciwko Polsce, ale przeciwko innemu państwu. Czytaj: Rosji. W skrajnym przypadku wystarczy domniemanie, że ktoś może kupić jakikolwiek produkt wyprodukowany w Rosji lub nawet wyprodukowany przez firmę, którą MSWiA wpisze sobie na listę sankcyjną, aby takiej osobie odebrać majątek.

Być może komisja faktycznie ma za zadanie zająć się w pierwszej kolejności Donaldem Tuskiem, ale zakres jej działania został sformułowany z takim rozmachem, że potencjalnie może się ona stać organem eliminującym z życia publicznego niemal każdą niewygodną dla władzy osobę. Niewątpliwie zaś skutkiem jej działania będzie osiągnięcie efektu polaryzacji, co zresztą już widać, bo przewodniczący PO został jej największym jak dotąd beneficjentem. Znacznie większym niż sam PiS. To dzięki ustawie liderzy innych partii opozycyjnych (poza Konfederacją) zapowiedzieli ostatecznie udział w marszu 4 czerwca lub przynajmniej nawołują do udziału w nim swoich zwolenników.

Spektakl wokół komisji to świadoma demolka życia publicznego, której skutkiem będzie skoncentrowanie uwagi wyborców na tym przedstawieniu zamiast na niezliczonych realnych problemach, o których mogłaby być mowa podczas kampanii, takich jak inflacja, nadchodzące regulacje polityki klimatycznej czy nawet sam przebieg wojny na Ukrainie z jego konsekwencjami dla Polski. Można nawet założyć, że Tusk chciałby zostać przed komisję wezwany. W ten sposób nastąpiłoby oficjalne mianowanie go na naczelnego męczennika opozycji, co bardzo wzmocniłoby jego pozycję.

Inny skutek to skompromitowanie idei badania faktycznego wpływu Rosji na polskie życie polityczne i podejmowane decyzje. Zamiast połączyć różne siły polityczne, każdy tego typu plan przez długi czas będzie traktowany jako element partyjnej nawalanki. Gdyby szukać spiskowego wyjaśnienia, można by uznać, że stworzenie komisji jest najpiękniejszym prezentem, jakiego sami Rosjanie mogliby sobie życzyć.

Rozumieją to Amerykanie i dlatego wystąpili z otwartą krytyką ustawy. Waszyngton przewiduje, że użycie jej zapisów przeciwko politykom opozycji może doprowadzić do radykalnej destabilizacji politycznej w Polsce, z zakwestionowaniem wyników wyborów włącznie. A tego pragmatyczni Amerykanie nie chcą. Chcą, żeby ich lotniskowiec w tej części Europy nie zaczął nabierać wody z powodu jakichś wewnętrznych wojenek. Bruksela natomiast dostanie kolejny pretekst do zakwestionowania w Polsce rządów prawa. I, co gorsza, tym razem będzie to pretekst w dużej mierze uzasadniony.

Tworząc komisję, PiS ukręcił jednak zarazem bicz na własne plecy. Wystarczy, że po przegranych przez obecną władzę wyborach Sejm odwoła dotychczasowych członków tego gremium i powoła nowych, a ci natychmiast wezwą przed swoje oblicze Jarosława Kaczyńskiego, Antoniego Macierewicza i innych prominentnych polityków Prawa i Sprawiedliwości. Tu jednak może wkroczyć do akcji Trybunał Konstytucyjny. TK najpewniej nie wypowie się w sprawie ustawy przed wyborami. Ponieważ jednak do kontroli następczej wystarczy pięcioro sędziów, w razie czego nie powinno być problemów z zebraniem takiego grona. I gdyby PiS wybory przegrał, orzeczenie o niekonstytucyjności ustawy, uniemożliwiające dalsze działanie komisji, może zapaść błyskawicznie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

Nowa komisja na pewno nie pomoże PO

Z prof. Henrykiem Domańskim, socjologiem z Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk
rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: Ustawa o przeciwdziałaniu rosyjskim wpływom podpisana ostatnio przez prezydenta Dudę to „game changer", który zapewni PiS pewne zwycięstwo wyborcze, czy raczej „samobój", który opozycja wspierana przez Unię Europejską, a nawet administrację USA wykorzysta do podważenia prawowitości wyborów w Polsce?

PROF. HENRYK DOMAŃSKI: Myślę, że nie powinno to zaszkodzić Prawu i Sprawiedliwości, ponieważ gdyby nawet Unia Europejska podjęła tego typu działania, to byłoby to interpretowane w odbiorze społecznym raczej na niekorzyść Unii, a z punktu widzenia wyniku wyborczego raczej nie osłabiłoby notowań PiS, bo zostałoby potraktowane nie tylko przez wyborców PiS jako kolejna próba ingerencji Unii w polskie sprawy wewnętrzne, która ma wyeliminować z gry Prawo i Sprawiedliwość. W odbiorze społecznym takie działania byłyby uważane za niesprawiedliwe i naruszające zasady demokracji. Mówię przede wszystkim o wyborcach PiS, a także o elektoracie niezdecydowanym, na którą partię głosować. Z jakiego bowiem powodu UE czy jakakolwiek inna instytucja międzynarodowa miałyby kwestionować powołanie komisji, której celem jest kontrola funkcjonowania państwa polskiego rozpatrywana od strony obrony przed Rosją? Czy zdaniem Unii jest to ograniczenie pluralizmu politycznego, wolności, niezależności sądownictwa i innych swobód, do których Bruksela lubi się odwoływać, gdy chce jakieś państwo ukarać?

Co myślał Tusk, kiedy spacerował z Putinem po molo w Sopocie? Nie kontrolował się? Traktował to jako ogniwo własnej kariery?

Jeśli chodzi o Platformę Obywatelską, która jest głównym adresatem działania tej komisji, to odsłonienie relacji między Rosją a rządem w latach 2007–2015 na pewno nie podniesie jej notowań, a raczej je osłabi. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu, ale jeżeli kulisy tego będą wydobywane, jeśli w mediach stale będą

eprasa.pl dced4af17a

FOT. STACH ANTKOWIAK/REPORTER

Powołanie komisji badającej rosyjskie wpływy będzie wzmacniało przekonanie u niezdecydowanych, że raczej nie będą głosować na Platformę i Tuska

pokazywane spotkania Tuska z Putinem i inne oznaki bliskiej kooperacji, to na pewno nie będzie to działać na korzyść Platformy.

À propos wyborców niezdecydowanych: Czy tego rodzaju instrumenty, jak komisja do spraw przeciwdziałania rosyjskim wpływom, są w stanie skłonić ich do głosowania na PiS? Czy nie jest tak, że ta grupa elektoratu jest bardzo mocno impregnowana na bieżącą politykę i nawet bardzo silne impulsy nie wpływają w istotny sposób na jej ostateczne decyzje?

Możemy snuć pewne przewidywania. W tej chwili poparcie dla PiS, czyli przewidywany efekt głosowania w październiku, kształtuje się na poziomie 37–38 proc. PiS do samodzielnych rządów brakuje 5–6 proc. To jest właśnie te 6 proc. wyborców, o których pan mówi. To jest zbiorowość, która, po pierwsze, wydaje się najbardziej podatna na oddziaływanie tego rodzaju efektu, czyli komisji, o której rozmawiamy, i może opowiedzieć się za Prawem i Sprawiedliwością.

Pod drugie, przynależność do kategorii wyborców niezdecydowanych jest zjawiskiem stopniowalnym i nie ogranicza się do respondentów, którzy w badaniu sondażowym stwierdzają, że nie wiedzą jeszcze, na kogo zagłosują. Część wyborców, która zdecydowanie deklaruje zamiar pójścia na wybory, pewnie na nie pójdzie, z kolei ci, którzy deklarują, że raczej pójdą głosować, mogą to zrobić lub nie. Tak więc gotowość do udziału w wyborach musi być rozpatrywana w postaci skali – od zdecydowanych do „wątpliwych". Ilu jest takich wyborców, którzy deklarują, że raczej pójdą na wybory, chociaż nie wiedzą, na kogo zagłosują, dokładnie nie wiemy, ale rozszerzyłbym tę pulę elektoratu z 6 do, powiedzmy, 20 proc. A to już liczący się czynnik.

Wiemy, że obie siły polityczne w Polsce, które polaryzują opinię publiczną, posługują się różnymi narzędziami i uruchamiają je prawie codziennie. To narzędzie, którym jest powołanie komisji badającej rosyjskie wpływy, będzie oddziaływało do października, wzmacniając przekonanie, że właściwie to nie wiem, na kogo będę głosować, ale raczej nie na Platformę i Tuska, którego stosunek do Putina był wybitnie przyjazny, mimo że naszym największym wrogiem jest Rosja. Co, dajmy na to, myślał Tusk, kiedy spacerował z Putinem po molo w Sopocie? Nie kontrolował się? Traktował to jako ogniwo własnej kariery? Chciał zyskać miano wielkiego męża stanu? Te argumenty będą ciągle powtarzane i to nie będzie działało na korzyść PO.

Ustawę, która powołuje komisję do badania rosyjskich wpływów w Polsce w latach 2007–2022, krytykują nie tylko opozycja, lecz także prawnicy i publicyści, którzy są od niej bardzo daleko. W ich ocenie mamy do czynienia z niebezpiecznym bublem prawnym, który łamie demokrację i tworzy grunt do wielu nadużyć. Ujmując rzecz najkrócej – chodzi o to, że de facto ta ustawa daje narzędzie, żeby każdego, kto narazi się władzy, uznać za rosyjskiego agenta wpływu, ze wszystkimi publicznymi i politycznymi konsekwencjami tego faktu.

Krytykę tę podważają argumenty strony rządowej, że ci, którzy będą oskarżeni o współpracę z rosyjskimi służbami i którym będzie groziło pozbawienie jakichś stanowisk politycznych, mogą się, po pierwsze, odwołać do sądu administracyjnego, który na mocy tej ustawy będzie rozstrzygał takie sprawy. Powtarzam tylko wyjaśnienia inicjatorów ustawy.

Po drugie, tego rodzaju zarzuty można wysunąć pod adresem każdej komisji. One były i będą używane przez każdą opozycję czy przeciwników jakiejkolwiek komisji i z tego powodu nie są przekonujące dla ludzi, którzy orientują się w mechanizmach walki politycznej w demokracji. Znowu myślę o tych wyborcach, którzy nie są zdecydowani, na kogo głosować. Natomiast na pewno całkowicie zgodzą się z argumentami przytoczonymi przez pana redaktora zwolennicy Platformy Obywatelskiej.

Panie profesorze, ale powtórzę: krytyka wobec tej ustawy formułowana jest nie tylko ze strony tzw. opozycji totalnej, lecz także przez niezwiązane z nią zupełnie środowiska. W Sejmie przeciw tej ustawie oponowała także Konfederacja.

eprasa.pl dced4af17a

Obowiązuje reguła, że wszystko jest dobre, jeżeli można zaszkodzić rządowi Zjednoczonej Prawicy. Konfederacja dotychczas nigdy nie występowała w roli sojusznika PiS. Dlaczego miałaby zatem zrezygnować z posłużenia się tego rodzaju argumentami? Konfederacji zależy na podkreślaniu swojej niezależności, ona czerpie z tego polityczne paliwo, te 11 proc. poparcia, które uzyskuje od czasu do czasu, więc wykorzysta również powołanie komisji, żeby te niezłe notowania utrzymać.

Czy po wyborach możliwa jest koalicja PiS z Konfederacją? Da się pogodzić ogień z wodą? Tak różne pomysły na Polskę?

Konfederacji absolutnie nie opłaca się angażowanie w jakiekolwiek koalicje czy sojusze. Jest to element strategii nastawionej na pozyskiwanie poparcia. Najlepszym scenariuszem dla tej partii jest wejście do Sejmu jako licząca się siła polityczna, punktowanie rządzących i czekanie na zmianę nastrojów społecznych. Na przykład obniżenie się sympatii proukraińskich w Polsce, co może nastąpić. Otworzyłoby to koniunkturę polityczną dla konfederatów być może we współdziałaniu z jakąś inną, nową radykalną siłą, która może objawić się na scenie politycznej.

A więc strategia „długiego marszu"...

Tak. Z kolei PiS, wchodząc w koalicję z Konfederacją, wystawiłby się na histeryczną krytykę nie tylko ze strony Platformy Obywatelskiej i reszty opozycji, lecz także instytucji unijnych.

Że oto w Warszawie powstał faszystowski, czarnosecinny rząd.

Łatwo sobie wyobrazić te wszystkie porównania w Komisji Europejskiej czy debaty w Parlamencie Europejskim o „nazistach" w Polsce, która w takim scenariuszu byłaby traktowana dużo gorzej od Węgier. Taki wniosek składa już Europejska Partia Ludowa.

Prawie jak III Rzesza...

No tak. Dlatego PiS nie wejdzie w żadną taką koalicję. Tutaj najbardziej opłacalną strategią byłoby rozbicie Konfederacji i przyciągnięcie do siebie niektórych jej frakcji. Jednak na pewno nie pana Mentzena, który jest, najogólniej mówiąc, politykiem skłaniającym się do gospodarki wolnorynkowej, a więc stanowi zaprzeczenie polityki prowadzonej przez Prawo i Sprawiedliwość.

Czyli taktyka wyłuskiwania pojedynczych szabel może być tu bardzo użyteczna?

Bardziej od innych. Można to tak określić.

O wyniku nadchodzących wyborów znów rozstrzygnie „socjal" w postaci szerokiego rozdawnictwa czy też wobec wojny na Ukrainie większego znaczenia nabiorą inne kwestie – z jednej strony związane z rosyjskim zagrożeniem, z drugiej zaś obawy przed ideologicznym dyktatem Unii Europejskiej uderzającym w polskie DNA?

Jeśli chodzi o obronę granic Polski, to kwestia ta może mieć wpływ na wynik wyborów. Tu PiS okazuje się być bardzo skuteczny. Jest to wątek ciągle nagłaśniany i obecny w przekazie medialnym.

> **Niebezpieczeństwem dla Prawa i Sprawiedliwości jest „efekt trzeciej kadencji". Polacy nie są przyzwyczajeni, że jakaś partia rządzi „tak długo"**

Na przykład podkreślanie obecności wojsk amerykańskich w Polsce. Być może Platformie Obywatelskiej też by się to udało, gdyby rządziła, ale tego nigdy nie sprawdzi.

Jeżeli chodzi o nachylenie kampanii wyborczej w kierunku ideologii, odwoływanie się do wartości, to trzeba skonstatować, że polskie społeczeństwo jest dość konserwatywne, w większości przeciwne zmianom, np. jeśli chodzi o zasady funkcjonowania rodziny. Tworzy to grunt dla atrakcyjności PiS-owskich haseł wyborczych, które w tym obszarze można by streścić w formule: „Nie destabilizujmy rodziny, nie podważajmy integracji, stosunków społecznych". Związki partnerskie, małżeństwa homoseksualne, adopcje dzieci przez pary homoseksualne – to wszystko są sprawy, które oddziałują na świadomość społeczną i są kryteriami wyboru w podejmowaniu decyzji, na kogo głosować.

Na niekorzyść opozycji działają również ataki na Kościół i Jana Pawła II. Mamy do czynienia z pewną antylewicowością polskiego społeczeństwa, nieposuniętą daleko, która jednak działa. PiS na scenie politycznej jest jedynym obrońcą wartości, do których ludzie są przywiązani. Jeśli dodamy do tego politykę społeczną i wzrost gospodarczy – bo przecież rząd nie zmyśla, kiedy przedstawia wskaźniki wzrostu dochodu narodowego – niskie bezrobocie, doganianie średniej w UE pod względem stopy życiowej i utrzymujące się silne poparcie na wsi, gdzie – jak wynika z sondaży – PiS jest wyraźnie nadreprezentowany, to wszystko razem tworzy solidną bazę społeczną.

Na tyle solidną, żeby jeszcze raz zgarnąć w wyborach całą pulę? Wydaje się, że będzie to bardzo trudną sztuką.

Będzie to trudną sztuką, bo jeżeli powtarzane są stale te same argumenty, nawet w dobrym znaczeniu – mam na myśli politykę prosocjalną czy oznaki obniżenia się nierówności – to one się dewaluują. To znaczy nie mogą działać już tak efektywnie jak w wyborach w latach 2015 i 2019.

Innym niebezpieczeństwem, o którym trzeba powiedzieć, jest efekt „trzeciej kadencji". Zjednoczona Prawica musi wygrać po raz trzeci. Polacy nie są przyzwyczajeni, że jakaś partia rządzi „tak długo". Tak może to oceniać zwłaszcza kilkanaście procent elektoratu niezdecydowanego. Oni mogą sobie myśleć, że wprawdzie PiS jest OK, ale w demokracji warto zmieniać partie, które rządzą, żeby państwo lepiej funkcjonowało, bo tak trzeba. PiS powinien więc robić wszystko, żeby uniknąć negatywnego „efektu trzeciej kadencji", o co bardzo trudno, bo właściwie nie wiadomo, jak to zrobić. Chyba że przez ciągłe powtarzanie oznak sukcesów społeczno-ekonomicznych i zapowiedzi ich kontynuacji, objeżdżanie z tym Polski z intensywną kampanią wyborczą, co się już dzieje.

Nic innego PiS nie może zrobić poza przypominaniem mankamentów rządzenia Platformy Obywatelskiej. Być może komisja, od której rozpoczęliśmy naszą rozmowę, spowoduje, że poparcie dla PO spadnie o jakieś 1,5 proc., co dla PiS nie byłoby złym rozwiązaniem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

Politycy w togach

Zuzanna Dąbrowska

Sędziowie, których wyroków trudno nie postrzegać w kontekście politycznego rewanżyzmu, mogą posłużyć w przyszłości opozycji do przeprowadzenia uzasadnianej rzekomą koniecznością przywrócenia praworządności „czystki". Już teraz ich decyzje zapewniają bezkarność agresywnym, antypisowskim bojówkarzom

Publicysta „Do Rzeczy" Rafał A. Ziemkiewicz i dziennikarka TVP Magdalena Ogórek zostali prawomocnie skazani na karę grzywny po 10 tys. zł za zniesławienie aktywistki Elżbiety Podleśnej. Na czym polegało? Aby zrozumieć całą sprawę, należy cofnąć się do roku 2019. Wtedy to Ogórek, wychodząc ze studia TVP Info, została zaatakowana przez grupę nastawionych konfrontacyjnie przeciwników PiS i mediów publicznych. Demonstranci skandowali: „Wstyd i hańba" i blokowali dziennikarce dostęp do samochodu. „Auto oplute, porysowane, obklejone całkowicie naklejkami, wyzwiska, rzucanie się pod koła. Szarpanina i przemoc. Tak wyglądał mój wyjazd z TVP. A oni się cieszą i wklejają film" – relacjonowała Ogórek na Twitterze.

Konieczna była interwencja policji. Gdyby nie funkcjonariusze, nie wiadomo, czy dziennikarka nie stałaby się ofiarą agresji nie tylko słownej. Prym wśród manifestantów wiodła znana aktywistka LGBT, psychoterapeuta Elżbieta Podleśna („zasłynęła" m.in. rozklejaniem na koszach na śmieci nalepek z wizerunkiem Matki Bożej Częstochowskiej w aureoli w tęczowych barwach). Sąd jednak nie dopatrzył się niczego nieodpowiedniego w jej zachowaniu przed siedzibą TVP i została uniewinniona.

Ziemkiewicz i Ogórek jako prowadzący program „W tyle wizji" rozmawiali na temat tego zajścia na wizji. Zarzucali Podleśnej, że „przyprowadza na rozmaite eventy" swoich pacjentów, którzy „zachowują się, jakby mieli pranie mózgu fachowo zrobione". Mówili o „wykorzystywaniu umiejętności quasi-lekarskich do manipulowania ludzką psychiką". Elżbieta Podleśna poszła do sądu. Najpierw sprawę umorzono, ale złożenie skargi przez aktywistkę zadziałało. W grudniu 2022 r. w pierwszej instancji skazano dziennikarzy na zapłacenie po 10 tys. zł grzywny. Ogórek i Ziemkiewicz odwołali się od wyroku, jednak teraz sąd drugiej instancji, decyzją sędzi Małgorzaty Drewin, podtrzymał wyrok. Oznacza to, że jest on prawomocny.

– To coś więcej niż skandal, to niszczenie prawa i porządku publicznego. Za agresywnym zadymiarzem staje polityk w todze i łańcuchu z godłem RP i zachęca: nie mitygujcie się, w razie czego zawsze was uniewinnimy – skomentował Rafał A. Ziemkiewicz.

Z kolei Podleśna nie kryła radości. „Moja Kochana Pełnomocniczka Sylwia Gregorczyk-Abram. Mój Kochany Pełnomocnik Michał Wawrykiewicz. Tak, wszyscy mogą mi zazdrościć takiej Ekipy. Są zabójczo dokładni, mądrzy i po ludzku dobrzy. Naj. Moje Kochane Przyjaciółki i Przyjaciele. Jak wspaniale Was mieć" – zachwycała się aktywistka. Gregorczyk-Abram i Wawrykiewicz są członkami inicjatywy Wolne Sądy.

PRZYZWOLENIE NA ATAKI

W styczniu 2016 r., zaledwie trzy miesiące po wygranych przez Zjednoczoną Prawicę wyborach parlamentarnych, na łamach tygodnika „Polityka" ukazał się zaskakujący wywiad z dr. Maciejem Bartkowskim, dyrektorem w waszyngtońskim Międzynarodowym Instytucie Konfliktu bez Przemocy. Obok postulatów tworzenia przez opozycję „programu pozytywnego", „mediów obywatelskich" i nawoływania do nakładania na Polskę sankcji (tylko dlatego, że w demokratycznych wyborach obywatele wybrali opcję niesłuszną) Bartkowski zaproponował stworzenie „listy czarnych owiec". „Czegoś w rodzaju rankingu stu lub dwustu osób, które niszczą demokrację i państwo prawa" – wyjaśniał rozmówca Jacka Żakowskiego. Chodziło o „polityków, ekspertów, rządowych dziennikarzy, biorących pracę po niesprawiedliwie zwolnionych, wykorzystujących przyznane przez nową władzę funkcje do niszczenia inaczej myślących". Osoby te miałyby zostać objęte ostracyzmem i choć Bartkowski ubrał to w gładkie słowa o „presji" społecznej, to de facto namawiał do uniemożliwienia funkcjonowania w społeczeństwie ludziom związanym z PiS, nawet w luźny sposób. Wywiad ten był przejawem przyzwolenia na ataki wobec „politycznych wrogów".

Słowo zmieniło się w czyn. Z wielu przypadków agresji wystarczy wspomnieć nachodzenie sędzi Trybunału Konstytucyjnego prof. Krystyny Pawłowicz w jej miejscu zamieszkania, naruszenie nietykalności cielesnej policjantów

eprasa.pl dced4af17a

dokonane przez tzw. Babcię Kasię, czyli Katarzynę Augustynek, czy właśnie przywołaną wcześniej agresję wobec Magdaleny Ogórek. „Sługusy pisowskiego reżimu" miały się bać wyjść z domu.

Nie bez znaczenia było też wezwanie Donalda Tuska z lipca 2022 r. Podczas konwencji Platformy Obywatelskiej w Radomiu powiedział, że jeśli jego ugrupowanie wygra wybory, to „wyprowadzi Glapińskiego z NBP". – Nie będzie ani jednego dnia dłużej prezesem NBP i nie trzeba będzie ustawy. Nikt tego nie pamięta. Wiecie, że prawnicy zamówieni przez prezydenta Dudę napisali mu ekspertyzy, z których wynikało, że wybór na tę kadencję jest nielegalny. Wystarczyłaby duża mniejsza wątpliwość, żeby gościa wyprowadzić z NBP, i ja to zrobię, ja to wam gwarantuję – deklarował Tusk. Oliwy do ognia dolał Tomasz Siemoniak, wiceprzewodniczący PO. – Przyjadą silni ludzie i go przekonają, że nie jest prezesem Narodowego Banku – powiedział w Polsat News. Później tłumaczył się, iż mówił „o tym, że w sytuacji, gdy miałby być nielegalnie wybrany, silni ludzie przyjadą i przekonają go, że nie jest prezesem NBP". – On kłamliwie zacytował moją wypowiedź. Ja nic nie mówiłem o wyprowadzaniu jego siłą czy czymkolwiek takim, więc to świadczy o tym, w jakim stanie nerwów jest prezes Glapiński – zarzucał były szef MON prezesowi banku centralnego.

Rysuje się więc obraz systemu, tworzonego przez polityków i rozgrzanych politycznie sędziów, w którym politycy i ich akolici wzywają do zdecydowanych działań wobec oponentów, a sędziowie mają za zadanie nie dopuścić, aby pełniący funkcję narzędzia aktywiści stosujący agresję – czy to werbalną, czy fizyczną – zostali ukarani. W tle majaczy wizja wygranych wyborów parlamentarnych, które dadzą pełnię władzy i na zawsze zamkną temat reformy sądownictwa. Gdyby ziścił się dodatkowo pomysł obsadzenia Romana Giertycha (dziś deklaruje start w wyborach do Senatu) w roli ministra sprawiedliwości i (nad)prokuratora generalnego, system domknąłby się już całkowicie i dzisiejszy obóz władzy mógłby z niemal stuprocentową pewnością oczekiwać ostrych rozliczeń.

SĘDZIOWIE ZAANGAŻOWANI

A że sędziów opowiadających się, rzecz jasna nie wprost, po jednej ze stron jest wielu, nie ma wątpliwości. Sędzia Małgorzata Drewin (Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia), która podtrzymała grzywnę dla Ogórek i Ziemkiewicza, ma na swoich koncie uniewinnienie Elżbiety Podleśnej i Ewy Borguńska w lutym 2021 r. Aktywistki w styczniu 2019 r. wtargnęły do siedziby Telewizji Polskiej w Warszawie.

Drewin uniewinniła też mężczyznę, który kilkakrotnie składał przed pomnikiem Ofiar Katastrofy Smoleńskiej na placu Piłsudskiego w Warszawie wieniec kwiatów z adnotacją, z której wynikało, że za tragedię odpowiedzialny był prezydent Lech Kaczyński. W lipcu 2022 r. sędzia uniewinniła działacza Nowej Lewicy Michała Kowalówkę, którego poseł Suwerennej Polski Jan Kanthak oskarżył o zniesławienie. Kowalówka napisał, że w 2011 r. obecny wiceminister składał mu seksualne propozycje w krakowskim klubie dla gejów. Choć sąd potwierdził, że doszło do zniesławienia, a Kowalówka podał nieprawdziwe informacje, stwierdzono jednocześnie, że „polityk powinien być odporny na takie ataki" i dlatego działacz lewicy został uniewinniony.

Kolejnym przykładem „sędziego zaangażowanego" jest Łukasz Biliński (również SR dla Warszawy-Śródmieścia), który uniewinnił sprawców napaści na Magdalenę Ogórek przed siedzibą TVP. Nie był to jednak jednorazowy akt „sprawiedliwości". Biliński stał się bowiem symbolem bezkarności Obywateli RP, czyli grupy kierowanej przez Pawła Kasprzaka. Jest też idolem liberalno-lewicowych mediów. Portal OKO.press sporządził nawet listę „najważniejszych orzeczeń Łukasza Bilińskiego". Gdy aktywiści blokowali legalnie organizowane marsze narodowców oraz miesięcznice smoleńskie, sędzia „powołując się na Konstytucję i prawo międzynarodowe, orzekał, że obywatele mają prawo do pokojowych manifestacji ulicznych oraz prawo do wyrażania poglądów i krytykowania władzy". Jak opisywał OKO.press: „Sędzia Biliński uznał m.in., że ogrodzone miesięcznice smoleńskie na Krakowskim Przedmieściu nie sią zgromadzeniami

eprasa.pl dced4af17a

Magdalena Ogórek i Rafał A. Ziemkiewicz skrytykowali na wizji aktywistkę Elżbietę Podleśną. Sąd skazał ich za to na grzywnę FOT. TVP INFO

publicznymi. Przyznał prawo do protestowania przeciwko władzy pod Sejmem. Przyznał też moralne prawo do blokowania pochodu Młodzieży Wszechpolskiej i ONR". Lider Obywateli RP zachwycał się sędzią Bilińskim: „Pańskie orzeczenia wyznaczają standard w Polsce. To, co Pan zrobił dotychczas, jest wyjątkowym osiągnięciem".

Nie mniejsze „zasługi" dla anty-PiS ma sędzia Agnieszka Domańska z warszawskiego sądu okręgowego (zastępczyni przewodniczącego XII Wydziału Karnego). Przyznała 10 tys. zł zadośćuczynienia Arkadiuszowi Szczurkowi z Lotnej Brygady Opozycji za „niesłuszne zatrzymanie przez policję podczas protestu" podczas miesięcznicy smoleńskiej. Szczurek został zatrzymany na 48 godzin po tym, jak wraz z kompanami wszedł na mury galerii Zachęta z megafonem, z którego wykrzykiwali: „Balbina, kazałeś lądować bratu?" czy „Jarek, gdzie jest wrak?". Warto wskazać, że było to już trzecie zadośćuczynienie, które sądy przyznały aktywiście (np. w lipcu 2021 r. otrzymał 4 tys. zł za zatrzymanie za wejście na pomnik smoleński z flagą Unii Europejskiej).

Im bliżej do wyborów parlamentarnych, tym sędziowska ofensywa będzie bardziej wyraźna

Choć o upolitycznionych sędziach można by napisać książkę, to warto wspomnieć jeszcze o jednym – sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie Janusz Cieszko, niezwykle aktywny w mediach społecznościowych, o opozycjoniście z okresu PRL Krzysztofie Wyszkowskim pisał tak: „Wyszkowski jest znany jedynie w kręgach środowisk skrajnie prawicowych, zatem spuśćmy na takie persony zasłonę milczenia". Wiadomo też, co sędzia uważa na temat aborcji: „Czy ktoś może mi wytłumaczyć, dlaczego w kwestii aborcji zawsze najwięcej do powiedzenia mają faceci, których problem ten dotyczy w najmniejszym stopniu?". Nietrudno wyobrazić sobie, jaki mógłby zapaść wyrok, gdyby Cieszkowski miał decydować w jakiejkolwiek sprawie dotyczącej Wyszkowskiego lub działaczy pro-life.

POD PARASOLEM BRUKSELI

Tak jak grupa „sędziów zaangażowanych" jest swoistym gwarantem bezkarności dla antyrządowych bojówkarzy, tak im samym nietykalność gwarantuje Unia Europejska. Bruksela jako jeden z warunków wypłacenia Polsce środków na Krajowy Plan Odbudowy postawiła przywrócenie do orzekania sędziów zawieszonych przez Izbę Dyscyplinarną (już zlikwidowaną; w jej miejsce powołano Izbę Odpowiedzialności Zawodowej). „Nowe prawo jest ważnym krokiem. Jednak, jak już wspomniałam, z naszej wstępnej oceny wynika, że nowa ustawa nie gwarantuje sędziom możliwości kwestionowania statusu innego sędziego bez ryzyka, że zostaną pociągnięci do odpowiedzialności dyscyplinarnej" – powiedziała w rozmowie z „DGP" przewodnicząca KE Ursula von der Leyen kilka tygodni po tym, jak zaakceptowała w Warszawie polski KPO. Uściślijmy, że według Brukseli „starzy" sędziowie mają prawo kwestionować status sędziów powołanych przez „nową" Krajową Radę Sądownictwa.

Im bliżej do wyborów parlamentarnych, które opozycja reklamuje jako „najważniejsze w III RP", tym sędziowska ofensywa będzie bardziej wyraźna. Trudno bowiem inaczej niż jako deklarację polityczną odczytywać zapowiedzi sędziego Sądu Najwyższego Michała Laskowskiego dotyczącej udziału w marszu organizowanym 4 czerwca przez Donalda Tuska. – Jako obywatel ja się na ten marsz wybieram, bo już nie wiem, jak miałbym inaczej protestować – stwierdził Laskowski, nawiązując do podpisanej przez prezydenta Andrzeja Dudę (i skierowanej w trybie następczym do TK) ustawy powołującej komisją badającą rosyjskie wpływy w Polsce. Kampania wyborcza to też czas pozywania w trybie wyborczym. I choć obie strony sporu zapewne będą korzystały z tego narzędzia, to już dziś można stawiać orzechy przeciw dolarom, komu będą sprzyjały „wolne sądy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

Wybory na kółkach

Łukasz Zboralski

Przed wyborami PiS próbuje zyskać poklask u kierowców. Robi krok w tył w sprawie kar na drogach i oferuje „darmowe" autostrady. Czy to rozsądne obietnice i czy nadal działają na wyborców?

To, co robi PiS przed wyborami, nie jest nowością. Od dawna politycy tuż przed wyborami próbowali zyskać w oczach kierowców. Ludzie się z tego cieszyli, ale ponosili ogromny koszt – bo zawsze pogarszało to bezpieczeństwo na drogach i skutek liczono w dodatkowych ofiarach wypadków. Gdy przejrzy się okresy przedwyborcze sprzed lat, w statystykach Komendy Głównej Policji zawsze widać powyborczy pik we wzroście wypadków drogowych.

Na przykład w 2011 r., tuż przed wyborami parlamentarnymi, senator Platformy Obywatelskiej Stanisław Iwan zgłosił poprawkę do prawa, która podnosiła dopuszczalne limity prędkości – do 120 km/h na drogach ekspresowych i do 140 km/h na autostradach. Choć np. autostrady projektowano i budowano do prędkości 130 km/h. Posłowie taką poprawkę poparli. – Każdy chciał się przypodobać kierowcom – wyznawał później w RMF FM poseł Wiesław Szczepański z SLD, ówczesny wiceszef sejmowej Komisji Infrastruktury. – W skali kraju jeden samochód przypada na półtora mieszkańca, więc to jest elektorat, z którego jeden lubi jechać szybko, a drugi jeździ tylko do kościoła, i będzie to bardzo trudno zmienić – twierdził. Efekt był natychmiastowy. Rok później liczba wypadków na drogach wzrosła o 11 proc. I ci sami posłowie nagle byli tą sprawą zaniepokojeni. Na Komisji Infrastruktury apelowali do rządu o analizę wypadkowości na drogach i zaproponowanie rozwiązania tej sytuacji.

Podobnie stało się tuż przed wyborami w 2015 r. Znów znalazł się jeden poseł z projektem poprawki. Tym razem był to Maciej Banaszak z Lewicy (wcześniej z Ruchu Palikota). Zaproponował likwidację uprawnień samorządów do kontrolowania kierowców. Posłowie wszystkich ugrupowań podnieśli za tym rękę, nawet ówczesny pełnomocnik ministra infrastruktury ds. bezpieczeństwa ruchu drogowego Paweł Olszewski (PO).

W ten sposób w Polsce z dnia na dzień zniknęła prawie połowa fotoradarów. Odebrano samorządom prawo do wszystkiego, nawet do oznaczonych, uzgadnianych z ITD fotoradarów stacjonarnych, do których nigdy nie było żadnych zastrzeżeń. Urzędnicy dobrze wiedzieli, co się stanie. Ministerstwo Infrastruktury i Budownictwa wystąpiło do MSWiA o zwiększenie patroli drogówki ze względu na unieruchomione fotoradary. Policjanci jednak nigdy nie są w stanie zastąpić masztu, który pracuje 24 godziny na dobę. Jak sprawdził potem Instytut Transportu Samochodowego (raport „Stan bezpieczeństwa ruchu drogowego w okresie: styczeń–sierpień 2016 roku. Analiza wstępna wpływu likwidacji fotoradarów straży miejskich i gminnych na zagrożenia na drogach"), w miejscu, gdzie zafoliowano lub zdemontowano gminne maszty fotoradarowe, zginęło

eprasa.pl dced4af17a

FOT. ADOBE STOCK

o 46 proc. więcej osób w wypadkach drogowych.

PUNKTY KARNE DO KUPIENIA

Od tego czasu wiele się jednak w Polsce zmieniło. Po 30 latach przestano słuchać ekspertów, którzy upierali się, że kary nie mają wpływu na zachowania kierowców. Rząd Mateusza Morawieckiego zrobił to, co było konieczne, a na co odwagi nie wystarczało żadnemu z poprzednich gabinetów – urealnił stawki grzywien za wykroczenia drogowe i podniósł liczbę punktów karnych za najgroźniejsze zachowania. Niewielkie wykroczenia nadal kosztują kierowców 100–300 zł, jednak np. stworzenie zagrożenia życia i zdrowia pieszych na przejściu to już minimum 1,5 tys. zł i 15 punktów karnych. Dwa przyłapania na gmeraniu w telefonie wyczerpują limit 24 punktów karnych.

Efekt był piorunujący. Kierowcy natychmiast zdjęli nogę z gazu. Fotoradary zaczęły rejestrować o jedną trzecią mniej przekroczeń prędkości. W ubiegłym roku – w porównaniu ze średnią z lat przed pandemią – liczba zabitych w wypadkach drogowych w Polsce spadła o 30 proc. i była niższa niż 1,9 tys. osób. Można powiedzieć, że zadziwiliśmy Europę – w tym samym roku liczba śmiertelnych wypadków zaczęła w większości krajów UE powracać do poziomów sprzed pandemii, a w Polsce jeszcze się obniżała.

To postawiło PiS w trudnej sytuacji, gdy tuż przed wyborami partia zapragnęła zdobyć nieco punktów u kierowców. Jak bowiem – wobec tak jasnych dowodów na związek kar ze znacznie mniejszą śmiertelnością na drogach – powiedzieć, że ponownie robi się w nich wyłom? Prawdopodobnie dlatego partia upchnęła poprawkę dla kierowców, którzy mają kłopot z trzymaniem się reguł, w zupełnie innym projekcie. Na posiedzeniu Komisji Infrastruktury, podczas rozpatrywania projektu „lex Uber" (dotyczącego lepszego zabezpieczenia pasażerów podczas przejazdów na aplikację, m.in. przed gwałtami), poseł Jerzy Polaczek (PiS) nagle zgłosił poprawkę, której treści nie rozumieli nawet głosujący nad nią posłowie. Okazało się, że poprawka ponownie wprowadzi możliwość odbywania odpłatnych kursów w wojewódzkich ośrodkach ruchu drogowego, dzięki którym raz na pół roku kierowca będzie mógł usunąć sześć punktów karnych ze swojego konta.

Oznacza to powrót do patologicznego mechanizmu wysiadywania na pogadankach z policjantami, które niczego w mentalności piratów drogowych nie zmieniały. PiS jednak upiekł tu nawet nie dwie pieczenie na jednym ogniu, ale trzy. Bo od jakiegoś czasu Ministerstwo Infrastruktury zmagało się z buntem egzaminatorów na prawo jazdy żądających podwyżek. Teraz WORD-y zostaną zasilone pieniędzmi piratów kasujących punkty. To, że punkty będzie można odkupować i że będą się kasować znów po roku, a nie, jak obecnie, po dwóch latach od zapłacenia mandatu, było też na rękę dużemu lobby transportowców. A w transporcie kołowym Polska jest liderem w Unii.

– Jeśli wprowadziliśmy nowy system i nie jest on w stanie popracować dwóch lat – a na taki czas zaplanowano teraz widoczność punktów karnych na koncie kierowcy – to znaczy, że działamy chaotycznie, bez planów i zmieniamy prawo pod wpływem interesu jednej grupy, która ma problem z właściwym zaplanowaniem logistyki transportu drogowego albo ma problem z zatrudnionymi w branży kierowcami, którzy jeżdżą zbyt ryzykownie – mówi „Do Rzeczy" Rafał Zięba, prezes Ośrodka Doskonalenia Techniki Jazdy Tor Modlin. Zięba uważa, że system działałby lepiej, gdyby szkolenia, także praktyczne, odbywali nie drogowi recydywiści, ale wszyscy nowi kierowcy, którzy otrzymali prawo jazdy. Wówczas, tak jak Szwedzi, mielibyśmy szanse na wychowywanie kolejnych pokoleń ostrożnych kierowców, którzy w praktyce doświadczają tego, że w pewnych warunkach na torze nie są w stanie zapanować nad autem.

AUTOSTRADY ZA DARMO?

Do tego niebezpiecznego pakietu przedwyborczego PiS postanowił dorzucić kierowcom coś jeszcze. Minister infrastruktury Andrzej Adamczyk ogłosił, że wprowadzony zostanie zakaz wyprzedzania dla ciężarówek na autostradach i drogach ekspresowych, które mają tylko dwa pasy ruchu w jednym kierunku. Według nieoficjalnych informacji „Do Rzeczy" takie zadanie przed Adamczykiem postawiła kancelaria premiera. W resorcie w panice opracowywano nowe regulacje. Skończyło się dość ogólnymi zapisami, które zdaniem urzędników oznaczać mają, że wyprzedzanie ciężarówek będzie jednak dozwolone – gdy napotkają pojazd poruszający się znacznie wolniej, przy czym znacznie wolniej zdaniem urzędników to różnica 10 km/h i więcej.

Minister Adamczyk ogłosił też, że kierowcy osobówek nie będą już płacić za autostrady. To sprytnie podana kiełbasa wyborcza. Oznacza bowiem uczynienie bezpłatnymi zaledwie dwóch odcinków państwowych autostrad. W przypadku najdroższych, koncesyjnych odcinków rząd musiałby zerwać umowy – a do tej pory nie miał nawet sił na to, by ujawnić, co w nich jest.

Tymczasem PiS ma w szufladzie projekt, który zachwyciłby wszystkich kierowców, a nie byłby tylko obietnicą bez pokrycia (darmowe autostrady) czy zachętą do niebezpieczniejszej jazdy (kasowanie punktów karnych). Kilka miesięcy temu grupa ekspertów działająca przy GDDKiA przekazała do resortu infrastruktury opracowanie dotyczące znacznego ograniczenia liczby znaków na polskich drogach. To rozwiązałoby problem, na który kierowcy w Polsce narzekają od lat. Tego planu jednak akurat PiS w życie wprowadzać nie chce. Nie wiadomo dlaczego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

Matka Boża kontra

Tomasz Rowiński

Czy rzeczywiście motywacja religijna jest tą główną siłą napędzającą protest przeciw budowie centrum logistycznego w pobliżu sanktuarium w Gietrzwałdzie?

Ogólnopolski Protest Pielgrzymkowy przeciw inwestycji Lidla w Gietrzwałdzie, 5 maja FOT. TOMASZ WASZCZUK/PAP

Na sobotę 3 czerwca (czyli już po oddaniu tego wydania „Do Rzeczy" do druku) zaplanowano kolejną odsłonę protestu, który w Gietrzwałdzie trwa przeciwko planowanej tam przez koncern Lidla budowie centrum logistycznego. Jeśli przyjrzeć się tej sprawie jedynie powierzchownie, tak jak jest ona relacjonowana przez ogólnokrajowe media, to można odnieść wrażenie, że w tej mazurskiej wsi trwa spór pomiędzy rozsierdzonym, wzmożonym religijnie tłumem a racjonalnym inwestorem. Ci pierwsi zdają się bronić wizerunku Matki Bożej przed niemiecką profanacją, Lidl zaś po prostu chce dać ludziom miejsca pracy i wpłynąć na gospodarczy rozwój regionu oraz miejscowości. Czy to cała prawda o tej sprawie? Raczej nie.

SERIA OBJAWIEŃ

Zacznijmy od tego, dlaczego potencjalna inwestycja w Gietrzwałdzie budzi tyle emocji także poza lokalnymi mediami. W 1877 r. miała w tej niewielkiej miejscowości miejsce seria objawień maryjnych. Matka Boża ukazała się najpierw 12-letniej Justynie Szafryńskiej oraz 13-letniej Barbarze Samulowskiej. Niedługo potem podobnego zdarzenia doświadczyły dwie dorosłe kobiety: 23-letnia Katarzyna Wieczorkówna i 43-letnia Elżbieta Bilitewska. Objawienia były badane przez komisję kościelną jeszcze w trakcie ich trwania. Ostatecznie wydarzenia gietrzwałdzkie stały się jedynymi uznanymi przez Kościół objawieniami na terenach Polski.

Wedle szeroko powtarzanej relacji Matka Boska miała przekazać wizjonerkom proroctwo, według którego w przyszłości Kościół na ziemiach polskich nie będzie doświadczał prześladowania. Obiecała także wzrost liczebności polskich kapłanów, czego warunkiem miało być jednak odmawianie modlitwy różańcowej. Dodajmy, że Maryja przemówiła po polsku, a nawet – jak można przeczytać – w gwarze warmińskiej. Objawienia miały wzmocnić polski ruch patriotyczny na Warmii, zacieśnić jego relacje z Kościołem katolickim, a także utrwalić kult maryjny w Polsce. Można uznać, że opis ten to zaledwie ogólniki, jednak bez wątpienia Gietrzwałd pozostaje ważnym miejscem religijnym i pielgrzymkowym w naszym kraju.

LOGISTYKA I SANKTUARIUM

Problem, jak się zdaje, polega na tym, że centrum logistyczne Lidla miałoby powstać zaledwie 800 m od sanktuarium. Mówimy o potężnej inwestycji zajmującej 41 ha, na której miałaby się znaleźć hala o powierzchni ok. 80 tys. mkw. Na temat szkód, jakie miałaby wyrządzić inwestycja, krąży wśród protestujących wiele opinii. Najczęściej powtarzany jest argument, że do centrum logistycznego będą zwożone odpady, które zatrują glebę, wodę, a przede wszystkim powietrze.

Po pierwszej manifestacji, 5 maja – która miała charakter religijnej procesji i zgromadziła wedle szacunków podanych przez relacjonującego sprawę dziennikarza olsztyńskiej „Debaty" Adama Sochę ok. 600 osób – Lidl odniósł się do sprawy: „Nasze obiekty w żadnym stopniu nie emitują do środowiska niekomfortowych zapachów. Ze względu na lokalizację działki w Gietrzwałdzie oraz oddalenie od zwartej zabudowy mieszkalnej działalność naszego magazynu będzie komfortowa dla mieszkańców miejscowości". Dodano także, jakie pożytki wynikną z inwestycji dla całej okolicy, zastrzeżono jednak równocześnie, że ostateczna decyzja o rozpoczęciu inwestycji jeszcze nie zapadła, a rozważane są też inne lokalizacje.

Wydaje się jednak, że odpowiedź Lidla pomija inny ważny wątek podnoszony przez protestujących. „Istotą problemu jest zniszczenie krajobrazu. Gietrzwałd jest położony w dolince, od południa i północy są wzgórza. Co zobaczymy, jako pielgrzymi, dojeżdżając do sanktuarium? Olbrzymią halę Lidla. Dojedziemy i wejdziemy na drogę krzyżową, przy I stacji zobaczymy, że nad sanktuarium góruje magazyn Lidla. Jak jesteśmy w Los Angeles, to na wzgórzu widzimy wielki napis »HOLLYWOOD«. Tutaj takim napisem, który zdominuje krajobraz, stanie się LIDL" – mówił, wedle relacji Adama Sochy, jeden z uczestników majowego protestu. Ten argument wydaje się rzeczowy. W czasach, gdy ochrona krajobrazu stała się jednym z tematów debaty publicznej, lokalne władze razem z potężną niemiecką firmą zdają się lekceważyć tę kwestię.

Podczas majowego protestu jego lider, Jacek Wiącek, przewodniczący Komitetu Obrony Gietrzwałdu, wręczył na ręce

eprasa.pl dced4af17a

Janusza Tkaczyka, przewodniczącego Rady Gminy Gietrzwałdu, petycję w sprawie inwestycji z dołączonymi do niej 3270 podpisami. Sytuacja w gminie wygląda na bardzo napiętą. Biorąca udział w odbiorze petycji kierowniczka gminnego Referatu Organizacyjnego i Spraw Obywatelskich, Monika Towstyga – jak relacjonuje Adam Socha z „Debaty" – „wcześniej złożyła dwa zawiadomienia do policji na Jacka Wiącka, jedno z oskarżeniem podawania się za urzędnika gminy i wyłudzania podpisów pod wnioskiem o referendum w sprawie odwołania wójta oraz o kierowaniu pod jej adresem gróźb karalnych". Wiącek z kolei zaprzeczył tym informacjom i „zapowiedział podanie za te oszczerstwa do sądu".

Towstyga zarzuciła też Wiąckowi mijanie się z prawdą, jeśli chodzi o podawane przez niego informacje na temat inwestycji. Napięcie można zrozumieć, w Gietrzwałdzie mieszka niespełna 600 osób, ponad 3 tys. podpisów w sprawie to problem, nawet jeśli tylko 30 pochodzi od mieszkańców. Sprawa nabrała ogólnopolskiego charakteru.

OSIEDLE DOMÓW W TLE

Trzeba jednak zapytać, czy rzeczywiście motywacja religijna jest główną siłą napędzającą protest. Kościół lokalny nie wstawił się za protestującymi, podczas Mszy poprzedzającej majowy protest odprawiający ją księża nie wspomnieli nawet o intencji, w której ludzie zgromadzili się na liturgii.

Rektor sanktuarium ks. Marcin Chodorowski CRL zaapelował do wójta Jana Kasprowicza, by ten zapobiegł manifestacji na terenie sanktuarium.

Jeśli chodzi o skład osobowy marszu, to zebrali się na nim ludzie z całej Polski, reprezentujący dość oryginalny zestaw, jeśli chodzi o afiliacje środowiskowe. Byli tam zatem przedstawiciele ruchu Intronizacji Chrystusa na Króla Polski, Apostołowie Czasów Ostatnich, Niewolnicy Maryi, Bractwo św. Piusa X, a nawet Kamraci Wojciecha Olszańskiego ps. Jaszczur. Zresztą redakcja portalu informacyjnego Olsztyn.com.pl zarejestrowała rozmowę z samym Olszańskim.

Wiącek zapytany przez Adama Sochę o ludzi uczestniczących w jego proteście zadeklarował nieświadomość składu osobowego własnej manifestacji. „Jestem przedsiębiorcą, pierwszy raz w życiu organizowałem protest społeczny. Nie mając doświadczenia, zwróciłem się o pomoc do pana Zakrzewskiego, to nasi znajomi. Oni skupiają wiele organizacji, jeżdżą od lat po całej Polsce z pielgrzymkami, organizują spotkania, mają doświadczenie" – mówił.

Sławomir Zakrzewski jest czasem przedstawiany jako jeden z liderów ruchu intronizacyjnego, jednak na stronie Intronizacja.pl możemy znaleźć oświadczenie dystansujące się od jego osoby. Wedle jego własnej deklaracji nie jest on jednak także związany z ruchem suspendowanego ks. Piotra Natanka. „Dotychczas żyłem w innej sferze, biznesowej, z takimi sprawami nie miałem do czynienia. Co mogłem zrobić? Musiałbym im wydzierać mikrofon. Mikrofon nie był mój. To odbyło się poza moją kontrolą. Użyli mnie jako narzędzia" – dodał Wiącek.

Sedno sprawy być może jednak znajduje się gdzie indziej. Warto przywołać fragment wystąpienia przewodniczącego Komitetu Obrony Gietrzwałdu z majowego protestu. „Wójt mówił, że ta inwestycja to podarunek dla gminy, że będą miejsca pracy. Najpierw rada gminy zrobiła plan zagospodarowania pod osiedle mieszkaniowe, gmina sprzedała kilkaset działek budowlanych. Jak je sprzedali i ludzie się pobudowali, to następnie zrobili plan dla Lidla. Starosta olsztyński wydał pozwolenie na budowę. Ludzi, którzy kupili działkę i pobudowali się sześć metrów od tego wysypiska [chodzi o odpady, które ponoć Lidl na gromadzić w nowym centrum logistycznym – przyp. T.R.], nie uznał za stronę. Złożyliśmy trzy skargi do prokuratury: o przekroczenie uprawnień, wprowadzenie w błąd i poświadczenie nieprawdy, wysłaliśmy też trzy skargi do wojewody" – mówił Wiącek 5 maja. Wypowiedź tę opublikowała wspomniana już olsztyńska „Debata".

Wydaje się, że poza boskim i religijnym aspektem sprawy ma też ona charakter bardzo ludzki. W bezpośredniej odległości działki, na której ma powstać inwestycja Lidla, powstaje także osiedle domów jednorodzinnych. Zdaniem mieszkających tam ludzi nie zostali oni poinformowani, że na ziemi znajdującej się tuż koło ich rodzinnych siedlisk ma powstać gigantyczny obiekt logistyczny. Bez wątpienia – nawet jeśli wszystko odbędzie się zgodnie z prawem – taki obiekt całkowicie zmieni warunki zamieszkania. Jeszcze do niedawna działka, na której ma powstać centrum, miała zresztą charakter rolny.

Lidl na pytanie zadane przez Adama Sochę, czy działka, o którą toczy się spór, należy już do korporacji, odpisał: „Aktualnie jesteśmy zainteresowani wieloma lokalizacjami, w których moglibyśmy wybudować nowe centrum dystrybucji Lidl Polska – jedną z nich jest Gietrzwałd. Obecnie nie jesteśmy właścicielem wspomnianej przez Pana działki ani nie planujemy budowy kolejnego centrum pod Biskupcem". Na 14 bardziej szczegółowych pytań „Debaty" przedstawiciele Lidla już nie odpowiedzieli.

Tymczasem w ostatnich dniach maja Prokuratura Rejonowa w Olsztynie wszczęła śledztwo „w sprawie niedopełnienia obowiązków i przekroczenia uprawnień przez wójta gminy Gietrzwałdu w związku z wydaniem decyzji stwierdzającej brak potrzeby przeprowadzenia oceny oddziaływania na środowisko inwestycji Centrum Dystrybucyjne Lidl Gietrzwałd". Zawiadomienie to nie wyszło od Jacka Wiącka, ale od Ekologicznego Stowarzyszenia Przyjaciół Jeziorka Pieniążek. Jaki będzie ciąg dalszy tej historii? Tego nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że gdyby nie Matka Boża z Gietrzwałdu, nikt pewnie nie zainteresowałby się sprawą, która, jak się zdaje, wymaga jednak prześwietlenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

Ostatni bohaterowie

Piotr Gociek

Arnold Schwarzenegger, Harrison Ford, Sylvester Stallone – w świecie kultu młodych symbolami męskości nadal pozostają sędziwi gwiazdorzy kina akcji

Luke Brunner to najbardziej dobroduszny agent w dziejach CIA. Co prawda, wypala dziury w ścianach i rozwala czaszki, ale jednocześnie dba o to, by dzieci likwidowanych handlarzy bronią miały wikt i opierunek w najlepszych londyńskich szkołach, ma bzika na punkcie córki oraz żony (byłej). Jest także niezniszczalny: przeżył zamach ze strony rosyjskiej mafii; wpuść go do kwatery bandziorów w Antwerpii, a sam wytłucze wszystkich (nie zapominając o pobraniu krwawego diamentu dla wnuczki). Wszystko to nie dziwi, gdy w grę wchodzi Arnold Schwarzenegger, specjalista zarówno od ról ekranowych twardzieli, jak i dekonstrukcji tego wizerunku. Nigdy nie stronił od komedii, pamiętamy przecież „Gliniarza w przedszkolu" czy „Świąteczną gorączkę". A elementy komiczne na jego życzenie umieszczano także w całkiem poważnych filmach akcji.

Arnold gubernator udał się na emeryturę po dwóch kadencjach (2003–2011), co pozwoliło mu na powrót do aktorskiej kariery, ale żaden z jego późnych filmów nie okazał się wielkim sukcesem: nawet reanimacja franczyzy „Terminator". Największe dochody w kinach przyniosła kpina ze złotych czasów kina akcji, czyli trzy filmy z serii „Niezniszczalni" wymyślone przez Sylvestra Stallone'a. Nie tylko Schwarzenegger parodiował w nich samego siebie, obok występowała cała plejada gwiazd hitów z lat 80. i 90. (jesienią tego roku ma pojawić się film czwarty, ale o udziale Arniego na razie nic nie wiadomo).

SCHWARZENEGGER W WERSJI MAŁOEKRANOWEJ

Pozostaje telewizja – to tam dziś robi się prawdziwe pieniądze. I oto dostaliśmy Schwarzeneggera w wersji małoekrano-

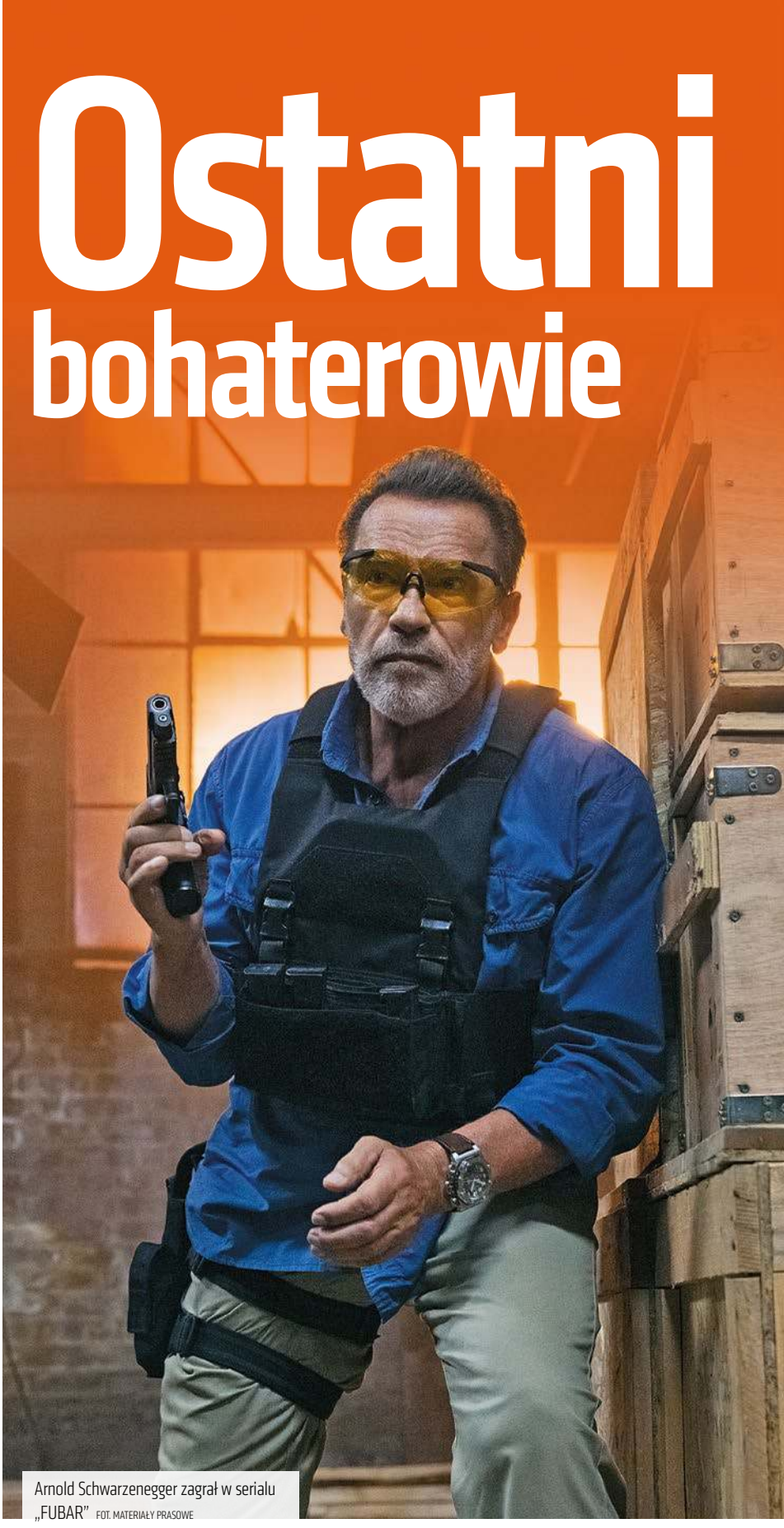

Arnold Schwarzenegger zagrał w serialu „FUBAR" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl dced4af17a

wej, ale wzorowanej na wielkoekranowej, gdyż najlepiej sprzedaje się to, co już raz sprzedano. W ośmioodcinkowym serialu „FUBAR" dostępnym na Netflixie Arnold ukrywa swoją szpiegowską karierę przed rodziną. Jeśli przypomina to wam „Prawdziwe kłamstwa", to jesteście na dobrym tropie. Ale tu tych kłamstw jest więcej, bo w serialu Nicka Santory także córka głównego bohatera jest tajną agentką – i także ukrywa swą prawdziwą pracę przed pozostałymi domownikami. Po obiecującym początku rzecz traci rozpęd – nie fabularny, bo rzucani jesteśmy po całym świecie – ale emocjonalny. Bo historia jest przeciągnięta: tata nieustannie gdera i martwi się, że córka pali, pije i przeklina, a córka ma pretensje, że tata traktuje ją jak dziecko. Nieważne, zaraz po premierze „FUBAR" (skrót od żołnierskiego: „Fucked Up Beyond All Repair") stał się najchętniej oglądanym serialem Netflixa w Polsce. Magia Arnolda wciąż działa.

Jesteśmy od pewnego czasu świadkami czegoś więcej niż serii zaskakujących come backów. Jak to się stało, że mimo obecnych trendów ideologicznych w Hollywood wciąż w fabryce snów tak potężną pozycję mają starzejący się gwiazdorzy kina akcji? Podczas ostatniego festiwalu w Cannes nikt chyba nie skupiał takiej uwagi dziennikarzy jak Harrison Ford, który przyjechał promować piątą część przygód Indiany Jonesa. „Jest pan wciąż bardzo sexy" (pozwólcie, że tak przełożę zdanie „still very hot") – rzuciła jedna z dziennikarek na konferencji prasowej. „Pobłogosławiono mnie takim ciałem" – odparł z uśmiechem gwiazdor. Co z tego, że film kiepski? Magia Harrisona Forda też wciąż działa. Tak jak Arnolda Schwarzeneggera. Gdyby chciał, mógłby nie schodzić z planu 365 dni w roku, propozycji jest mnóstwo. On też przeprosił się z małym ekranem. Dopiero co widzieliśmy go w znakomitych serialach „Terapia bez trzymanki" i „1923". Ford ma 81 lat. Schwarzenegger – 76 lat.

SIEDEMDZIESIĘCIOSIEDMIOLETNI HEROS

Spójrzmy na wywołanego już do tablicy przy okazji napomknięcia o „Niezniszczalnych" kolejnego herosa i symbolu twardych facetów. Sylvester Stallone ma lat 77 i nie zwalnia. W ostatnich latach nie tylko domknął serię „Rambo" oraz był główną siłą napędową nowej trylogii z uniwersum Rocky'ego Balboy (trzy świetne filmy z serii „Creed"), lecz także wynalazł się na nowo – również na potrzeby serialu. „Tulsa King", opowieść o gangsterze z New Jersey, który zaczyna nowe życie i nową karierę przestępczą w Oklahomie, to propozycja udana (recenzowałem serial w „Do Rzeczy" nr 9/2023), a jego twórcą jest Taylor Sheridan, ten sam, który pięknie prowadzi w „1923" Harrisona Forda.

Clint Eastwood w filmie „Cry Macho" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Stallone bawi się swoim wizerunkiem twardziela – wciąż jest gościem, który uważa przemoc za doskonałą metodę rozwiązywania wszelkich problemów, ale musi pewne rzeczy przemyśleć, bo jego Dwight Manfredi ma dorosłą córkę. Ach, magia kina – przecież gdyby patrzeć tylko na metryki, to i Arnold, i Sly powinni już troszczyć się na ekranie o dorosłe wnuczki. Tymczasem Stallone w „Tulsa King" łamie serca dam młodszych od niego o połowę. Jest w doskonałej formie fizycznej. Moglibyśmy powiedzieć „still very hot", tak jak Harrison Ford. Nie wybiera się na emeryturę, pracuje nad czwartą częścią „Niezniszczalnych", zapowiada sequel „Człowieka demolki", marzy o nakręceniu biografii Edgara Allana Poe i tak dalej. Jedno jest pewne – możemy spodziewać się, że spod jego ręki wyjdzie więcej ciekawych projektów niż spod ręki Arnolda. Stallone po pierwsze jest lepszym aktorem od jednowymiarowego i wciąż mówiącego z ciężkim niemieckim akcentem Schwarzeneggera, po drugie sam produkuje i reżyseruje filmy, po trzecie jest też utalentowanym scenarzystą (sam sobie napisał scenariusz do „Rocky'ego").

Skoro już mowa o aktorach, którzy przebili się w świecie kina akcji, a startowali z pozycji europejskiego outsidera – wspomnijmy jeszcze belgijskiego zabijakę, który zwie się Jean-Claude Van Damme. To oczywiście nie ta liga co Sly i Arnie, jest także nieco młodszy (ma 63 lata), ale jego rola w meblowaniu głów fanom kina akcji jest niezaprzeczalna. Gwiazdor „Krwawego sportu" aktywny jest do dziś, gra na małym i dużym ekranie, w rodzinnej Belgii doczekał się pomnika (drugi postawiono w Azerbejdżanie, w wiosce, która przypadkowo nazywa się Vandam). Van Damme zagrał kilka lat temu w przejmującym, mrocznym dramacie kryminalnym „Gotowy na wszystko", kpił z samego siebie w serii komediowej „Jean-Claude Van Johnson" wyprodukowanej przez Ridleya Scotta dla Amazona, został też odkurzony przez francuskie ramię Netflixa („Ostatni najemnik"). Nie zamierza spocząć na laurach. Wiem, wiem, to gwiazda B-klasowa, ale każda klasa potrzebuje swoich idoli. Domykając ten wątek, spójrzmy na Chucka Norrisa, symbol tandety w kinie akcji – nawet ludzie, którzy nie widzieli nigdy żadnego filmu z jego udziałem, wiedzą, kim jest Chuck Norris. W ostatniej dekadzie 83-letni aktor zagrał w takiej liczbie reklam,

eprasa.pl dced4af17a

Kadr z serialu „Tulsa King"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

o jakiej nawet pewnie nie marzył, będąc u szczytu popularności ekranowej.

NOWY FILM CLINTA EASTWOODA

Wróćmy do ekstraklasy. Niewielu wie, że jednym z najbardziej kasowych aktorów wszech czasów jest Samuel L. Jackson, lat 75. Filmy, w których wystąpił, zarobiły łącznie na całym świecie 27 mld dol. Gwiazda „Pulp Fiction" to przecież także aktor z uniwersum „Gwiezdnych wojen" oraz Marvel Cinematic Universe. Od kilku lat woli teatr od kina, ale wciąż jest potrzebny na małym i na dużym ekranie. Podobnie jak Schwarzenegger, Stallone czy Ford jest wciąż jednym z najbardziej rozchwytywanych przez producentów symboli Hollywood.

Ojcem wszystkich wymienionych wyżej aktorów (oprócz naprawdę sędziwego Harrisona Forda) mógłby być Clint Eastwood, rocznik 1930. 31 maja obchodził swoje 93. urodziny. Ekranowy twardziel, bez którego trudno wyobrazić sobie kilka dekad historii kina. W tym miesiącu zaczyna kręcenie swojego nowego filmu „Juror no. 2", w którym wystąpią Nicholas Hoult, Toni Collette, Zoey Deutch i Kiefer Sutherland. Samego Eastwooda pewnie na ekranie nie zobaczymy, ale uniósł przecież ledwie dwa lata temu ciężar głównej roli w „Cry Macho", filmie niezasłużenie zignorowanym przez gremia przyznające rozmaite nominacje do nagród. Z całej omawianej tu grupy zapewne jeden jedyny Eastwood nie ma ochoty ani interesu w tym, żeby reanimować swoją karierę na małym ekranie. Jest figurą tak znaczącą w historii amerykańskiego kina, że niczego już nie musi i niczego nie potrzebuje.

Przyznajmy, cała ta galeria jest imponująca, a większość występujących w niej aktorów to ludzie, którzy mogą swoimi zawodowymi wyborami wciąż trząść Hollywood oraz rozpalać wyobraźnię widzów na całym świecie. Harrison Ford, Arnold Schwarzenegger, Sylvester Stallone, Clint Eastwood, Samuel L. Jackson – nie ma takiego inwestora branży filmowej, który nie marzyłby o dowolnym z nich w swojej produkcji. Oczywiście łatwo byłoby ten kult wytłumaczyć jedynie dawnymi sukcesami, Hollywood uwielbia sprawdzone historie i sprawdzonych bohaterów, recykling pomysłów jest podstawą tego biznesu nie od dziś. Ale nie byłoby tego wszystkiego, gdyby nie niegasnące zainteresowanie i miłość – nie waham się użyć tego słowa – kolejnych pokoleń widzów. Pokolenie dzisiejszych 30-latków ma już inne rozrywki, ale większość opisanych tu postaci ma wśród nich status kultowych. Czy to tylko efekt nostalgii? Czar charyzmy?

Postawię tezę, że coś więcej. Starzejący się pięknie na naszych oczach władcy zbiorowej wyobraźni to symbole bohaterów, których dziś masowa kultura nigdy by nie stworzyła. W czasach politycznej poprawności, inkluzywności, metroseksualizmu, rozchwiania i rozmycia wzorów męskości, w czasach, kiedy samo słowo „męski" stało się podejrzane, siwiejący gwiazdorzy zdają się przybyszami z innego świata. Rzeczywiście nimi są – i dlatego wciąż są kochani. Co łączy tworzone przez nich postacie? To ludzie czynu, którzy nie wahają się brać spraw we własne ręce, którzy własnymi siłami stawiają czoła wszelkim przeciwnościom. Nawet gdy dekonstruują mity męskości (jak czyni to Clint Eastwood), pozostają tej męskości symbolami. Ich nieustanna popularność to cud w czasach, gdy fetyszem popkultury jest młodość.

Mądrzy agenci mądrych aktorów wiedzą, że jeśli nie jesteś młodzieniaszkiem występującym w ekranizacjach powieści young adult albo latającym po ekranie w trykocie superbohatera, najlepszą metodą na przedłużenie kariery jest status emerytowanej gwiazdy kina akcji, prawdziwego mężczyzny, który żadnej misji się nie boi. Spójrzmy, jak w ostatniej dekadzie wykreowano na taką postać Liama Neesona (71 lat).

Zacząłem tę opowieść od Arnolda Schwarzeneggera i na nim chciałbym zakończyć. Powrócił już jako Terminator, powrócił w serialu „FUBAR" jako kolejna wersja Harry'ego Taskera z „Prawdziwych kłamstw". Pięknym domknięciem jego kariery byłby powrót do jeszcze jednej ikonicznej roli" – Conana Barbarzyńcy. Film Johna Miliusa z roku 1982 był filmem wybitnym, mrocznym, pełnym nietzscheańskich odniesień. Kolejne ciągi dalsze zawodziły, podobnie jak reboot z Jasonem Momoą w roli głównej. Schwarzenegger marzy o powrocie do klimatu pierwszego filmu i od lat zabiega o zielone światło dla tego projektu.

„King Conan" lub „Legend of Conan" – jeszcze nie zdecydowano – miałby być dla świata fantasy tym, czym „Bez przebaczenia" Eastwooda dla świata westernu. Starzejący się król Conan spogląda wstecz na wszystko, czego dokonał. Czy było warto przelewać krew? Czy cywilizacja może zatriumfować nad barbarzyństwem? Czy okrucieństwo w służbie cywilizacji nie cofa nas do stanu barbarzyństwa? Schwarzenegger bardzo chciałby zakończyć swą karierę takim akcentem – a ja, podobnie jak wielu innych widzów, trzymam kciuki za powodzenie. O innych marzeniach Arniego – i ich spełnianiu – opowie zaś miniserial dokumentalny „Arnold". Wjeżdża na Netflixa w środę 7 czerwca.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

REPUBLIKA

DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
19:10

Podsumowanie najważniejszych wydarzeń dnia w Telewizji Republika z udziałem zaproszonych do studia polityków, dziennikarzy, komentatorów i ludzi kultury.

Prowadzą: **Adrian Stankowski**, **Piotr Lisiewicz** i **Tomasz Sakiewicz**

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl dced4af17a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Poświęcenie

CANAL+ ONLINE
CINEMAN
player

Oto „Top Gun: Korea" – na planie filmu Dillarda spotkali się Glen Powell, którego niedawno widzieliśmy u boku Toma Cruise'a w „Mavericku", oraz Kevin LaRosa, który odpowiadał za choreografię walk powietrznych w tymże filmie. Jednak „Towarzysze broni" to opowieść mroczniejsza. Także o przyjaźni, tyle że dużo trudniejszej: akcja rozgrywa się w roku 1950, kiedy to piloci marynarki wojennej USA szykujący się, by dać odpór Rosjanom w Europie, niespodziewanie wyruszają do Korei, gdzie wybucha pierwszy wielki konflikt czasów zimnej wojny. A rok 1950 to chwila, kiedy czarnoskórzy lotnicy są rzadkością. Tymczasem tytułowi towarzysze broni to para mieszana: czarnoskóry Jesse Brown (świetna rola Jonathana Majorsa) oraz Tom Hudner (Glen Powell).

Historia wydarzyła się naprawdę. Bohaterowie filmu szkolili się razem, wspólnie wypełniali misje bojowe, a ich rodziny przyjaźnią się do dzisiaj. Ale nic nie jest łatwe i proste w tej historii. Biały nie rozumie, przez co przeszedł jego czarny kumpel, by trafić w miejsce, w którym się znajduje. Tymczasem Brown motywuje się, wyrzucając z siebie w samotności do lustra obelgi – zapisał każdą, którą go poczęstowano podczas walki o spełnienie marzeń. Czarnoskóry pilot nie umie z kolei pojąć, że wyrazy sympatii ze strony Hudnera nie są podszyte protekcjonalizmem. Obaj wiele będą musieli się nauczyć.

Film J.D. Dillarda (syna czarnoskórego lotnika) jest też opowieścią o zapomnianej wojnie w Korei, o zimowym piekle, w którym Amerykanie z heroizmem odpierali szturmy wielokrotnie liczniejszych komunistów z Chin. Nade wszystko jest to jednak opowieść o różnych rodzajach poświecenia (tak jak podpowiada oryginalny tytuł „Devotion"). O poświęceniu w służbie ojczyźnie, poświęceniu dla przyjaźni, poświęceniu dla rodziny, a przede wszystkim poświęceniu, by w mało przyjaznym otoczeniu zdobyć szacunek i ocalić godność. Smutny fakt: naprawdę niezły film o tym, jak czarny i biały mogą nawzajem się szanować i ze sobą współpracować, okazał się kasową katastrofą w amerykańskich kinach. Cóż, w takich czasach, gdy wygrywa propaganda BLM, nie ma już miejsca na „Land of the free and the home of the brave". Wygrywa hasło: „Białas – twój wróg". ©℗

★★★★☆☆

REŻ. J.D. DILLARD
„TOWARZYSZE BRONI" („DEVOTION")
USA 2022

wyst. Jonathan Majors, Glen Powell

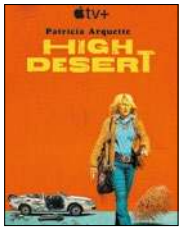

NOWE SERIALE: „PUSTYNIA WYSOKICH LOTÓW" tv+

Peggy to podstarzała ćpunka, która po śmierci matki postanawia odmienić swe życie. Odwyk, nowa praca, nowi znajomi – wychodzi z tego niewiele, bo by pomnożyć swój stan posiadania, trzeba coś mieć, a Peggy nie ma nic. No, prawie nic – jest bystra, wyszczekana i bezczelna. Może więc zrobi karierę jako prywatny detektyw? Tragikomedia w reżyserii Jaya Roacha przypomina powieści Elmore'a Leonarda i filmy Tarantino. Patricia Arquette w roli głównej – wybitna. ***Piotr Gociek***

- *sezon 1* ***„Pustynia wysokich lotów" („High Desert")****, USA 2023*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1* ***„Kin"****, Irlandia 2021* viaplay
- *reż. Mateusz Rakowicz* ***„Dzień Matki"****, Polska 2023* N
- *miniserial* ***„Spy/Master"****, Rumunia 2023* HBO max

eprasa.pl dced4af17a

Potwór z szafy

KINO

Prezent od wytwórni Disneya na Dzień Dziecka, średnio trafiony. Któż, małolatem będąc, nie podejrzewał, że zły czai się w szafie ze starymi ubraniami, względnie pod łóżkiem, o atawistycznym lęku przed ciemnością nie wspominając? Wszystkie te strachy są lepiszczem „Boogeymana". Kłopot w tym, że filmowe adaptacje prozy Stephena Kinga nader rzadko trzymają poziom, opowiadanie „Czarny lud", które król horroru raczył oddać do druku 50 lat temu, opiewa zaś na stron 16. Na ekranie streszczono je w kilka minut i również widz, który z oryginałem nie obcował, zauważy, że Rob Savage gra na czas. Tak leniwie płynąca fabuła w amerykańskich produkcjach zdarza się rzadko. Można odnieść wrażenie, że tytułowemu potworowi o wiele większą radochę sprawia nękanie ludzi niż wysysanie z nich dusz. Boogeyman Kinga nie naśladował cudzych głosów i najchętniej zabijał małe dzieci, wręcz niemowlęta. Tutaj poluje na kogo popadnie. Nawet na terapeutów, choć przecież oni ułatwiają mu robotę, wmawiając ofiarom, że nieodbyta żałoba skutkuje wiarą w istnienie demonów. To kolejny sygnał, że w kraju Wuja Sama wyznawcy psychoanalizy zostali zepchnięci do defensywy. Czas na nowe teorie, które oddalą od nas koszmarne podejrzenie, że metodami (para) naukowymi świata wytłumaczyć się nie da. Umysłowa elito – do dzieła! ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. ROB SAVAGE
„BOOGEYMAN"
USA 2023

wyst. Sophie Thatcher, Chris Messina, Vivien Lyra Blair

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NORWIDEM PO OCZACH

NINATEKA

„Polak jest olbrzym, a człowiek w Polaku – karzeł". Film, nakręcony z okazji 100. rocznicy śmierci czwartego wieszcza, jest teatralny, monotonny i ponury, jak przystało na produkcję z epoki stanu wojennego. Idealnie współgra z propagandowym przekazem o emigracji skłóconej, podupadłej oraz oderwanej od rzeczywistości. Reżyser i odtwórca głównej roli w wywiadach podkreślał, że historia lubi się powtarzać. Norwid w interpretacji Gogolewskiego to zaskakująco zdrowo wyglądający gbur, zgorzknialec i flejtuch. Marzą mu się salonowe triumfy, więc jako lokator przytułku dla sierot i ubogich weteranów jest źródłem utrapienia dla zakonnic, zmagających się z groteskowymi protestami ekspowstańców. Poeta, zagorzały krytyk wad narodowych, nie szczędzi rodakom słów przykrych, jawiąc się klasykiem pedagogiki wstydu. „Bezwartościowe społeczeństwo" mu wybaczyło, gdyż wieszczom wolno więcej niż filmowcom. ©℗

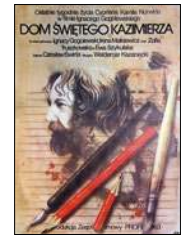

★★☆☆☆☆

REŻ. IGNACY GOGOLEWSKI
„DOM ŚWIĘTEGO KAZIMIERZA"
POLSKA 1983

wyst. Ignacy Gogolewski, Irena Malkiewicz, Adolf Chronicki

ZWIĄZEK OTWARTY

NH nowe horyzonty

Melodramat współczesny, czyli on, ona i telefon komórkowy. Para z pięcioletnim stażem, odkrywszy, że do ich związku wkradła się rutyna, postanawia wcielić w czyn ukrywane erotyczne fantazje. Zaczyna się softowo: od flirtowania na oczach partnera z obcym facetem w knajpie. Potem akcja nabiera wigoru, bo Hanka i Petr odkrywają uroki modnej też w niektórych polskich środowiskach poliamorii. Ona z entuzjazmem nurza się w rozpuście, on wykazuje coraz mniej entuzjazmu. Tylko czekać, aż pojawi się zazdrość, a wzajemne zaufanie legnie w gruzach. Historia ponoć z życia wzięta i może dlatego zero w niej zaskoczeń. Od pierwszej do przedostatniej minuty fabuła zmierza w przewidywalnym kierunku. Można jednak dostrzec parę ciekawostek (np. wnuczkę Miloša Formana w epizodzie) i skonstatować, że do pełni szczęścia Czechom wciąż brakuje jednej rzeczy: morza.

Wiesław Chełminiak

★★☆☆☆☆

REŻ. TOMASZ WIŃSKI
„GRANICE MIŁOŚCI" („HRANICE LÁSKY")
CZECHY/POLSKA 2022

wyst. Hana Vagnerová, Matyáš Řezníček, Martin Hofmann

GRA TYGODNIA: „THE LEGEND OF ZELDA: TEARS OF THE KINGDOM"

Rok 2023 to rok kilku wielkich premier, w niektóre tytuły tłuc będziemy latami, ale wszystkie one nieco bledną przy fenomenalnym „TotK". Niebywały popis kreatywności twórców (i graczy), przesunięcie granic. Niespotykana swoboda w ogromnym, przemyślanym i logicznym świecie, w którym wszystko (od zerwania jabłka z drzewa do pokonania najtrudniejszych bossów) zrobić możemy na wiele sposobów. Jeśli coś może zadziałać – to działa. Gra na setki+ godzin, która potrafi zaskakiwać nawet wtedy, gdy wydaje nam się, że już prawie wszystko o niej wiemy. Arcydzieło. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Akcji, sandbox, TPP*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Nintendo, ConQuest*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

eprasa.pl dced4af17a

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wiersze, które nie zawracają głowy

Okładkowa reprodukcja obrazu Jacka Malczewskiego „Thanatos" z miejsca wprowadza w atmosferę tego tomu wierszy, w którym malarstwo jest równie ważne jak poezja. Pięćdziesiąt utworów składających się na zbiór „Zimno nadchodzi" Cezarego Macieja Dąbrowskiego mniej lub bardziej wyraźnie odnosi się do najznakomitszych płócien artystów Młodej Polski, z których 30 zostało tu pokazanych. Z Malczewskim na czele, a także z Chełmońskim, Wyczółkowskim, Podkowińskim, Maksymilianem Gierymskim…

„Malarstwo polskie końca XIX wieku i początku XX – pisze autor w krótkim wstępie do tej już 14. książki w jego dorobku – pociąga mnie nie tylko mistrzostwem oddania rzeczywistości, ale poprzez swoisty mistycyzm, zaspokaja mój głód prawdziwej sztuki. Jest arcypolską i arcyartystyczną mieszanką talentu, mistrzostwa, proporcji, treści, głębi estetycznej, nieposkromionej wyobraźni, i… właśnie, uduchowionej wolności…".

Bo to ten wolny polski duch był i jest najważniejszy. Tylko (albo aż) dwa razy sztuka polska osiągnęła absolutne wyżyny, przemówił przez nią geniusz: w romantycznej poezji i młodopolskim malarstwie. Dąbrowski jest tego świadomy, choć nie zamyka się w tym kręgu, poświęcając swoje wiersze i Tadeuszowi Gajcemu, i Krzysztofowi Kamilowi Baczyńskiemu, a za motyw przewodni tomu obierając sobie strofę z przepięknego (innych zresztą nie pisał) wiersza Jana Lechonia „Pytasz, co w moim życiu…", w którym poeta przyznawał, że „… jedno wiemy tylko. I nic się nie zmienia. / Śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci".

Dąbrowski podąża za tą myślą twórcy „Karmazynowego poematu":

Należy pisać takie wiersze
jakby kolejny był ostatnim
Nie będzie już korekty większej
niż ta po której jest akapit

Dlatego każdy wyraz dręczy
a myśl wciąż toczy bój o wszystko
bo jeśli koniec to największy
a jeśli prawda to najczystsza

Powie czytelnik – ten miał szczęście
bo przeżył życie z wierszem w sercu
a jeśli miłość jest poezją
to znaczy że mu była wielką

Pewnie miał rację Lechoń pisząc
że jedno chroni od drugiego
Poeta pisząc traci wszystko
A tracąc wiersz wszystko umiera.

Utwór zatytułowany „Da capo al fine" zaopatrzony jest w informację: „Mając w pamięci obraz Jacka Malczewskiego »Wizja«". Tak to się właśnie jedno z drugim przenika.

Naturalnie nie są wiersze Cezarego Dąbrowskiego poetyckim przewodnikiem po malarstwie czy literaturze. Po prostu – powiada – „nastał taki etap w mojej twórczości, że sięgnąłem po młodopolskich twórców, odnosząc się do przeszłości i współczesności także. I, co oczywiste, nie mogły powstawać utwory »jeden do jednego«, bo i nie śmiałbym zgadywać lub, co gorsze, opisywać dzieł sztuki polskiego symbolizmu i realizmu. Są to, jak zawsze, moje własne wglądy we własną duchowość, zakotwiczoną w polskiej historii, które, w zapisie, stają się odrębną wizją opartą na bodźcach i realiach teraźniejszości. Dlatego to »dziecię«, a nie »chłopiec« w wierszu »Patrzący w niebo«, bo za wschodnią granicą, w walczącej Ukrainie, to dzieci giną, patrząc w niebo, a starcy to przecież »wszyscy«, ci, którzy pamiętają okrucieństwa drugiej wojny światowej, a to My wszyscy, patrzący dziś w niebo… Wszyscy dźwigamy tę pamięć".

Poeta, do czego przyzwyczaili się już czytelnicy jego tomów, i tym razem nie unika gorącej tematyki współczesnej, politycznej także, choć nie przede wszystkim. Nie uprawia przy tym żadnych poprawnościowych wygibasów, lecz mówi, jak się żyje, jak mieszka „w sąsiedztwie Rosji postradzieckiej" i że „Zawsze śmierć nad nami / Taki mamy klimat / I ma różne twarze / Jedną z nich Putina", pochyla się nad „Pochodem na Sybir" Artura Grottgera i „Pożegnaniem Europy" Aleksandra Sochaczewskiego, a w wierszu inspirowanym „Polonią" Malczewskiego wylicza zbrodnie zadane Polsce przez zaborców, by jednak na powtarzane tu pytanie: „Co mówi Polonia?" odpowiedzieć, że „W końcu na jej ustach / Uśmiech i korona / Że Bóg wolność dał".

Gdzie indziej zaś, w „Dlaczego Malczewski. Studium przekazu", wykłada swoje poetyckie credo:

Pisz wierszem, który nie zawraca
głowy,
lecz jest gotowy, by wniknąć
w tkankę nową,
nie tylko samą głową, lecz sercem,
barwą,
takim malowaniem, co jest
ratunkiem,
brzaskiem i przetrwaniem.

A choćby czerń podstawą płótna,
To nie zamazuj jutra. ©℗

★★★★☆

CEZARY MACIEJ DĄBROWSKI „ZIMNO NADCHODZI"
LTW, ŁOMIANKI 2023

eprasa.pl dced4af17a

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Obywatel Rico

Byliśmy zgodni podczas panelu poświęconego wojnie w fantastyce (targi książki w Warszawie, a towarzystwo było tyleż zacne, co różnorodne – m.in. Andrzej Sapkowski i Rafał Kosik) w sprawie najlepszych książek SF o wojnie. Oczywiście Vonnegut i jego „Rzeźnia numer 5", oczywiście „Wieczna wojna" Haldemana. No i „Żołnierze kosmosu" Roberta A. Heinleina, książka, od której zaczęła się moja miłość do tego autora, zanim jeszcze cokolwiek jego autorstwa przeczytałem. A to dlatego, że w jednej z komunistycznych książek o literaturze SF napisano, że Heinlein to amerykański militarysta. Nic nie mogło wzbudzić większej sympatii nastolatka w okupowanym przez Sowietów PRL, jak taka rekomendacja.

Z Heinleinem jest kłopot. Kontrkulturowa lewica wielbi jego „Obcego w obcym kraju", prawica czci nie tylko „Żołnierzy kosmosu", lecz także powieść „Luna to surowa pani", w której mieszkańcy Księżyca buntują się przeciw tyranii Ziemian, tak jak kiedyś koloniści amerykańscy przeciw Brytyjczykom. Oskarżenia o militaryzm powracają, bo bohaterowie Heinleina to ludzie czynu, którzy nie boją się brać spraw we własne ręce, a w „Żołnierzach kosmosu" główny bohater Rico wychodzi na ludzi dzięki służbie wojskowej. Cóż, we współczesnych USA dla niejednego naprawdę armia jest jedynym ratunkiem. W marines doprowadzają ich nie tylko do formy fizycznej; uczą rekrutów oszczędzania, zdrowego jedzenia, edukują i dają szanse na studia. Poczytajcie J.D. Vance'a i jego „Elegię dla biedaków".

„Żołnierze kosmosu", opowieść o wielkiej wojnie z insektopodobnymi obcymi, paradoksalnie nie jest jednak powieścią o armii, lecz o cnotach obywatelskich. W obszernych fragmentach książki Heinlein dzieli się przemyśleniami, a blisko mu było do libertarian. Proponuje więc taki zabieg: tyle praw, ile obowiązków. Dopiero służba wojskowa jest przepustką do prawa wyborczego. Bo dlaczego ktoś miałby mieć wpływ na losy społeczności, skoro do jej bezpieczeństwa i dobrobytu się nie dokłada? Pokaż, ile jesteś w stanie poświęcić dla wspólnego dobra, a wtedy okażesz się prawdziwym obywatelem. Czyż nie jest dziś podobnie w Izraelu?

Jedni widzą w tym receptę na militarną dyktaturę, inni – pomysł na propagowanie myślenia w kategoriach dobra wspólnego. Temat do dyskusji jest, a powieść Heinleina – napisana wyśmienicie.

★★★★★☆

ROBERT A. HEINLEIN „ŻOŁNIERZE KOSMOSU" MAG 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Ciąg dalszy bestsellerowego „Chłopca w pasiastej piżamie". Kilka dekad później powracają pytania: Czy dzieci odpowiadają za grzechy ojców? Czy jest za późno, by uczynić to, co właściwe?

JOHN BOYNE „CÓRKA KOMENDANTA" WYDAWNICTWO REPLIKA

W „Dzienniku ukraińskim" (2015) Kurkow opisywał rewolucję godności na Majdanie. Teraz kijowski pisarz nie tylko staje się kronikarzem rosyjskiej agresji, lecz także analizuje ponurą historię Rosji.

ANDRIEJ KURKOW „DZIENNIK INWAZJI" NOIR SUR BLANC

Jedna z najważniejszych powieści brytyjskiego noblisty. Od apokaliptycznych obrazów bombardowanego Londynu do niepokojów ludzkiej duszy i losu odrzuconego – z Biblią jako przewodnikiem.

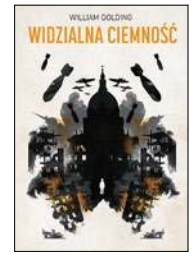

WILLIAM GOLDING „WIDZIALNA CIEMNOŚĆ" ZYSK I S-KA

Bez nadmiernej atencji, za to celnie. Wśród bohaterów Żeromski, Sienkiewicz, Prus, Mickiewicz. Również gorzko, gdy przychodzi czas na Boya-Żeleńskiego. A Proust – banalny czy genialny?

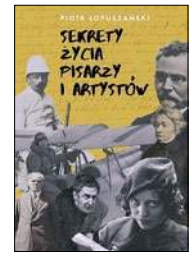

PIOTR ŁOPUSZAŃSKI „SEKRETY ŻYCIA PISARZY I ARTYSTÓW" FRONDA

KOMIKS TYGODNIA: „LAS"

Obywające się bez słów opowieści Thomasa Otta to arcydzieła graficznej sztuki narracyjnej. Szwajcarski rysownik, jeden z najwybitniejszych żyjących twórców komiksu, specjalizuje się w technice scratchboardingu. „Las" to kolejna w jego dorobku poruszająca historia łącząca najprostsze wzruszenia z mrocznym surrealizmem: rzecz o odchodzeniu najbliższych nam osób, o żalu i nadziei na ukojenie duszy i następne spotkanie.

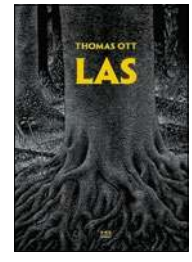

THOMAS OTT „LAS" KULTURA GNIEWU 2023

eprasa.pl dced4af17a

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Wileńskie opowieści

Jerzy Pilch, opisując skomplikowaną historię swoich rodzinnych stron (urodził się w Wiśle), często powoływał się na przykład swojej babki, pisząc o niej tak: „Blisko 92 lata nie wychodziła praktycznie z domu. Najdalej była u nas w Krakowie, raz była w Bielsku. Nigdy nie widziała morza i nie widziała Warszawy. [...] Była obywatelką CK Austrii, następnie Polska międzywojenna, w tym czasie dwukrotnie zajmowali to Czesi, granica raz biegła na moście, czyli 50 metrów od chałupy, drugi raz może 100 metrów. [...] kobieta bez wychodzenia z kuchni mieszkała w ośmiu krajach niemalże, a na pewno ośmiu systemach".

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Ileż to mieszkańców polskich ziem miało podobnie. Wystawa „Wilno, Vilnius, Vilne 1918–1948. Jedno miasto – wiele opowieści" dotyka skomplikowanego okresu historycznego dla tego miasta, gdy przechodziło ono z rąk do rąk, stając się częścią Polski i Litwy, będąc zajmowane przez Niemców i wojska sowieckie. Ukazuje, jak artyści (wileńscy klasycy, lecz nie tylko) ówczesnego wieloetnicznego i wielokulturowego Wilna postrzegali swoje miasto. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Narodowe w Krakowie***
KIEDY? ***do 3 września***

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/MCK

MIĘDZY DIABŁEM I ANIOŁEM

Jerzy Nowosielski o swym malarstwie mówi, że jest ono odzwierciedleniem walki anioła z diabłem w człowieku. Jeden z najwybitniejszych współczesnych ikonopisarzy, którego – jak pisze Katarzyna Haber, kuratorka wystawy „Jerzy Nowosielski. Przeciwpragnienia" – „malarstwo pejzażowe przywołuje wizje z dzieciństwa, powidoki nieodgadnionych wydarzeń, szczególnej tajemnicy, zaś akty powstają na granicy erotyki i śmierci. A wszystko to utrzymane w jakiejś nieokreślonej melancholijnej, molowej tonacji, z wysoką amplitudą wzlotów i przygnębień". ©℗

GDZIE? ***Warszawa, Kordegarda***
KIEDY? ***do 25 czerwca***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Inspirujące przebudzenie

Osiemdziesięciojednoletni weteran wydał zaskakujący, niekomercyjny album, który może być jego kolejnym klasykiem.

Płyta „Siedem Psalmów" zaczyna się z wolna. Słyszymy dzwon, którego dźwięk rozmywa się w pogłosie, po czym wkracza delikatna gitara akustyczna. Paul Simon rozpoczyna śpiew spokojnym, by nie napisać zmęczonym głosem. Ta kolekcja siedmiu piosenek trwa zaledwie 33 minuty. Autor nie nazywa jej albumem i dlatego na płycie nie ma znaczników między piosenkami. Chce, by zestaw był słuchany jako jedna całość.

Utwory to układają się w emocjonalny ciąg. Powstały w środku nocy po przebudzeniu się Simona. „Seven Psalms" nie podąża jednak za logiką snu. Paul ułożył swe podświadome myśli w siedem subtelnych wyznań wiary. Suita jest medytacyjnym poematem o śmiertelności, duchowości, a także zawiera refleksję nad martwą naturą. Większość utworów stanowi duet pomiędzy gitarą Simona a jego głosem. Momentami wspiera go brytyjski chór VOCES8, a w końcowej części żona, piosenkarka Edie Brickell. Jej pojawienie się stanowi doskonały kontrapunkt dla folkowej surowości albumu. Czasem utwory barwi sekcja smyczków, klawisze, czynele, tykający zegar czy gitara elektryczna. Czy jest to epilog do kariery wielkiego artysty? Możliwe, bo całość zamykają żałobne dzwony. ©℗

★★★★★☆
PAUL SIMON
„SEVEN PSALMS"
SONY

★★★★★☆
KATARZYNA GRONIEC
„KONSTELACJE"
WARNER

Twierdzi, że jej 11. album to łamigłówka albo układanka. Teksty opowiadają zagadkowe historie, których mianownikiem są emocje. Muzycznie jest intrygująco. Barbara Wrońska napisała muzykę do pięciu piosenek, a w utworze „Ku światłu" usłyszymy samą Irenę Santor.

★★★★★☆
PAULINA PRZYBYSZ
„WRACAJĄC"
DEF JAM

Na trzecim solowym albumie (dwie płyty podpisała jako Pinnawela) Paulina prezentuje autorskie wersje różnych nurtów współczesnego soulu. Pomiędzy nowoczesnymi brzmieniami i rytmami znalazła miejsce dla tradycyjnie wykonanych poruszających ballad.

eprasa.pl dced4af17a

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

WÓDKA I INNE PATOLOGIE CZERWONEGO IMPERIUM

Jak system komunistyczny zniszczył rosyjskie społeczeństwo

Produkt strategiczny z procentami – Stalin budował potęgę ZSRS m.in. dzięki alkoholowi

Konanie Zygmunta Augusta – Czy król Polski rzeczywiście umierał „otoczony tylko złowrogiemi sokołami"?

Bicz Boży z Florencji – Savonarola zawładnął sercami i umysłami mieszkańców miasta i za pomocą bezwzględnych metod zaczął wprowadzać moralną rewolucję

Największe zwycięstwo Ukraińców – W Konotopie stoi pomnik, na którym trzy szable – ukraińska, tatarska i polska – przybijają do ziemi szablę moskiewską

Oberszpicel i sutenerzy – Istnieją przesłanki, że niezwykle brutalny pogrom warszawskich domów publicznych był prowokacją rosyjskich władz

Cesarscy lokaje Hitlera – Następca tronu Wilhelm Hohenzollern i jego młodszy brat August Wilhelm dali się owinąć nazistom wokół palca

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl dced4af17a

Krzysztof Masłoń

Pan Tadeusz, jak najsłuszniej uchodzący za mistrza elegancji, w czasie swoich programów nie okazuje negatywnych emocji

FOT. CANAL+

JEDEN Z DZIESIĘCIU 22 MAJA 2023

Wszechnica telewizyjna

Się czyta, się wie – jasna sprawa. A co dopiero, gdy ogląda się telewizję! Dobitnie o tym, że bawi ona, uczy i wychowuje (tego, że poza tym daje d… i gotuje, nie trzeba przypominać, bo nawet dziatwa szkolna jest tego świadoma), przekonują teleturnieje rozsiane po wszystkich antenach, a już w telewizji publicznej wiodące zdecydowany prym przed niemal wszelkimi innymi programami, z wyłączeniem, rzecz jasna, „Wiadomości" o godz. 19.30, które jednak też mogą być opóźnione, kiedy np. przedłuży się kopanina zaordynowana telewidowni przez Redakcję Sportową TVP.

Przepytywanki są bezcenne; można je nadawać na okrągło, mieszając nowe odcinki ze starymi, mało kto bowiem połapie się, czy po raz 10. słyszy odpowiedź na pytanie o to, który król i z kim jadał u Wierzynka, a którego i gdzie myszy zjadły, czy dopiero po raz trzeci przekonuje się, jak światłego społeczeństwa jest członkiem. Nieocenioną rolę odgrywają w związku z tym teleturnieje w okresie letnim, gdy nawet „Klan" znika z ekranów i poza powtórkami na nic innego w ofercie telewizyjnej liczyć nie można. Choć, jak wieść z ulicy Woronicza niesie, w tym roku będziemy w wakacje biesiadować, czyli pod batutą aż strach pomyśleć czyją, wyć pieśni biesiadne tak lubiane przecież i znane każdemu Polakowi od maleńkości. Chcą państwo posłuchać o sokołach omijających góry, lasy, doły, płonących ogniskach i szumiących kniejach, o takiej jednej, która wiła wianki i rzucała je do falującej wody, i o drugiej, z którą można cztery razy po dwa razy? Nie chcą państwo? To i tak państwo posłuchają. Odnośnie do nasuwającej się na myśl kwestii, czy uwzględnione zostaną „Chachary" („żyją i gorzałkę piją"), „Jeszcze po kropelce", jak również zawierający głębokie przesłanie utwór „Tyle nam zostało, co nam nakapało", to na odpowiedź musimy poczekać, choć wydaje się to wątpliwe, gdyż dzieła te wyraźnie kolidują z Ustawą o wychowaniu w trzeźwości. Do tego ostatnia z przywołanych tu pieśni jest autorstwa Krzysztofa Daukszewicza, który, po pierwsze, do niedawna był filarem wrażego TVN-owskiego „Szkła kontaktowego", a po drugie, i jeszcze ważniejsze, od czasu, jak podpadł poprawnościowemu lobby LGBTQ, stał się personą, najdelikatniej mówiąc, non grata. Bo żeby wykazać się taką nietaktownością wobec osób transpłciowych będących przecież solą tej ziemi, no wiedzą państwo…

A wracając do telewizyjnych zgadywanek, to – jak wiadomo – najwięcej radości przysparzają nam wtedy, gdy ich uczestnicy ze zdenerwowania (rzadziej) lub z niewiedzy (znacznie częściej) popiszą się głupotą z gatunku piramidalnych. To z takich wpadek (?) właśnie żyje program „Łapu Capu" emitowany w Canale+, konglomerat najrozmaitszych lapsusów i bzdur, od których aż roi się na szklanym ekranie. Stosunkowo często pokazywane są tam zdumiewające niekiedy odpowiedzi udzielane przez osoby biorące udział w teleturnieju „Jeden z dziesięciu", nadawanym od roku 1994! I prowadzonym przez niezrównanego Tadeusza Sznuka, swoją drogą przypomnianego ostatnio przez TVP Kulturę w wygrzebanym w archiwach koncercie festiwalu opolskiego z roku 1979, na którym gospodarz teleturnieju zwanego dziś kultowym był konferansjerem. Czego zresztą w Telewizji Polskiej i w Polskim Radiu nie robił inżynier Tadeusz Maria Sznuk! Wszystkiego najlepszego z okazji 80. urodzin!

Pan Tadeusz, jak najsłuszniej uchodzący za mistrza elegancji, w czasie swoich programów nie okazuje żadnych negatywnych emocji, co najwyżej czasem zawiesi głos albo wymownie spojrzy w stronę kamery. Ale też bardziej niż przed laty najzwyczajniej w świecie dzieli się z nami swoją radością, że oto ktoś usiłujący sprzedać swą wiedzę za nie takie znów oszałamiające pieniądze wykazuje się ponadprzeciętną znajomością przeróżnych tematów, erudycją, inteligencją. Tak się jednak dzieje od wielkiego dzwonu, bo coraz częściej rywalizujące ze sobą osoby, usłyszawszy pytanie, rozkładają ręce, szczerze odpowiadając: „Nie mam pojęcia". A szkoda, chciałoby się rzec, zważywszy, że z prezentacji wielu z nich wynika, że mają za sobą maturę, a nierzadko i jakieś studia.

Takie inteligentne inaczej indywiduum goszczące niedawno u Tadeusza Sznuka, zapytane, który z apostołów Jezusa miał przydomek Iskariota, orzekło, że był nim Mateusz. Nie chcę wdawać się w rozważania, ile zamętu taka odpowiedź spowodować mogła w głowach uczniów i tak z religią będących często na bakier. Łatwo można sobie wszak wyobrazić, że kolejny niedouk oskarży ewangelistę o zdradę i wydanie Chrystusa za garść srebrników, choć ile ich było, to już nie spamięta. A o Judaszu on słyszał, i owszem, była taka kapela Judas Priest.

No i słowo się rzekło, telewizja rzeczywiście bawi, uczy i wychowuje. A nawet coś jeszcze. Jedna z hipotez objaśniających, skąd się wziął Judaszowy przydomek, głosi, że pochodzi on od aramejskiego słowa „iszkarja", oznaczającego kłamcę. ©℗

eprasa.pl dced4af17a

PRAWNA OBRONA § PRZED POLONOFOBIA

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 14

Tragedia Zamojszczyzny

• Zbrodnie niemieckiej kolonizacji • Opór polskiego podziemia
• Dramat Dzieci Zamojszczyzny • Upamiętnianie polskich bohaterów

FOT. MUZEUM ZAMOJSKIE

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości
funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

TYGODNIK POLITYCZNY DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

eprasa.pl dced4af17a

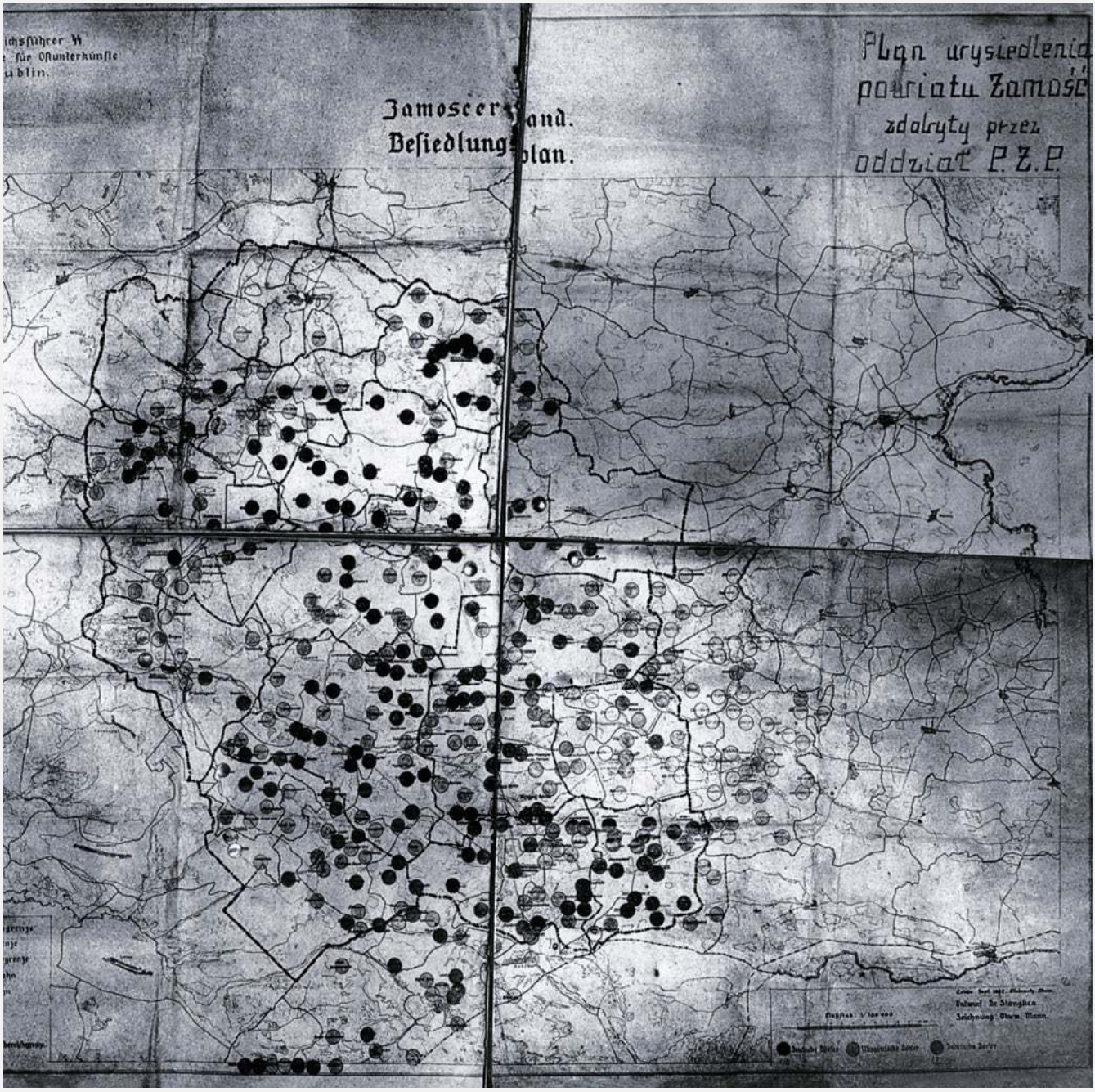

FOT. ARCHIWUM PAŃSTWOWE W LUBLINIE

SPIS TREŚCI

51 prof. Grzegorz Kucharczyk
NIEMIECKI PLAN ZAGŁADY SŁOWIAN
– Naród polski miał zostać zredukowany docelowo do kilkumilionowej zbiorowości – mówi historyk

54 Jakub Ostromęcki
ZAMOJSZCZYZNA W OGNIU
Niemcy byli zaskoczeni jakością organizacji polskiego oporu i skalą powstania

57 Anna Szczepańska
GOLGOTA DZIECI ZAMOJSZCZYZNY
Niemcy wysiedlili z Zamojszczyzny ok. 30 tys. polskich dzieci. Tylko 800 udało się po wojnie odzyskać

60 Zuzanna Dąbrowska
PANTEON W AZYLU WYKLĘTYCH
Klasztor w Radecznicy to wciąż mało znany symbol oporu. Obecnie w krypcie sanktuarium powstaje panteon Żołnierzy Wyklętych

63 Radosław Wojtas
„SATURNIN" PRZECIW KOMUNIE
Andrzej Stachyra to człowiek, którego służby PRL próbowały złamać oraz zniszczyć i któremu udało się je przechytrzyć

eprasa.pl dced4af17a

Z prof. Grzegorzem Kucharczykiem, historykiem z Polskiej Akademii Nauk, znawcą dziejów III Rzeszy
rozmawia Piotr Włoczyk

Niemiecki plan zagłady Słowian

Odilo Globocnik nadzorujący akcję przesiedleńczą FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0 DE

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego to właśnie Zamojszczyzna stała się preludium do koszmarnego niemieckiego Generalnego Planu Wschodniego?

PROF. GRZEGORZ KUCHARCZYK: Niemcy przeprowadzili na Zamojszczyźnie coś, co można wręcz nazwać „akcją pilotażową" Generalnego Planu Wschodniego (Generalplan Ost – GPO). Była to wielka niemiecka akcja kolonizacyjna, która zarazem miała być jednym wielkim ludobójstwem na Słowianach zamieszkujących wschodnie połacie Europy. GPO miał został przeprowadzony po ostatecznej niemieckiej wygranej w wojnie.

Zamojszczyzna była częścią Dystryktu Lubelskiego Generalnego Gubernatorstwa. Szefem tamtejszego niemieckiego aparatu terroru był Odilo Globocnik, czyli człowiek odpowiedzialny za eksterminację obywateli polskich żydowskiego pochodzenia w obozach śmierci takich jak Bełżec czy Sobibór. Niemcy mieli w niedalekiej okolicy dobrze rozbudowaną infrastrukturę Zagłady i dlatego wybór padł właśnie na Zamojszczyznę.

O jak dużej skali ofiar mówimy w kontekście GPO?

Plany eksterminacji były zatrważające. W pierwszej fazie GPO Niemcy chcieli zabić ok. 100 mln ludzi. Naród polski miał zostać zredukowany docelowo do kilkumilionowej zbiorowości (bo przecież już nie narodu), która miała być wykorzystywana do niewolniczej pracy. Reszta Polaków miała zostać zamordowana na miejscu lub wysiedlona za Ural. Podobny los miał spotkać etnicznych Rosjan, Białorusinów i Ukraińców. Zginąć mieli ci wszyscy Słowianie, którzy zamieszkiwali tereny mające wejść w skład niemieckiego imperium w Europie Środkowej i Wschodniej. Był to tzw. Lebensraum, o którym pisał Adolf Hitler w „Mein Kampf".

W jaki sposób specjaliści z SS planowali wymordować tyle milionów ludzi?

Poza mordami w obozach zagłady Niemcy zamierzali też zgładzić kilkadziesiąt milionów ludzi poprzez wyniszczającą, katorżniczą pracę i wygłodzenie. Lektura analiz na ten temat, pisanych zimnym językiem, jest po prostu przerażająca. Niemieckie imperium miało zostać zbudowane na fundamencie ludobójstwa, po którym miała się rozpocząć wielka akcja osadnicza. W miejsce Słowian mieli się pojawić „czyści rasowo" nordycy.

eprasa.pl dced4af17a

Ofiara pacyfikacji wsi Sochy, powiat Biłgoraj, 1943 r. FOT. ZE ZBIORÓW IPN

Przy czym musimy rozumieć, że Generalny Plan Wschodni nie był jednym dokumentem czy dekretem Hitlera. Był to zbiór dokumentów, analiz i raportów, które były przygotowywane w specjalnej komórce podlegającej Komisarzowi Rzeszy ds. Umacniania Niemczyzny na Wschodzie. W nadzorowanym przez Heinricha Himmlera komisariacie pracowali esesmani z tytułami, którzy w „naukowy" sposób planowali ludobójstwo. Akcja na Zamojszczyźnie miała pokazać, jak ta teoria będzie się sprawdzać w praktyce.

Zamojszczyzna została zaatakowana w ten sposób w listopadzie 1942 r. Dlaczego doszło do tego w momencie, kiedy do niemieckiej wygranej w wojnie było jeszcze bardzo daleko? Niemcy się niecierpliwili?

Mamy tu do czynienia z logiką państwa wodzowskiego. Widać było w III Rzeszy rywalizację o przychylność wodza. Himmler piął się do góry i chciał pokazać, że ma osiągnięcia. Akcja na Zamojszczyźnie miała być kolejnym dowodem na jego skuteczność. Przypomnijmy, że Niemcy zaczęli masowo mordować Polaków na Zamojszczyźnie pod koniec 1942 r., a więc w apogeum Holokaustu na naszych ziemiach. Właśnie w tamtym roku w trakcie akcji „Reinhardt" w Treblince, Bełżcu i Sobiborze zginęło gros polskich Żydów. Himmlerowi było tego mało. Wdrożył kolejny „projekt", który miał pokazać, że Hitler może na niego liczyć.

Kto był prawdziwym „mózgiem" niemieckiego ludobójstwa na Polakach z Zamojszczyzny?

Esesmani pracujący w komisariacie Himmlera. To byli ludzie mający ambicje przedstawiania ludobójstwa w świetle naukowym. Historykom, którzy badają ten temat, w oczy rzucają się eufemizmy, jakich Niemcy używali w kontekście GPO. Wiadomo, że na ludobójstwo Żydów niemieccy funkcjonariusze mówili „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej". Tymczasem w kwestii eksterminacji Polaków, bo do tego sprowadzał się GPO, mówiono o „zmianie struktury ludnościowej" lub o „cofnięciu ludnościowym". Ta ekwilibrystyka słowna miała ukryć prawdziwy cel, a z drugiej strony, w zamyśle niemieckich planistów Zagłady, miała ona dodawać ich pracy swego rodzaju naukowego sznytu. Tak samo starano się unaukowić rasizm czy eutanazję.

Ilu Polaków miało zniknąć z Zamojszczyzny?

Cel był jasny: cała Zamojszczyzna miała zostać „oczyszczona" i stać się terenem czysto niemieckim. Polacy mieli w ten sposób zostać zamknięci w swego rodzaju rezerwacie. Niemiecki pas osadniczy miał bowiem przeciąć polskie terytorium na pół. Przejęte miały być nie tylko wioski, lecz także miasteczka i miasta. Zamość np. stał się na pewien czas Himmlerstadtem.

Z jednej strony na Zamojszczyźnie mieliśmy do czynienia z czystkami etnicznymi, a z drugiej strony widzieliśmy selekcję pod względem rasowym. Dzieci Zamojszczyzny to najbardziej dramatyczny rozdział tego ludobójczego projektu. W niemieckich planach tzw. element najbardziej wartościowo rasowy miał zostać zachowany. Czystki przeprowadzane były bowiem nie pod kątem narodowościowym, lecz właśnie rasowym. Jeżeli więc polskie dziecko spełniało nazistowską definicję aryjskości, to mogło zostać skierowane do zniemczenia.

Jak Niemcy wyobrażali sobie reakcję Polaków? Czy zakładali, że opór będzie bardzo poważnie utrudniał przeprowadzenie ludobójstwa i wymiany ludności?

Niemcy liczyli się z oporem, ale jego skala z pewnością ich zaskoczyła. Formacje polskiego podziemia zjednoczyły się w tej kwestii i wystąpiły zbrojnie przeciw realizacji niemieckich planów kolonizacyjnych. Pamiętajmy też, że w czasie trwania akcji na Zamojszczyźnie doszło do przesilenia na froncie wschodnim. W lutym 1943 r. Niemcy przegrali w Stalingradzie. Następnie latem 1943 r. ponieśli strategiczną klęskę w bitwie na łuku kurskim, co odwróciło losy wojny na wschodzie. Niemcy mieli coraz większe problemy z rezerwami, skoro musieli ratować załamujący się front. Inna sprawa, że w samej ludobójczej machinie na Zamojszczyźnie nie wszystko działało tak, jak to sobie planiści w Berlinie wyobrażali.

Co konkretnie szwankowało?

Współdziałanie między SS, policją i formacjami pomocniczymi. To zresztą widać w niemieckich raportach. Sami dowódcy poszczególnych formacji skarżyli się, że współpraca z innymi jednostkami nie wyglądała tak, jak powinna. Wbrew temu, co myślimy o zorganizowaniu Niemców, nie osiągnięto wówczas „ludobójczej synergii".

Zjednoczenie podziemia na tamtych terenach robi wrażenie. Praktycznie wszyscy, nawet formacje komunistyczne, działali w jednym kierunku: powstrzymania ludobójstwa i utrudnienia akcji osadniczej.

To była kwestia absolutnie fundamentalna, chodziło o przetrwanie narodu, więc wszyscy od lewicy do prawicy musieli ze sobą współpracować. Wobec walki o samą egzystencję różnice polityczne musiały tu zejść na dalszy plan. Dlatego narodowcy, AK, Bataliony Chłopskie, a także właśnie formacje komunistyczne były zmuszone na pewien czas działać razem. Zwróciłbym jednak uwagę, że współpraca różnych formacji zbrojnych na Zamojszczyźnie to niejedyny przejaw solidarności między Polakami. Mieliśmy wówczas do czynienia z ogromną akcją pomocy ze strony ludności cywilnej, i to nie tylko z terenu

eprasa.pl dced4af17a

Lubelszczyzny. Był to naprawdę spektakularny przejaw solidarności.

W jaki sposób się on przejawiał?

Dzieci Zamojszczyzny transportowane były przez Niemców pociągami w nieludzkich warunkach. Polacy z Zamojszczyzny, a także z innych części okupowanej Polski, starali się te dzieci ratować. W serialu „Polskie drogi" jest słynna scena, kiedy Leon Kuraś kupuje cały wagon polskich dzieci. To nie jest scena wymyślona. Faktycznie dochodziło do takich sytuacji. Badacze tego tematu wskazują, że w ratunek dzieci włączyli się też cudzoziemcy. Znany jest przypadek pewnej szwedzkiej arystokratki, która również, za ciężkie pieniądze, kupiła od Niemców wagon polskich dzieci, ratując je w ten sposób. Dzieci, które nie miały tyle szczęścia, czekał tragiczny los. Niemcy zakazywali nawet podawania im w trakcie postojów kulek ze śniegu, by mogły ugasić pragnienie. Mimo to Polacy pomagali, jak tylko mogli. Trudno przecenić w tym kontekście rolę ordynata Zamoyskiego, który swoimi kanałami interweniował u okupacyjnych władz niemieckich, nie mając gwarancji, że sam z tego powodu nie skończy w obozie zagłady. Mieliśmy wówczas do czynienia z wielkim polskim zrywem solidarności wobec niemieckich ofiar z Zamojszczyzny.

Samo sformułowanie „przesiedlenia" nie oddaje dobrze tego, co się działo wówczas na Zamojszczyźnie. Wsie były otaczane przez niemieckie formacje zbrojne, a ich mieszkańcy byli poddawani nieludzkiej procedurze...

Była to typowa czystka etniczna i selekcja pod względem rasowym. Niemcy traktowali wówczas Polaków jak bydło. Chodzi nie tylko o zamykanie w wagonach do przewozu zwierząt, lecz także o procedury przeprowadzane w zaatakowanych wioskach, które budzą skojarzenia z selekcjonowaniem bydła czy trzody chlewnej.

Część ofiar mordowana była na miejscu?

Tak. Niektórzy mieszkańcy przeznaczeni do likwidacji byli zabijani na miejscu, inni byli w tym celu przewożeni do obozów zagłady. Dlatego to było nie tylko wysiedlenie, lecz także ludobójstwo.

W niemieckiej akcji na Zamojszczyźnie widać wyraźnie dwa etapy. Po pierwszym uderzeniu nastąpiła kontrakcja podziemia, która w znacznej mierze ograniczyła działania Niemców. Drugi etap rozpoczął się wczesnym latem 1943 r., gdy Niemcy uruchomili „Akcję Werwolf" („Akcja Wilkołak"). Drugie uderzenie było dużo mocniejsze...

Plansza pokazująca niemieckie plany kolonizacyjne na wschodzie Europy

FOT. BUNDESARCHIVE/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0 DE

Wydawać by się mogło, że po pojawieniu się tak dużego oporu Niemcy powinni porzucić tę „akcję pilotażową", która wymagała angażowania bardzo dużych sił. Okazało się jednak, że najważniejsza była ideologia. Podobnie rzecz się miała z zagładą Żydów przeprowadzaną pod sam koniec wojny, gdy Niemcy przeznaczali do tego tabor kolejowy, który był na wagę złota dla niemieckiej armii. Wobec oporu polskiego podziemia Niemcy na kilka miesięcy ograniczyli swoje ludobójcze działania na Zamojszczyźnie, ale potem rzeczywiście przyszedł drugi, jeszcze bardziej brutalny etap ich operacji. III Rzesza ewidentnie przegrywała na froncie, marzenia o panowaniu aż do Uralu okazywały się mrzonkami, GPO stawał się kompletnie nierealistyczny, ale mimo to Niemcy przystąpili na Zamojszczyźnie do jeszcze silniejszego uderzenia w Polaków, by realizować swoją utopijną wizję. To był czysty nazistowski fanatyzm.

Kim byli sprowadzani na Zamojszczyznę koloniści? Nie każdy wie, że Horst Köhler, prezydent Niemiec w latach 2004–2010, urodził się w 1943 r. w leżącym 15 km od Zamościa Skierbieszowie...

Osadnicy pochodzili z Niemiec bądź też z Europy Środkowo-Wschodniej, m.in. z krajów bałtyckich, Besarabii czy Siedmiogrodu. Była to wyselekcjonowana grupa, osadnicy byli bowiem dokładnie sprawdzani pod kątem rasowym. Zamojszczyzna miała być modelowym przykładem budowania „czystego" pod względem rasowym imperium. Miały to być ziemie przeznaczone tylko dla nordyków. Nie każdy Niemiec spełniający kryteria ustaw norymberskich z punktu widzenia ideologicznego szaleństwa nazizmu spełniał więc warunki niezbędne do osiedlenia się na Zamojszczyźnie.

Czyli człowiek o wyglądzie Josefa Goebbelsa nie miałby większych szans na przydział ziemi na Zamojszczyźnie?

Z pewnością nie. Rzeczywiście na szczytach władzy III Rzeszy zasiadali ludzie, którzy ewidentnie nie spełniali wyśrubowanych kryteriów rasowych nazizmu. Już wtedy mawiano zresztą z ironią, że niemiecki ideał nordyka to człowiek postawny jak Goebbels, szczupły jak Göring i blondyn jak Hitler.

W sumie ponad 110 tys. Polaków wyrzucono z Zamojszczyzny. Ilu z nich zginęło?

Szacunki są tu bardzo różne. Najbezpieczniej powiedzieć, że kilkadziesiąt tysięcy Polaków zostało zamordowanych przez Niemców w wyniku akcji kolonizacyjnej na Zamojszczyźnie. Do tej pory nie wiemy też, jaka była dokładnie skala ofiar wśród dzieci z Zamojszczyzny. I choć trudno w to uwierzyć, to wciąż nie mamy w Polsce nowoczesnego muzeum, które opowiadałoby o tragedii Dzieci Zamojszczyzny. Muzeum, które w pełni pokazywałoby, jakimi naprawdę „kulturträgerami" byli Niemcy, jaką „kulturę" oferowali wówczas w Polsce...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Grzegorz Kucharczyk jest historykiem, specjalizuje się w historii myśli politycznej XIX i XX w. oraz w dziejach Niemiec. W księgarniach ukazała się właśnie jego najnowsza książka pt. „III Rzesza Niemiecka. Nowoczesność i nienawiść".

eprasa.pl dced4af17a

Zamojszczyzna w ogniu

Jakub Ostromęcki

Niemcy byli zaskoczeni jakością organizacji polskiego oporu i skalą powstania. Polacy nie zamierzali przyglądać się biernie ludobójstwu na Zamojszczyźnie i zasiedlaniu polskich wsi niemieckimi kolonistami

Heinrich Himmler, szef SS oraz RSHA (Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy), od 1941 r. roił o kolonizacji Polski i Sowietów. W jego głowie powstawały wizje sieci osadniczej, która na mapie przybierała formę gigantycznych osi przecinających bezmiar słowiańskiej dziczy. Miało być to osadnictwo wiejskie, rolnicze, ponieważ miasta były według niego wylęgarnią dekadencji. Sołtysami i wójtami germańskich osad mieli być oczywiście weterani SS. Tak w zarysie wyglądał Generalny Plan Wschodni.

Niemiecka ludobójcza utopia miała się zacząć od Zamojszczyzny. Był to teren żyzny, położony w pobliżu dwutorowej linii kolejowej prowadzącej z Lublina na Kowel i dalej w głąb zdobywanych właśnie Sowietów. Obszar planowanej niemieckiej kolonizacji miał w przybliżeniu kształt trójkąta, którego wierzchołki opierały się o Bug, Tomaszów Lubelski i Janów Lubelski. Obok, zdawałoby się, niekończących się pól uprawnych istniało tu jednak sporo lasów, co w niedługim czasie stało się dla okupanta prawdziwym utrapieniem.

Wysiedlenie Polaków miało być podzielone na etapy. W sumie z Zamojszczyzny miało zniknąć ponad 350 tys. osób – głównie ze wsi. W Zamościu, w obozie przejściowym, Polacy mieli być dzieleni na pięć kategorii. Ci o „nordyckich rysach twarzy" mieli być wysłani do Rzeszy i zgermanizowani. Zdrowi i silni, ale „rasowo niepewni" szli do pracy przymusowej bądź z powrotem na wieś, ale już w charakterze na poły feudalnych parobków i czynszowników pracujących na germańskich panów. Dwadzieścia jeden procent miało docelowo skończyć w krematoriach Auschwitz i Majdanka. Najstraszniejszy los czekał dzieci – planowano oddzielenie ich od rodziców, wysiedlania na Mazowsze, pod Warszawę i w głąb Rzeszy.

Baraki w obozie przejściowym opisał „Biuletyn Informacyjny" z 11 lutego 1943 r.: „Jeden (»dla rasowych«) ma podłogi, łóżka i stoły. Drugi – dla rzemieślników – jest również dość przyzwoity. Trzecim jest barak przeznaczony dla wywożonych na roboty do Niemiec, gdzie wysiedleńcy przebywają 2–3 dni; wywozi się młodzież poczynając od 14. roku życia. Barak czwarty, dla niezdatnych do

Heinrich Himmler i Reinhard Heydrich, 1938 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl dced4af17a

pracy, jest okropny: spanie na ziemi, na cienkiej powłoce brudnej słomy. O nieludzkich warunkach przesiedleń oraz o »higienie« życia w barakach Zamościa świadczy chociażby fakt, że w czasie od 1 grudnia do 14 stycznia zmarło w barakach 117 osób, w tym 65 dzieci".

STRASZNA ZIMA

Czystka etniczna rozpoczęła się w nocy z 27 na 28 listopada 1942 r. Przebiegła według scenariusza znanego z wielu miejsc Europy Środkowej od Wileńszczyzny do Bałkanów, i nie tylko z drugiej wojny światowej. Na spakowanie dano nieszczęśnikom kilkanaście minut. Wolno było zabrać tylko rzeczy osobiste, żadnych narzędzi ani zwierząt. Niejedni przerażeni brutalnym wybudzeniem nie pomyśleli, by ciepło się ubrać. Tłum sponiewieranych ludzi odwieziono skonfiskowanymi wcześniej wozami do obozu przejściowego w Zamościu, gdzie nastąpiła opisana wcześniej selekcja. W kilku wsiach chłopi postanowili się opierać. Skończyło się to brutalnymi pacyfikacjami i egzekucjami.

Straszne wieści potrafiły się rozchodzić z zadziwiającą prędkością nawet przed epoką masowej komunikacji. Najlepszym ratunkiem przed niemieckimi wypędzeniami była ucieczka – aby dalej, do sąsiedniego powiatu, do krewnych czy znajomych. W grudniu pola i lasy Zamojszczyzny zaroiły się więc od nocnych uchodźców ciągnących wozami, z krowami, trzodą, dobytkiem. Zostawiali za sobą puste domostwa i niszczyli dobytek, aby nie wpadł w ręce okupantów. Szczęśliwi ci, którzy napotkali po drodze patrol Batalionów Chłopskich lub Armii Krajowej lub sami uszli w asyście partyzantów. Z reguły szybko znajdowali dach nad głową w innych wsiach. „Biuletyn Informacyjny" oceniał: „Postawa społeczeństwa powiatu siedleckiego, garwolińskiego i innych w stosunku do wysiedlonych dzieci i starców – wzorowa. Ofiarność i uczynność – powszechne. Wyraża się to w masowym ofiarowaniu żywności, odzieży, przyjmowaniu dzieci do »rodzin zastępczych« itd.".

Szef SS na Lublin Odilo Globocnik zaczął zwozić osadników do opuszczonych wsi już następnego dnia po pacyfikacjach, choć zrazu nie była to duża liczba. Byli to Niemcy z Bałkanów, Karpat, Ukrainy, często mówiący dialektami trudnymi do zrozumienia dla obywateli Rzeszy. Propaganda nauczyła ich pogardy dla Polaków. Nieraz wyprawiali się na „wsie zależne" grabić zwierzęta i wozy. „Wam i tak nie będą potrzebne, bo zaraz was wysiedlą" – rzucali arogancko do ofiar.

Wysiedlenie Polaków miało być podzielone na etapy. W sumie z Zamojszczyzny miało zniknąć ponad 350 tys. osób

OPÓR

Lokalne oddziały Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej zaczęły mobilizację i odkopywanie zakonserwowanej broni. Tak doszło do wybuchu powstania zamojskiego. Dowódcy zostali postawieni w sytuacji bez wyjścia. W przeciwieństwie do innych zrywów narodowych tu sprawa była jasna: okupant przystąpił do niczym niesprowokowanej eksterminacji na masową skalę. Zbrojny opór, sabotowanie osadnictwa mogło niemieckiej akcji poważnie zaszkodzić. W razie gdyby Niemcy jednak opór zgnietli, polska ludność i tak nie miała nic do stracenia – zamiast na Majdanku czy w Auschwitz ginęłaby w pacyfikacjach. „Nie zrobią z nami tego, co z Żydami" – to hasło przewija się przez wiele wspomnień, odzew i rozkazów. Jak jednak organizować opór? Diabeł tkwił w szczegółach i tutaj doszło do rozdźwięku między BCH a AK. Stefan „Grot" Rowecki słusznie się obawiał, że niekontrolowane chłopskie powstanie może rozlać się na całą Lubelszczyznę, a potem na Generalne Gubernatorstwo, gdzie okupant nie planował wysiedleń. Mogło się to dla niego stać pretekstem do krwawej rozprawy z ludnością polską na całym okupowanym terytorium. AK nalegała więc, aby akcje zbrojne ograniczyć tylko do wsi zagrożonych wysiedleniem lub pacyfikacjami, stosować dywersję, nie wdawać się w bitwy, jeśli to koniecznie, strzelać jedynie do niemieckich oficerów.

Powstanie nie rozlało się na szczęście poza teren Zamojszczyzny. Bataliony Chłopskie zaplanowały odwet na 10 wsiach zasiedlonych przez Niemców. Adwentowe noce 1942 r. były jak na złość księżycowe, toteż odwet objął jedynie siedem wsi. Komendant główny BCH Franciszek Kamiński zalecał swoistą wstrzemięźliwość. Zabraniał wdawać się w walki z odsieczą SS, kazał odskakiwać jak najszybciej po zasianiu

Polacy wyrzucani przez SS ze swoich gospodarstw, Zamojszczyzna, grudzień 1942 r. FOT. MUZEUM ZAMOJSKIE

eprasa.pl dced4af17a

paniki wśród osadników. „Zaatakować i opanować wieś, napotkanych hitlerowców zlikwidować, broń zabrać, wieś spalić” – pisał w rozkazie jeden z bardziej znanych bechowców na Zamojszczyźnie por. Robert „Azja” Aborowicz.

„Na czarnych” (tak od koloru mundurów nazywano uzbrojonych osadników) sąsiednich wiosek padł strach, nie mogli się czuć panami na polskiej ziemi” – pisał uczestnik walk Jan „Krukowski” Rarot. Strach padł jednak również na wsie polskie, które miały nieszczęście leżeć w pobliżu napadniętych osad niemieckich. Niemcy nie zamierzali puścić akcji BCH płazem i przystąpili do okrutnych pacyfikacji. Jedną z bardziej znanych była ta przeprowadzona w Kitowie. Była to zemsta za atak na pobliski „zniemczony” Nawóz. Schupowcy (policja bezpieczeństwa) mordowali tu ludzi zarówno w chałupach, jak i na pobliskim polu, nie patrząc na wiek ani na płeć. Jeden ze schwytanych po wojnie schupowców zeznawał, że na rozkaz swojego oficera zamordował w chacie małą dziewczynkę.

Nie dało się również uniknąć regularnych bitew z okupantem. Do pierwszej rozprawy z SS doszło w okolicy wsi Wojda. Jest to maleńki przysiołek położony pośród lasów Roztocza, nieopodal rzeki Wieprz i Zwierzyńca. We wsi stacjonowała I Kompania Kadrowa z obwodu tomaszowskiego BCH oraz 1. pluton z obwodu zamojskiego. Dowodził nimi por. Jerzy „Vis” Mara-Meyer, cichociemny, „młody, pełen zapału i porywczy”, jak określił go inny bechowiec Józef „Kłoda” Danilewicz. Wkrótce do Polaków dołączył też 37-osobowy oddział partyzantki sowieckiej, złożony w dużej części z jeńców zbiegłych z niewoli, dużo lepiej uzbrojony niż oddziały BCH. Owe bratanie się z Sowietami nie było wówczas w centralnej Polsce niczym dziwnym, formalnie bowiem od 1941 do 1943 r. był to nasz sojusznik w ramach koalicji antyhitlerowskiej.

Bechowcy przybyli do odosobnionej Wojdy, aby się szkolić, spora część żołnierzy bowiem w ogóle nie była zaznajomiona z wojaczką. Okazało się jednak, że chrzest bojowy musieli przejść w trybie przyspieszonym.

Pomnik Armii Krajowej w Zamościu

FOT. MAKA~COMMONSWIKI/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

28 grudnia, być może wskutek donosu volksdeutscha, do odległej o raptem 5 km Szewni przybyli pierwsi schupowcy z 25. Pułku Policji. Następnego dania pojawili się w pobliskich Kosobudach. 30 grudnia „Vis” kazał rozstawić zasieki na leśnych duktach i zdecydował się przyjąć bitwę. Niemcy przez cały dzień szturmowali przysiółek powstrzymywani ogniem sowieckiego ckm-u, po czym powstańcy, z braku amunicji, zagrożeni okrążeniem, odskoczyli w las, zostawiając osadę na pastwę Niemców, którzy natychmiast ją spalili. W swoich wspomnieniach partyzanci podają liczbę 20 zabitych i 30 rannych Niemców z liczącego ok. 350 policjantów batalionu. Oznaczałoby to poważne zachwianie zdolności bojowej całej jednostki. Jak jednak czytamy w wewnętrznym raporcie biorącego udział w bitwie wachmistrza Scherzera, po stronie niemieckiej zginął raptem jeden schupowiec, a pięciu zostało rannych. Wierzyć niestety trzeba dokumentowi niemieckiemu – nawet instytucje totalitarne nie oszukują same siebie w poufnych raportach. Co więcej, to Niemcy pozostali na polu bitwy, nasze podziemie nie mogło więc zweryfikować strat wroga. Liczba 50 wyeliminowanych schupowców mogła wziąć się stąd, że wraz z policją Wojdę mieli atakować kompletnie nieostrzelani niemieccy koloniści z pobliskich wsi. Być może to oni stanowili większość strat, a jako że byli uzbrojonymi cywilami, nie zostali wpisani do raportu Scherzera.

Podobny do Wojdy przebieg miało starcie pod Zaborecznem położonym bardziej na wschód od Wojdy. Tutaj schupowcy ponieśli dużo większe straty. Dowodem na to ma być zamówienie ponad 100 trumien z pobliskiego tartaku nazajutrz po bitwie. Bitwa ta miała dla zamojskiej wsi znaczenie kapitalne, Niemcy wstrzymali wysiedlenia. Byli zaskoczeni jakością organizacji polskiego oporu i jego skalą. „Powstanie Polaków” – taki termin użyty został w raporcie innego niemieckiego oficera policji, majora o nazwisku Schwieger.

Wstrzymanie wysiedleń nie oznaczało rezygnacji z terroru i chęci zniszczenia podziemia. Na całej Zamojszczyźnie rozgorzała więc partyzancka wojna, w której straty ponosiły obie strony. Niemcy zdobywali i palili kolejne wsie, często opuszczone przez cywilów, ale partyzantom udawało się wymknąć z okrążeń.

W czerwcu 1943 r. Niemcy potraktowali swojego przeciwnika poważnie i wzmocnieni jednostkami Wehrmachtu, artylerią i lotnictwem przystąpili do przeciwpartyzanckiej akcji Werwolf. Wznowili też wysiedlenia. Tym razem to BCH i AK ponosiły olbrzymie straty sięgające nieraz 50 proc. stanów osobowych. Wysiedlenia nie szły jednak tak, jak planowano. Chłopi wciąż uciekali w bezpieczne rejony, ostrzeżeni przez agentów podziemia zatrudnionych przy niemieckich instytucjach. Znów, tak jak w zimie 1942/1943 r., Niemcy zdołali wysiedlić jedynie 30 proc. ludności.

Trudno wskazać, kiedy dokładnie powstanie zamojskie się skończyło. Po klęsce pod Kurskiem w lecie 1943 r. megalomańskie plany osadnicze Himmlera musiały zostać odłożone. Na początku 1944 r., w miarę zbliżania się frontu, osadnicy niemieccy zaczęli uciekać. Najpierw małymi grupkami, a potem całymi wsiami. Ich miejsce już od 1943 r. zaczęli zajmować Ukraińcy, często zresztą sprowadzani tu specjalnie przez Niemców. Był to już jednak inny rozdział krwawej zamojskiej epopei.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

Czesława Kwoka (Dziecko Zamojszczyzny) na zdjęciu wykonanym w Auschwitz, przełom lat 1942 i 1943 FOT. WILHELM BRASSE/DOMENA PUBLICZNA

Golgota Dzieci Zamojszczyzny

Anna Szczepańska

Niemcy wysiedlili z Zamojszczyzny ok. 30 tys. polskich dzieci. Tylko 800 udało się po wojnie odzyskać

Segregacja rodzin. Coś najpodlejszego. Scena rzezi niewiniątek z czasów Nerona, tylko w niemieckim wydaniu. Odbieranie dzieci, a raczej wyrywanie ich z rąk, z objęć matek. Segregację prowadził komendant Grunert, »Kanarkowy«. Tlenione ladacznice pomagały. Szarpały dzieci przylepione do piersi matek, uczepione do ich nóg […]. Najrozpaczliwiej broniła swego jedynego dziecka Nowogrodzka. Młoda, sama jak dziecko. Stalowe miała dłonie […]. Przekleństwa, mocne kopnięcie »Kanarkowego« i Nowogrodzka z niemowlęciem wpadła na rozpalony żelazny piec. Przewróciła się razem z piecem. Poparzona upadła na podłogę. Dziecko wypadło jej z rąk. Zabrali" – wspominał Zygmunt Węcławik, świadek odbierania przez Niemców Dzieci Zamojszczyzny.

Niemcy wysiedlili z Zamojszczyzny ok. 30 tys. polskich dzieci. Część z nich poddano procedurze segregacji rasowej i wywieziono do Niemiec, oddając je w ręce niemieckich rodzin. Tylko 800 udało się po wojnie odzyskać. Część dzieci, czasem wraz z rodziną, wysiedlono w inne części Generalnego Gubernatorstwa. Niektóre Niemcy wywieźli do obozów koncentracyjnych, gdzie skazywali je na wyniszczającą pracę, poddawali eksperymentom medycznym i uśmiercali.

KRADZIEŻ POLSKICH DZIECI

Tragedia Dzieci Zamojszczyzny wiąże się z polityką władz niemieckich wobec ludności polskiej zamieszkującej wschodnie tereny Rzeczypospolitej. W ramach Generalnego Planu Wschodniego Polacy mieli zostać wysiedleni z żyznych terenów II RP. Ich miejsce mieli zająć Niemcy. Okupanci kierowali się względami nie tylko ekonomicznymi, lecz także ideologicznymi – chodziło o przesunięcie niemczyzny na wschód i rozszerzenie niemieckiej „przestrzeni życiowej".

Wysiedlaniem Polaków z terenów wschodnich, w tym dzieci, zajmowały się m.in. Urząd Rasowo-Polityczny, Komisarz Rzeszy ds. Umacniania Niemczyzny i Główny Urząd Rasy i Osadnictwa SS.

eprasa.pl dced4af17a

Polskie rodziny z Zamojszczyzny wyrzucane ze swoich domów FOT. ZE ZBIORÓW IPN

Jedno z Dzieci Zamojszczyzny, wyrwane rodzicom, nieludzko traktowane przez Niemców FOT. DOMENA PUBLICZNA

Najbardziej brutalną akcję przesiedleńczą Niemcy zorganizowali na Zamojszczyźnie. Kierował nią, wyznaczony przez Himmlera, Odilo Globocnik. Jej początek to 28 listopada 1942 r., choć do pierwszych wysiedleń doszło już rok wcześniej. Łącznie z terenu Zamojszczyzny wywieziono 110 tys. ludzi, w tym 30 tys. dzieci. W lipcu i sierpniu 1943 r. z Lubelszczyzny Niemcy wywieźli ponadto 4,5 tys. dzieci. Ich los pozostaje nieznany.

„Za którymś razem po przyjeździe ze stacji hitlerowiec wyrzucił na plac ciało uduszonego chłopca. Chłopiec mógł mieć około 11–12 lat, ubrany był w granatowy płaszczyk i na głowie miał też granatową pilotkę. Buzia jego była tak ujmująco miła i spokojna, że sprawiał wrażenie śpiącego. Ciało leżało na placu do końca załadunku […]" – mówiła pani Jadwiga, wspominając proceder wysiedlania Polaków (vide: B. Kozaczyńska, „Nie było kiedy płakać […]", Siedlce 2014).

Wypędzonych ludzi wywożono do obozów przejściowych w Zamościu i Zwierzyńcu, a później także do Lublina i Budzynia. Tam dzieci były „rasowo selekcjonowane". Młodych Polaków dzielono na cztery grupy. Grupa pierwsza i druga została uznana za dzieci nordyckie. W grupie pierwszej znalazły się dzieci uznane za Niemców. Grupa druga miała zostać zgermanizowana w niemieckich domach opieki. Grupa trzecia to dzieci, które przeznaczono do pracy w obozach na terenie Rzeszy. W grupie czwartej znalazły się dzieci chore lub niepełnosprawne, które początkowo (wraz z osobami starszymi) zamierzano umieścić w tzw. wsiach rentowych. Planu tego jednak zaniechano, a dzieci wywożono ostatecznie do obozów koncentracyjnych lub kierowano do miejscowości w dystrykcie warszawskim. Część dzieci z grupy czwartej została przewieziona do niemieckiego obozu koncentracyjnego dla dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi, gdzie zmuszano je do pracy.

W obozach przejściowych panowały urągające ludzkiej godności warunki, szerzyły się głód i choroby, a „pluskwy i wszy zjadały ludzi żywcem" – jak wspominali później ocaleni. Strażnicy znęcali się nad więźniami, także nad dziećmi. W przypadku najmniejszego sprzeciwu czy prośby o większą rację żywnościową lub lepsze traktowanie, niemieccy funkcjonariusze bili wszystkich pałkami i nahajkami. Na przełomie lat 1942 i 1943 w obozach przejściowych zginęło co najmniej 1999 dzieci.

To także tam dochodziło do brutalnego wydzierania dzieci z rąk ich matek. Rozłąka z rodziną – ten moment stanowił dla najmłodszych największą traumę i pozostawił w ich psychice niezatarty ślad do końca ich dni.

Do tego strach, głód, lęk o własne życie, poczucie zupełnego osamotnienia. Te emocje, przeżycia oraz makabryczne obrazy towarzyszyły Dzieciom Zamojszczyzny do końca ich dni. W psychice ludzi, którzy jako dzieci doświadczyły tak ogromnej traumy, już na zawsze pozostał niezatarty ślad.

Widać to m.in. w wierszu „Oczami dziecka" napisanym po latach przez Stanisławę Gontarską, jedno z Dzieci Zamojszczyzny. W jej utworze czuć rozpacz, jaka towarzyszyła wszystkim dzieciom w tamtych dniach. Ran zadanych przez Niemców nie zaleczył czas:

„Oczami dziecka"
Na wysokości oczu dzieci były
też oczy
złe oczy niemieckich psów
sterczące uszy reagujące
nawet na szept swego pana
olbrzymie pyski i kły, które
wtedy zbyt często grzały się w
polskiej krwi
Do wysokości oczu dzieci
były też czarne lśniące buty
okrywały je
poły pięknego płaszcza
z dużymi guzikami
przy boku nahajki się huśtały […].

Z obozów przejściowych Niemcy wywozili dzieci do Niemiec lub transportowali je w wagonach bydlęcych w różne części Generalnego Gubernatorstwa. Część dzieci, uznanych za „bezwartościowe", kierowano w okolice Warszawy, a część (powyżej 14. roku życia) do obozów koncentracyjnych. Wielu najmłodszych zmarło w drodze, najczęściej z powodu zimna i głodu.

Dzieci, które trafiły do niemieckich obozów koncentracyjnych, były uśmiercane w komorach gazowych lub poprzez dosercowy zastrzyk z fenolu. Najbardziej znanym Dzieckiem Zamojszczyzny, które Niemcy zamordowali w ten sposób, była 14-letnia Czesia Kwoka. Jako oficjalną przyczynę śmierci polskich dzieci Niemcy wpisywali zapalenie płuc.

eprasa.pl dced4af17a

Los tysięcy młodych Polaków pozostaje nieznany. Co działo się z nimi na terenie Rzeszy? Dlaczego tak mało dzieci wróciło do domów po 1945 r.? – Władze RFN, tak jak w przypadku reparacji wojennych czy granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, przez długie lata za przyzwoleniem niemieckiego społeczeństwa wyciszały temat do czasu, gdy większość dzieci dorosła w nowej rzeczywistości. Niestety, swój negatywny wkład wniosły w pierwszych latach po wojnie także zachodnie władze okupacyjne, utrudniające sprowadzanie dzieci do Polski. Pobłażliwość aliantów upewniła Niemcy w swej butnej postawie – mówi podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości Marcin Romanowski.

Armia Krajowa i osoby prywatne podejmowały wiele kroków, aby ratować zrabowane przez Niemców dzieci. Mieszkańcy miast, gdzie znajdowały się obozy przejściowe, i mieszkańcy okolic, którędy przejeżdżały transporty z dziećmi, robili, co mogli, aby pomóc najmłodszym. Z ust do ust powtarzano hasło: „Ratować Dzieci Zamojszczyzny!". Nie przeszło ono bez echa, a ludzie nie pozostali obojętni. Na niektórych stacjach kolejowych ludzie (poinformowani przez kolejarzy i członków AK) ustawiali się w kolejkach, aby „wykupić" dzieci z niemieckiego transportu i zabrać je do domów. Najmłodszymi, którzy trafiali w okolice Warszawy (np. do Garwolina, Mińska czy Siedlec), zajmowała się m.in. Rada Główna Opiekuńcza i Polski i Czerwony Krzyż. Stan dzieci był opłakany. Przewożone w bydlęcych wagonach były brudne, głodne, często także zupełnie zobojętniałe, otępiałe. Na ratunek ocalonym z transportów dzieciom pospieszyły tysiące Polaków.

Wraz z intensyfikacją działań AK na terenie Zamojszczyzny (atakowano niemieckie patrole, opóźniono transporty) Niemcy wzmogli akcję pacyfikacyjną polskich wsi. W odwecie za działalność polskiego podziemia okupant mordował cywilów, w tym ponownie wiele dzieci.

Koszmar rodzin z Zamojszczyzny nie zakończył się jednak wraz z końcem wojny. Część rodzin odnalazła swoje dzieci w domach innych Polaków dopiero po kilku latach. Niestety zdarzały się sytuacje, że niektóre dzieci nie chciały wrócić do domu, gdyż nie pamiętały swoich biologicznych rodziców. Bardzo niewiele wiadomo też o losach dzieci wywiezionych do Niemiec i zniemczonych. Większość nigdy nie poznała swojej prawdziwej tożsamości, wychowywana przez niemieckie rodziny pod nowym nazwiskiem.

ZADOŚĆUCZYNIENIE

Tragedia Dzieci Zamojszczyzny nie może zostać zapomniana. – Mamy obowiązek podnosić ten temat i bronić prawdy historycznej – mówi Marcin Romanowski. I dodaje: – Rabunek polskich dzieci został uznany przez Trybunał w Norymberdze za zbrodnię ludobójstwa, co zostało też uwzględnione przez Konwencję ONZ w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa z 1948 r. To integralna część zbrodni i krzywd przeciw narodowi polskiemu popełnionych przez III Rzeszę. Jeśli współczesne Niemcy naprawdę chcą pojednania i przebaczenia, to muszą rozliczyć się z przeszłością. Całą. W tym z porywaniem polskich dzieci.

Zdaniem ministra Niemcy powinny wypłacić Polsce należne odszkodowania za straty wojenne, wliczając w to dramat, który spotkał młodych Polaków. – Niemcy mogą zadośćuczynić Polakom wyłącznie przez namacalne, finansowe reparacje, tak jak miało to miejsce po wojnie w przypadku Izraela. Wówczas niemieckie społeczeństwo również było temu bardzo przeciwne. To efekt wybiórczej edukacji historycznej u naszych zachodnich sąsiadów, z których większość ma znikome lub żadne pojęcie o ogromie krzywd wyrządzonych Polakom. Dzisiaj cały świat widzi tragiczny los Ukrainy, co sprawia, że ogrom dokonywanych przez Niemców zbrodni jest bardziej namacalny, zrozumiały dla krajów zachodnich. Dziś rozmowy o reparacjach wyglądają zgoła inaczej. Z tragicznych powodów historyczne zbrodnie Niemiec, w tym rabunek polskich dzieci, stały się bardziej zrozumiałe dla społeczności międzynarodowej – dodaje minister Romanowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wybrana bibliografia:

Eadem, „Nie było kiedy płakać. Losy rodzin polskich wysiedlonych z Zamojszczyzny 1942–1943", Siedlce 2014.

Eadem, „Ocalone z transportów Dzieci Zamojszczyzny. Losy dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny do dystryktu warszawskiego 1942–1945", Siedlce 2014.

Gontarska S., „Z poziomu oczu dziecka" [w:] „Moje Wojenne Dzieciństwo", Fundacja Moje Wojenne Dzieciństwo, 2000, on-line.

Jaczyńska A., „Sonderlaboratorium SS. Zamojszczyzna – »pierwszy obszar osiedleńczy w Generalnym Gubernatorstwie«", Warszawa 2018.

Kozaczyńska B., „Bez rodziców, bez domu... Okupacyjna codzienność dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny do dystryktu warszawskiego w latach 1942–1943 (wybrane aspekty)", „Przegląd Pedagogiczny" nr 1, 2012.

Stelingowska B., „Wysiedlenie widziane oczami dziecka z Zamojszczyzny", „Narracje o Zagładzie" nr 6, 2020.

Dzieci z Zamojszczyzny przewożone do sierocińca w Łaskarzewie, 1942 r.

FOT. ZE ZBIORÓW IPN

eprasa.pl dced4af17a

Panteon w azylu Wyklętych

FOT. ADOBE STOCK

Zuzanna Dąbrowska

Klasztor w Radecznicy to wciąż mało znany symbol oporu – najpierw wobec rosyjskiego zaborcy, następnie niemieckiego okupanta, a po 1945 r. przeciw władzom komunistycznym. Obecnie w krypcie sanktuarium powstaje panteon Żołnierzy Wyklętych z Lubelszczyzny

W październiku 2017 r. w podziemiach sanktuarium św. Antoniego Padewskiego w Radecznicy pochowano szczątki płk. Mariana Pilarskiego ps. Jar i ppor. Stanisława Biziora ps. Eam (awansowanego pośmiertnie do stopnia kapitana). Uroczysty pogrzeb był początkiem budowy panteonu. Pilarski walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, a we wrześniu 1939 r. walczył w składzie Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie". Po bitwie pod Kockiem dostał się do niewoli niemieckiej. Zbiegł z transportu do Niemiec. Od 1940 r. był członkiem ZWZ-AK w Tomaszowie Lubelskim. Po wkroczeniu Armii Czerwonej pozostał w konspiracji. W 1947 r. rozpoczął formowanie II Inspektoratu Zamojskiego AK, w którym objął funkcję dowódcy. Inspektorat mieścił się właśnie w klasztorze Bernardynów w Radecznicy. „Jar" został aresztowany 12 kwietnia 1950 r. w Zamościu przez funkcjonariuszy UB. 16 października 1951 r. został skazany na karę śmierci, którą wykonano 4 marca 1952 r. w więzieniu na Zamku w Lublinie. Z kolei „Eam" w marcu 1948 r. wstąpił do II Inspektoratu Zamojskiego AK pod dowództwem Pilarskiego. Pełnił funkcję dowódcy żandarmerii, a zarazem komendanta rejonu Sitaniec w obwodzie Zamość. Aresztowany 13 kwietnia 1950 r. w Zamościu przez funkcjonariuszy UB w Lublinie, wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Lublinie z 16 października 1951 r. skazany został na karę śmierci, którą wykonano 4 marca 1952 r.

Kolejne pogrzeby odbyły się w roku 2019 – wtedy w krypcie spoczęły szczątki trzech innych żołnierzy polskiego podziemia antykomunistycznego z II Inspektoratu Zamojskiego AK: Józefa Pysia ps. Ostry, Pawła Kalinowskiego ps. Francuz i Mieczysława Szewczuka ps. Włoch. Ostatni pochówek w panteonie to marzec 2021 r. Wtedy to zorganizowa-

eprasa.pl dced4af17a

no uroczysty pogrzeb Romana Szczura vel Szumskiego ps. Halina, żołnierza KOP, ZWZ, AK, a także Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, zamordowanego przez komunistów. Podczas uroczystości został on pośmiertnie awansowany na stopień kapitana oraz odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

KLASZTORNY AZYL

Dlaczego w latach 40. XX w. Żołnierze Wyklęci znaleźli bezpieczną przystań właśnie w sanktuarium w Radecznicy? Bez wątpienia dużą rolę odgrywała w tym tradycja patriotyczna bernardynów. W roku 1869 władze zaborcze zamknęły klasztor, będący centrum życia religijno-społecznego (w Radecznicy 8 maja 1664 r. po raz pierwszy w historii Polski objawił się św. Antoni), z silnym akcentem narodowym. Na miejsce bernardynów zostali sprowadzeni duchowni uniccy, a zakonników, za pomoc powstańcom, zesłano na Sybir. Sanktuarium nie działało przez pół wieku. Rekoncyliacji świątyni dokonano 13 czerwca 1916 r.

Trzy lata później kompleks przekazano znowu w ręce Bernardynów, którzy szybko wzięli się do pracy. Zabrali się za gruntowny remont. W 1922 r. w budynku pozostałym po seminarium nauczycielskim urządzono Kolegium Serafickie. Wykształcenia odebrało tam ok. 700 chłopców, z których ponad stu wstąpiło następnie do Zakonu. Na krótko przed wybuchem II wojny światowej powstała tu również drukarnia.

W czasie drugiej wojny światowej klasztor stał się schronieniem dla osób poszukiwanych przez gestapo. Drukowano tam ulotki, a w murach działającej w ramach kompleksu szkoły średniej szkolono żołnierzy AK. – Tak jak zdecydowana większość Żołnierzy Wyklętych była uczestnikami organizacji konspiracyjnych działających już od końca września 1939 r., tak samo ojcowie bernardyni z Radecznicy wspierali Związek Walki Zbrojnej-Armię Krajową i aktywnie sami działali w jego strukturach. Przede wszystkim należy wymienić tu o. Józefa Płonkę (zakonne imię Wacław). Przybył tutaj zaraz po święceniach kapłańskich w 1938 r. Po wybuchu drugiej wojny światowej i okupacji tych terenów przez Niemców był jedną z pierwszych osób

W czasie drugiej wojny światowej klasztor stał się schronieniem dla osób poszukiwanych przez gestapo

z Radecznicy, które zostały członkami struktur konspiracyjnych w 1940 r. w ramach ZWZ. Był również organizatorem i prowadzącym zajęcia w ramach tajnego nauczania na poziomie szkoły powszechnej i gimnazjum. Od grudnia 1943 r. był kapelanem wszystkich oddziałów partyzanckich działających na terenie zamojskiego obwodu AK – mówi „Do Rzeczy" Marcin Krzysztofik, zastępca naczelnika oddziałowego archiwum IPN w Lublinie. Jak zaznacza, w działalność podziemną zaangażowani byli również inni bernardyni z tutejszego konwentu.

Sam klasztor był miejscem spotkań i narad żołnierzy podziemia. – Sytuacja nie uległa zmianie po wkroczeniu wojsk sowieckich na te tereny pod koniec lipca 1944 r. i instalacji rodzimych władz komunistycznych. Klasztor w Radecznicy odgrywał kluczową rolę w działalności podziemia antykomunistycznego. Tutaj dochodziło do spotkań mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory" z mjr. Marianem Pilarskim „Jarem". Po amnestii w 1947 r. Pilarski założył nową organizację – II Zamojski Inspektorat Armii Krajowej – której sztab mieścił się w klasztorze noszącym kryptonim Zamek. Konspiratorzy w miejscowym kościele składali przysięgę, wstępując do organizacji. Również tutaj ukryte zostało archiwum WiN. W związku z aresztowaniami członków II inspektoratu w kwietniu 1950 r. represje nie ominęły też bernardynów. 20 czerwca 1950 r. funkcjonariusze UB zamknęli klasztor w Radecznicy oraz gimnazjum prowadzone przez zakonników. Wkrótce aresztowani zostali wszyscy zakonnicy, którzy przebywali w Radecznicy po 1944 r. Aresztowany został również prowincjał, o. Andrzej Szepelak. W procesie, który odbył się przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Lublinie w październiku 1951 r., prowincjał otrzymał wyrok 15 lat więzienia, o. Płonka – 12 lat. W tej samej sprawie zapadły wyroki śmierci wobec Mariana Pilarskiego i Stanisława Biziora. Proces był starannie wyreżyserowany przez komunistów. W tym celu do Lublina został specjalnie wydelegowany zastępca szefa Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie płk Mieczysław Widaj, który

Uroczysty pogrzeb kpt. Romana Szczura vel Szumskiego ps. Halina

FOT. DAWID FLORCZAK/IPN

eprasa.pl dced4af17a

Kapitan Roman Szczur na portrecie podczas uroczystego pogrzebu

FOT. DAWID FLORCZAK/IPN

w swojej „karierze" sędziowskiej wydał ponad 100 wyroków śmierci – wskazuje Krzysztofik.

– W 1950 r. komuniści zamknęli sanktuarium, aresztowali i wywieźli na Zamek Lubelski zakonników, którym wytoczono sfingowane procesy pokazowe. Budynki klasztorne, w których wcześniej mieściła się szkoła, przerobiono na szpital psychiatryczny, istniejący do dziś. Część działek, odebranych jako mienie zakonne, odzyskaliśmy zaledwie dwa, trzy lata temu – opowiada brat Damian Bobel, zakrystian z klasztoru oo. Bernardynów w Radecznicy. – Przerobienie klasztoru na zakład dla chorych psychicznie miało też budować skojarzenie, że Kościół równa się choroba mentalna. To element komunistycznej propagandy – wskazuje. – W okolicy mówi się, że do szpitala trafiali wrogowie władzy, których „leczono prądem". Za szpitalem do dziś jest cmentarz z krzyżami, na niektórych zachowały się numery. To jednak skomplikowana kwestia, trudna do udowodnienia ze względu na zatarte ślady w dokumentacji – dodaje brat Damian.

Choć w mocno ograniczony sposób, ale w PRL sanktuarium funkcjonowało. Urzędnik UB, który w dniu odpustu pilnował bram klasztornych, ustępował przed pielgrzymami zamierzającymi odwiedzić święte miejsce. – Duch patriotyczny był w Bernardynach od zawsze. Władze komunistyczne uderzyły w zakonników, chcąc zastraszyć innych – wskazuje zakrystian.

Dziś, dzięki powstającemu od 2017 r. w krypcie sanktuarium panteonowi Żołnierzy Wyklętych, o Radecznicy dowiaduje się coraz więcej osób. – Początkowo Wyklęci mieli być pochowani przy murze kompleksu, na terenie otwartym. Pojawiła się jednak obawa o wandalizm i profanacje. Teraz powstaje panteon. Jest możliwość, aby w tym miejscu pochować kolejne osoby. To oczywiście zależy od rodzin, jeśli zgodzą się na pochówek w krypcie klasztoru – zaznacza br. Damian Bobel.

Krypta Żołnierzy Wyklętych pod bazyliką oo. Bernardynów to jedyne takie miejsce w Polsce

Marcin Krzysztofik z lubelskiego IPN wskazuje, że organizując uroczyste pogrzeby bohaterów odnalezionych po kilkudziesięciu latach, decyzję o miejscu pochówku zawsze podejmuje rodzina, a Instytut jedynie sugeruje ewentualne miejsce. – W tym przypadku w trakcie spotkania z udziałem rodzin Mariana Pilarskiego, Stanisława Biziora, ówczesnego wojewody lubelskiego prof. Przemysława Czarnka, bernardynów oraz przedstawicieli IPN zapadła decyzja o przygotowaniu krypty pod bazyliką w Radecznicy, a więc w miejscu, które przed kilkudziesięciu laty było dla żołnierzy podziemia azylem, gdzie naprawdę czuli się wolni i bezpieczni – mówi.

Wszyscy pochowani tam żołnierze – poza Romanem Szczurem – zostali odnalezieni na „Lubelskiej Łączce", czyli cmentarzu przy ul. Unickiej. – To tutaj komuniści potajemnie grzebali ciała osób zamordowanych w więzieniu na Zamku w Lublinie, jak również Żołnierzy Wyklętych poległych w akcjach aparatu bezpieczeństwa – zaznacza Krzysztofik. Roman Szczur vel Szumski został odnaleziony przez zespół prof. Krzysztofa Szwagrzyka na cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu. – W uroczystościach pogrzebowych każdorazowo, poza oczywiście rodzinami naszych bohaterów, brała udział miejscowa społeczność, a także ich licznymi uczestnikami były osoby, które przyjeżdżały z najodleglejszych części kraju, wśród nich harcerze, grupy rekonstrukcyjne i motocykliści – wspomina rozmówca „Do Rzeczy".

Krypta Żołnierzy Wyklętych pod bazyliką oo. Bernardynów to jedyne takie miejsce w Polsce. – Poza wymiarem symbolicznym ma również aspekt edukacyjny. Pamiętajmy, że klasztor jest miejscem pielgrzymkowym, z uwagi na jedyne miejsce uznanych objawień św. Antoniego z Padwy, które miało miejsce tutaj w 1664 r. Przybywający pielgrzymi mają możliwość zejścia do krypty i oddania hołdu naszym bohaterom tam pochowanym, a dzięki temu również poznania ich historii walki, zarówno z niemieckim okupantem, jak i rodzimym systemem komunistycznym – wskazuje zastępca naczelnika oddziałowego archiwum IPN w Lublinie.

Każdego roku, w pierwszą niedzielę marca, gmina wraz z Bernardynami organizuje uroczystości z okazji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych. – Jednym z jego punktów jest Bieg Tropem Wilczym, który swój start ma obok wejścia do krypty. W ubiegłym roku w tych uroczystościach, jak również w samym biegu, wzięła udział grupa kilkudziesięciu żołnierzy amerykańskich z elitarnej 82 Dywizji Powietrznodesantowej, którzy wówczas stacjonowali w okolicach Zamościa – mówi Marcin Krzysztofik z IPN.

Od 4 lipca 2015 r. sanktuarium, dzięki decyzji papieża Franciszka, nosi tytuł bazyliki mniejszej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

Andrzej Stachyra ps. Saturnin na zdjęciu wykonanym przez Urząd Bezpieczeństwa FOT. ZE ZBIORÓW IPN

„Saturnin" przeciw komunie

Radosław Wojtas

Polscy żołnierze walczący z nowym, czerwonym okupantem wspięli się na wyżyny patriotyzmu i poświęcenia. Jednym z nich jest Andrzej Stachyra ps. Saturnin. Człowiek, którego służby PRL próbowały złamać oraz zniszczyć i któremu udało się je przechytrzyć

Wieś Żabno położona jest dziś w gminie Turobin, w powiecie biłgorajskim, w województwie lubelskim. Kiedy na ośmiohektarowym zagonie gospodarzyli tam Józef Stachyra i jego żona Katarzyna, wioska ta położona była na południowym skaju ówczesnego powiatu krasnostawskiego. Małżeństwo mogło pozwolić sobie na zadbanie o edukację dzieci. Ich urodzony w 1907 r. syn Paweł ukończył w 1938 r. wydział prawa na KUL. Młodszemu o cztery lata, urodzonemu 21 marca 1911 r. Andrzejowi pisana była inna droga. Ukończył cztery oddziały szkoły powszechnej, a następnie szkołę rolniczą w Krasnymstawie.

Zanim jednak zaczął gospodarzyć, musiał odsłużyć wojsko. W latach 1932–1934 służył w 2. Pułku Artylerii w Dubnie. – Natrafiłem na różne zapiski odnośnie do jego służby. Według jednych był tam sanitariuszem. Wedle innych mógł być pomocnikiem wojskowego weterynarza – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy"

eprasa.pl dced4af17a

Dariusz Pilarski, wnuk Mariana Pilarskiego (ps. Grom, Jar, Olgierd, Bończa, Major 134), żołnierza AK, który dobrze znał się z Andrzejem Stachyrą. Nasz rozmówca, który z pasją zgłębia historię swojego dziadka, a co za tym idzie – także osób działających z nim w podziemiu, dodaje: – Po służbie w wojsku Stachyra osiadł w miejscowości pod Turobinem. Był rolnikiem, zajmował się uprawą ziemi.

Założył rodzinę, doczekał się dzieci, w 1939 r. został sołtysem. – W 1942 r. wstąpił do Batalionów Chłopskich, do których najprawdopodobniej „wciągnął" go jego starszy brat. Później Andrzej Stachyra rozpoczął działalność w Armii Krajowej; w tym wypadku na pewno za sprawą swojego brata – mówi Dariusz Pilarski.

Jedną z najbardziej spektakularnych akcji przeprowadzonych przez AK z udziałem Andrzeja Stachyry było odbicie aresztowanego przez Niemców jego brata Pawła Stachyry. Osadzono go w areszcie w Żółkiewce. Jak pisze Zbigniew Łupina w tekście poświęconym „Saturninowi", wiosną 1944 r. „konspiratorzy z Turobina i Żółkiewki w liczbie ok. 100 osób z powodzeniem przeprowadzili operację, uwalniając osadzonego".

NOWA OKUPACJA

„Dla zdecydowanej większości Polaków, w tym i dla niego, koniec wojny nie był równoznaczny z wyzwoleniem. Sowiecki blackout był dla postaci takich jak Andrzej Stachyra równoznaczny z drugą okupacją. Aresztowania, wywózki, tortury żołnierzy podziemia niepodległościowego z czasów okupacji niemieckiej były codziennością polityki nowego okupanta" – pisze w swej pracy Zbigniew Łupina.

W kręgach byłych żołnierzy AK i NSZ nierzadkie było przeświadczenie, że ten stan rzeczy jest przejściowy. Żywe było przekonanie, że pokój jest chwilowy i niebawem musi dojść do konfliktu między Zachodem a ZSRS. Świetnie emocje w sercach walczących o wolność swojej ojczyzny Polaków rozczarowanych tym, co zaczęło się wyłaniać z powojennej pożogi, oddają słowa jednego z wyklętych, Michała Bobrzyńskiego ps. Sęp: „Zostaliśmy sprzedani przez Zachód. Jeżeli nie dojdzie do konfliktu ze Wschodem, nie mamy żadnych szans. Walec komunistyczny nas rozgniecie. Ale ponieważ nikt nie wie, co będzie, trzeba się bić".

– Zarówno Andrzej, jak i jego brat Paweł Stachyrowie od samego początku nie mieli najmniejszych wątpliwości, jaki ustrój nastał w Polsce. Trzeba oddać cześć i chwałę obu braciom, bo byli oni wysokiej rangi patriotami i żołnierzami. Byli zdyscyplinowani, lojalni, rzadko kto wykazywał się taką odwagą jak oni – mówi Dariusz Pilarski.

Jak pisze Zbigniew Łupina, „Andrzej Stachyra utrzymywał kontakt z grupami pozostałych w lesie żołnierzy podziemia. Nawiązuje między innymi kontakt z oddziałem leśnym WiN [Wolność i Niezawisłość – przyp. red.] Hieronima Dekutowskiego »Zapory«, dostarczając broń dla znajdującego się już wtedy w trudnej sytuacji tego jednego z największych Niezłomnych". Na terenie Zamojszczyzny struktury konspiracyjne WiN organizował właśnie Marian Pilarski „Jar", żołnierz wojny z 1920 r. i czasów niemieckiej okupacji, zasłużony działacz podziemia po 1945 r. – Pod koniec 1946 r. dziadek objął funkcję inspektora Inspektoratu Zamojskiego WiN. Niedługo później Stachyra podjął próby kontaktu z nim. Dziadek rezydował w klasztorze w Radecznicy, tam mieścił się jego sztab WiN, a później stworzony przez niego II Inspektorat Zamojski Armii Krajowej i to w parku obok klasztoru dochodzi do ich spotkania – mówi Dariusz Pilarski.

„Jar" zaczął tworzyć zalążki II Inspektoratu Zamojskiego AK już w drugiej połowie 1947 r. Formalnie historycy przyjmują wiosnę 1948 r. jako moment składania przysięgi w klasztorze w Radecznicy przez konspiratorów. Jesienią 1948 r. następuje kolejne zaprzysiężenie konspiratorów w klasztorze w Radecznicy. Marian Pilarski staje na czele II Inspektoratu, a Andrzej Stachyra zostaje komendantem Obwodu Krasnystaw. Zbigniew Łupina pisze: „[Stachyra] Tworzy siatkę konspiracyjną. Zgodnie z planem działania Inspektoratu podejmuje działania wywiadowcze nakierowane na pozyskanie informacji o [...] UB, MO, oficerach WP, jak również funkcjonariuszach NKWD, organizuje akcję informacyjną dotyczącą szkodliwości narzuconego ustroju, organizuje i wspiera opór przeciwko kolektywizacji. Oczywiście w strukturach II Inspektoratu zostaje zainstalowana struktura [Lotna Żandarmeria – przyp. red.] zajmująca się fizycznym oddziaływaniem na funkcjonariuszy UB, MO, ORMO, PPR z wykonywaniem egzekucji na osobach szczególnie oddanych sprawie walki z podziemiem niepodległościowym oraz instalowaniem reżimu".

eprasa.pl dced4af17a

Bazylika św. Antoniego w Radecznicy

FOT. ADOBE STOCK

W 1949 r. zaczynają się aresztowania osób działających w konspiracji w Obwodzie Krasnystaw. Ubecy są bezwzględni. Przesłuchania są brutalne – torturowanie aresztowanych staje się standardem. Te brutalne metody okazują się jednak skuteczne. Komendant obwodu zostaje zdekonspirowany. Ponadto służby uzyskują informację o umocowaniu Andrzeja Stachyry w II Inspektoracie.

W ZAPARTE

Syn Andrzeja Stachyry, Adolf, wspominał: „Ojca aresztowali w 1949 r. Na tym terenie też była ta organizacja, no i jeden wydał, że ojciec też należał. Zakonnicy [z klasztoru w Radecznicy, gdzie działał »Jar« – przyp. red.] byli aresztowani w 1950 r. I dowódca Pilarski też w 1950. »Saturnin« był zatrzymany 7 lipca, przewieziony do Krasnegostawu, a potem na Zamek Lubelski".

„Pobyt Andrzeja Stachyry w więzieniu »bezpieki« na Zamku Lubelskim to czas jego z jednej strony wyjątkowo niezłomnej, a z drugiej bardzo mądrej postawy. Niewątpliwie był to dla niego czas wielkiej próby. Lektura protokołów przesłuchań »Saturnina« to prawdziwe studium racjonalnego zachowania się w sytuacji fizycznego i psychicznego terroru, jakiemu był poddawany. Oczywiście podstawą przyjmowania jakiejkolwiek strategii był stan mobilności umysłowej w obliczu wymyślnych tortur. Tę właściwość jako jeden z nielicznych zachował" – pisze Zbigniew Łupina.

Stachyra wykazał się dużym sprytem. Z jednej strony zeznawał bardzo szczerze w zakresie swojego przedwojennego i okupacyjnego życiorysu, przemilczając bądź operując pseudonimami w momentach, gdy był pytany o powojenne kontakty. – Mimo fizycznych i psychicznych tortur, jakim był poddawany podczas przesłuchań, nie zdradził niczego, co mogłoby zaszkodzić działalności II Inspektoratu czy jego dowódcom – mówi nam Dariusz Pilarski. – Nie przekazał żadnych informacji o moim dziadku, ale i dziadek go nie zdradził. Komuniści skonfrontowali Pilarskiego ze Stachyrą, ale „Jar" powiedział, że nie zna człowieka, którego mu przedstawili. Mówił, że, owszem, zna „Saturnina", ale ten tutaj to nie jest on. Ani jeden, ani drugi nie zdradził – dodaje.

Imponuje to, tym bardziej jeśli czyta się o metodach stosowanych przez ubeków wobec „Saturnina", wśród których były bicie, permanentne przesłuchania, podłączanie do prądu, umieszczanie zimą w „karcerze" przy otwartym oknie, polewanie lodowatą wodą w 30-stopniowym mrozie.

Oddajmy w tym miejscu raz jeszcze głos panu Zbigniewowi Łupinie, który o postawie Stachyry podczas pobyty w więzieniu pisał z dużym uznaniem: „Wobec ludzi z aparatu represji prezentował postawę niezłomną i godną. Za przykład takiej niech posłuży casus następujący. Kiedy jego małżonka wraz z synem Adolkiem podała mu do »więźniarki« piernik, funkcjonariusz UB wyrzucił go na zewnątrz. Syn zapamiętał ciąg dalszy tak: »No i trzymał się tej więźniarki rękami, a ten (funkcjonariusz UB, przyp. mój) … wziął kawałek żelaza i po rękach bił, żeby puścił, no i musiał puścić. Jak puścił, ten chciał zamknąć drzwi, a ojciec napluł mu prosto w oczy«".

Marian Pilarski został skazany na karę śmierci i zamordowany w podziemiach lubelskiego zamku 4 marca 1952 r. Stachyrze groził ten sam los. Czy jego zachowanie wskazujące na problemy natury psychicznej podczas aresztowania było wynikiem traumy czy umyślnie podjętej gry? Dariusz Pilarski wskazuje raczej na tę drugą ewentualność. – Zachowały się protokoły przesłuchań, w których jego współwięźniowie opowiadali, że „Saturnin" podpytywał ich, jak powinien zachowywać się człowiek chory psychicznie, a nawet odgrywał przed nimi scenki i pytał, czy były wiarygodne – mówi Dariusz Pilarski. – Funkcjonariusze więzienni opisywali w raportach zachowania Stachyry, ale dodawali, że robił to świadomie i celowo. Ale on nie przestawał udawać i w końcu został poddany badaniom lekarskim, z których płynął wniosek, że więzień symuluje. I to go nie powstrzymało, na kolejne kompleksowe badania został wywieziony do Tworek, jednak i tam lekarze wskazali, że udaje, i skierowano go z powrotem do więzienia w Lublinie. „Saturnin" jest jednak niezmordowany, gra swoją rolę dalej i wreszcie zostaje uznany za chorego – opowiada Pilarski.

Andrzej Stachyra stanął przed sądem pod zarzutem, że „w okresie czasu od września 1944 r. do dnia zatrzymania, tj. 7 lipca 1949 r., działając na terenie pow. Krasnostawskiego, usiłował przemocą zmienić ustrój Państwa Polskiego, biorąc udział w nielegalnej organizacji »AK« »Inspektorat zamojski«, pełniąc w niej funkcję Komendanta obwodu krasnostawskiego". Pod wpływem opinii psychiatrycznej, mówiącej, że „nie powinien przebywać w warunkach więziennych, które wywołały stan reaktywny, lecz w warunkach domowych" oraz że „nie jest niebezpieczny dla otoczenia", Wojskowy Sąd Rejonowy w Lublinie umorzył postępowanie karne i uchylił trwające ponad pięć lat tymczasowe aresztowanie.

21 listopada 1953 r. o godz. 16 Andrzej Stachyra opuścił mury lubelskiego zamku. Przeżył jeszcze 30 lat, umarł 27 grudnia 1983 r. Spoczął na cmentarzu parafialnym w Turobinie. 8 czerwca 1993 r. postanowieniem Sądu Wojewódzkiego w Lublinie został zrehabilitowany. Sąd uznał, że czyny, w związku z którymi był aresztowany, były działaniem na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Obszerne cytaty zostały zaczerpnięte z pracy pt. „Żołnierz niezłomny – Andrzej Stachyra »Saturnin«", której autorem jest Zbigniew Łupina, sędzia Sądu Rejonowego w Biłgoraju, członek KRS.

eprasa.pl dced4af17a

Gdzie prowadzi ślad węglowy?

Dariusz Wieromiejczyk

To kosztujące fortunę kampanie reklamowe British Petroleum przyczyniły się do wprowadzenia teorii wszechobecnego „śladu węglowego"

Pod koniec ubiegłego wieku publiczny wizerunek firm z sektora paliwowego wyglądał fatalnie. W filmach z tego okresu standardowym czarnym charakterem były międzynarodowe korporacje, z którymi walczyli odważni dziennikarze lub nieprzekupni policjanci. Ruch „antyglobalistyczny" nie był jeszcze kupiony przez wielki biznes i przekierowany na bezpieczną działalność – taką jak promowanie równości płci lub pracy seksualnej. Przeciwnie, cieszący się sporym poparciem społecznym ekolodzy blokowali w portach tankowce i sabotowali pracę platform wiertniczych. Media pełne były relacji z następujących co kilka lat katastrof ekologicznych – z reguły związanych z wyciekami paliw płynnych z uszkodzonych rurociągów, tankowców lub platform wiertniczych. Telewizje całego świata pokazywały pełnych poświęcenia wolontariuszy ratujących na plażach oblepione ropą ptaki morskie i próbujących zbierać z brzegów cuchnącą ciecz. Towarzyszyły tym obrazkom komentarze oburzonych dziennikarzy, domagających się położenia kresu niszczącej środowisko działalności międzynarodowych korporacji. Określenie „magnat naftowy" brzmiało w uszach pokolenia dzieci kwiatów niemal tak jak „handlarz bronią".

Był to zarazem złoty wiek dla wielkich, sieciowych agencji reklamowych. Budżety kilkudziesięciosekundowych reklamówek wynosiły po kilka milionów dolarów, pracowali przy nich najwybitniejsi reżyserzy i operatorzy filmowi. Raczkująca dopiero branża komputerowych efektów specjalnych nie zabiła jeszcze w widzach zachwytu nad wizualnym przepychem produkcji. W agencjach reklamowych pracowali wtedy – i zarabiali krocie – najzdolniejsi stratedzy komunikacji i rzeczywiście nowatorscy badacze rynku. Szczególną renomą cieszyły się anglosaskie agencje reklamowe. Jedną z najlepszych była Ogilvy & Mather – prawdziwa legenda branży, założona przez sławnego copywritera Davida Ogilvy'ego. Jego kampanie reklamowe stały się kamieniami milowymi rozwoju komunikacji marketingowej, a stojące za nimi pomysły nawet po 70 latach wydają się nowatorskie. Malkontenci zarzucali im czasem cynizm w manipulowaniu zachowaniem odbiorców. Być może wynikało to stąd, że w czasie drugiej wojny światowej Ogilvy był pracownikiem służb wywiadowczych, zatrudnionym przez brytyjską ambasadę w Waszyngtonie. Jego raporty i analizy niezwykle wysoko oceniał założony przez gen. Eisenhowera Komitet Wojny Psychologicznej, przygotowujący treści alianckiej

eprasa.pl dced4af17a

FOT. ADOBE STOCK

propagandy wojennej w Europie. Tak czy inaczej, agencja Ogilvy & Mather rosła jak na drożdżach, specjalizując się w obsłudze wielkich międzynarodowych klientów.

W ostatnich latach XX w. gigantyczny prywatny koncern naftowy British Petroleum połączył się z amerykańskim gigantem – Amoco. Niebawem dołączyli do nich producent olejów – Castrol, niemiecki koncern paliwowy Aral i amerykański Arco. Nowa, gigantyczna korporacja na gwałt potrzebowała świeżego wizerunku.

Zaprojektowanie go powierzone zostało właśnie znanej nam już agencji reklamowej Ogilvy & Mather. Jej twórca zmarł wprawdzie w roku 1999, jednak stworzona przez niego firma uchodziła w tym czasie za jedną z najlepszych na świecie. W roku 2000 wykreowała ona nowy wizerunek British Petroleum. Z tradycyjnym naftowym wizerunkiem nie miał on wiele wspólnego. Nie oszczędzono nawet tradycyjnego logotypu – zamiast niego wprowadzono zielono-żółto-białą kulę słoneczną, stylizowaną na kwiat, nazywaną Heliosem. Miała ona symbolizować „energię we wszystkich jej formach".

Nowy logotyp był jednak tylko ukoronowaniem pomysłu, który badacze reklamy nazywają dziś jedną z najbardziej błyskotliwych kampanii marketingowych naszego wieku. Jedną z naczelnych zasad dobrego przekazu reklamowego jest wyróżnienie się w komunikacji konkurencji. „Myśl inaczej" (Think different) – powtarzano wtedy na firmowych szkoleniach. Dobra reklama powinna odwoływać się do takich cech produktu, których nie podkreślał dotąd żaden konkurent. Miała ona wytrącać użytkownika z utartych kolein myślenia, zaskakiwać go podkreśleniem niekojarzonych dotychczas z marką zalet. Wyższą szkołą jazdy było odwrócenie dotychczasowych wartości marki – coś, co wstydliwie dotychczas ukrywano, uczynić należało wyróżnioną cechą produktu. Niewinnym, często przytaczanym przykładem takiej kampanii była klasyczna amerykańska reklama keczupu Heinz. Klienci skarżyli się czasem, że tradycyjna receptura czyni go nazbyt gęstym, zbyt trudno i powoli wypływającym z butelki. Nowatorska kampania podkreśliła właśnie tę cechę – opatrując ją hasłem „Na dobre rzeczy trzeba czasem poczekać" – i odniosła wśród odbiorców spory sukces.

Innym, zdecydowanie bardziej perfidnym przykładem podobnej sztuczki była niezwykle popularna w Stanach Zjednoczonych społeczna kampania reklamowa, stworzona przez pozornie idealistyczną, działającą na zasadach non profit organizację Keep America Beautiful (Zachowaj Amerykę Piękną). Wielokrotnie nagradzana na festiwalach reklama filmowa z roku 1971 pokazywała ubranego w tradycyjny strój Indianina, płynącego canoe po rzece. Indianin dobijał do brzegu, na którym walały się sterty śmieci. W tym czasie natchniony męski głos zza kadru deklamował górnolotne frazesy o życiu zgodnie z naturą i pięknie nieskażonej przyrody. (W początkach lat 70. pokolenie New Age kochało opowieści o szlachetnych Indianach. Nikomu nie przeszkadzało wtedy, że reklamowego Indianina grał aktor o amerykańsko-włoskich korzeniach, niemający z rdzennymi Amerykanami nic wspólnego). Z przejeżdżającego samochodu pasażer, przez otwarte okno, wyrzucał plastikową torebkę ze śmieciami – resztkami zjedzonego lunchu. Indianin, widząc to, płakał, reklamówka kończyła się zbliżeniem cieknącej po policzku łzy i hasłem: „People start pollution. People can stop it" (Ludzie powodują zanieczyszczenie. Ludzie mogą je powstrzymać).

Reklama odniosła ogromny sukces, wygrała wiele branżowych nagród, postać filmowego Indianina, nazywanego „Iron Eyes Cody", stała się ikoną kultury popularnej. Publiczność nie zwróciła uwagi na to, że organizacja Zachowaj Amerykę Piękną, która stworzyła całą kampanię, ufundowana została przez największe światowe koncerny zalewające rynek napojami w puszkach i żywnością w plastikowych opakowaniach – Coca-Colę, Pepsi, Continental Can Company, Aluminium Can Company of America i Procter & Gamble. Rzeczywisty przekaz reklamy instruował widzów, że zanieczyszczenia i wszechobecne śmieci to ich wina – nie zaś ogromnych korporacji masowo produkujących tanie puszki i plastikowe butelki. W owych czasach produkujący te opakowania przemysł nie poczuwał się do żadnej odpowiedzialności za recykling zużytych opakowań. Po co, skoro zanieczyszczenia powodują „ludzie"?

100 MLN DOL.

Bliźniaczo podobnym tropem poszła stworzona przez Ogilvy & Mather wielka kampania reklamowa „nowego" British Petroleum. Na użytek odświeżonego wizerunku koncernu paliwowego agencja reklamowa stworzyła pojęcie „śladu węglowego" i na promowanie go wydawała, co roku, ponad 100 mln dol. Pomysł cyklu reklam był świetny, jego realizacja bardzo prosta. Przechodnie na ulicy pytani byli, w konwencji sondy telewizyjnej, „What is the size of your carbon footprint?" (Jaka jest wielkość twojego śladu węglowego? – dosłownie: „odcisku stopy"). Odpowiedzi były rozmaite, wszystkie jednak opowiadały, w jaki sposób „Ja" lub „My" przyczyniamy się do emisji dwutlenku węgla. Wielki przemysł i korporacje zniknęły dzięki temu z horyzontu dyskusji ekologicznej, a odpowiedzialni stali się ludzie – lepiej

eprasa.pl dced4af17a

lub gorzej wyedukowani, egoistyczni, niesklonni do poświęceń i modyfikacji swoich nawyków. To oni, wbrew staraniom „ekologicznie wrażliwej" korporacji, przyczyniać się mieli do szkodliwego dla planety „efektu cieplarnianego", za pomocą emisji indywidualnego, właściwego ich charakterowi i trybowi życia „węglowego odcisku stopy".

Zwróćmy uwagę na przekaz kryjący się za tym sformułowaniem. Mówiąc o „odcisku stopy", nadano emisji CO_2 charakter czegoś zindywidualizowanego, przynależnego każdemu z nas. Na zostawianie odcisków stóp jesteśmy przecież skazani. Mogą to być odciski mniej lub bardziej widoczne, ale – podobnie jak oddychania – nie sposób ich uniknąć. Poczucie winy z tego powodu zaczęło być nieodłączne od każdej ludzkiej aktywności. British Petroleum w następnych latach kontynuowało swoją nadzwyczaj skuteczną komunikację. W 2004 r. stworzyło i opublikowało „kalkulator śladu węglowego" – pozwalający każdemu konsumentowi ocenić, jak prowadząc codzienne życie – jedząc, pracując, podróżując i wychowując dzieci – przyczyniamy się, rzekomo, do podgrzewania naszego globu.

Wybór dwutlenku węgla jako osi kampanii też nie był przypadkowy. Jest to gaz niewyczuwalny i niewidoczny, którego emisji nikt ze zwykłych ludzi nie jest w stanie samodzielnie zaobserwować ani zmierzyć. Wcześniej kampanie ekologiczne koncentrowały się na szkodliwych chemikaliach wypuszczanych do rzek, zatruciu wód gruntowych, łatwo wyczuwalnym smogu. Z dwutlenkiem węgla jest inaczej – tylko wyliczenia „ekspertów" informują nas o jego emisji, która towarzyszyć ma każdej ludzkiej aktywności. Zdumiona publiczność odkryła nagle, że nawet amerykański bezdomny produkuje – podobno – 8,5 tony CO_2 rocznie. Co ciekawe – alarmistyczne wyliczenia szybko dotyczyć zaczęły takich rodzajów zajęć, które wygodne były dla instytucji dokonujących obliczeń. Zaskakująco mało wspominano o emisjach dwutlenku węgla towarzyszących promowanym przez nowe media dziedzinom gospodarki – np. branży cyfrowej.

W roku 2004 pojawiła się kolejna kampania reklamowa British Petroleum zatytułowana „Beyond petroleum" (Poza ropą naftową). Sugerowała ona, że gigantyczny koncern naftowy czerpie swoje zyski ze źródeł innych niż paliwa kopalne. Reklamy, z charakterystycznym dla globalnych koncernów paternalizmem, głosiły: „W ciągu ostatnich 30 lat przynieśliśmy energię słoneczną do 160 krajów na całym świecie". Nie wspominano w nich, że inwestycje w energię słoneczną i wszystkie pozostałe źródła energii odnawialnej stanowiły w 2004 r. jedynie 1,6 proc. wszystkich inwestycji koncernu. Reklamowano także gaz ziemny jako „naturalne" źródło energii, co zrównywało go w oczach niezorientowanych odbiorców z „czystą" energią odnawialną – np. pozyskiwaną z paneli słonecznych. Nie wspominano, że spalanie gazu ziemnego emituje jedynie o 20 proc. mniej dwutlenku węgla niż spalanie ropy naftowej, zapewniano natomiast, że „naturalny" gaz jest „czystszą" formą energii. Z ogromną konsekwencją przenoszono odpowiedzialność za politykę energetyczną na gospodarstwa domowe i decyzje indywidualnych użytkowników. Jedna z amerykańskich reklam prasowych z 2005 r. głosiła: „Dla znajdowania energii nie ma lepszego miejsca niż dom" – informując o zainwestowaniu 15 mld dol. w poszukiwanie „nowych źródeł energii w Zatoce Meksykańskiej".

Zbiorowe psychozy, rozniecane przez media o światowym zasięgu, łatwo wymykają się spod kontroli

Należąca do British Petroleum i umiejscowiona w tej właśnie zatoce platforma naftowa Deep Horizon spowodowała w roku 2010 największy w historii Stanów Zjednoczonych wyciek ropy naftowej i – co za tym idzie – gigantyczną katastrofę ekologiczną. Koncern naftowy zareagował na to, intensyfikując swoją kampanię reklamową – pokazującą go jako globalnego lidera w walce z emisją dwutlenku węgla. Setki milionów dolarów pompowano corocznie w reklamy, przekonujące indywidualnych użytkowników energii o nadciągającej apokalipsie klimatycznej – odwracając uwagę od zupełnie realnych i gołym okiem widocznych szkód spowodowanych zaniedbaniami koncernu.

EPIDEMIA LĘKU I WIZERUNEK KONCERNU

Maksymalizując zyski i wywołując na świecie epidemię lęku klimatycznego – bardzo przypominającą atmosferę towarzyszącą niedawnej epidemii COVID – zbudowano wizerunek korporacji naftowej jako „obrońcy planety" i światowego nauczyciela „zielonej" wrażliwości. Choć brzmi to jak oksymoron – to docenić trzeba oryginalność i siłę pomysłu.

Opartą na indywidualnym poczuciu winy i ekologicznym lęku kampanią udało się uzyskać przewagę konkurencyjną wobec innych koncernów paliwowych, poprawić wizerunek całej branży i – co za tym idzie – generować ogromne zyski. To, że podobna komunikacja stanowić będzie paliwo dla lewicowych ruchów społecznych, za którymi staną potęgi finansowe silniejsze od najbogatszego koncernu, umknęło zapewne drobnym akcjonariuszom korporacji. W rezultacie spełniła się poniekąd przepowiednia Włodzimierza Iljicza Lenina – „Kapitaliści sprzedadzą nam sznurek, na którym ich powiesimy". Tysiące rozemocjonowanych ekoaktywistów, epidemia depresji i nerwic spowodowanych strachem przed klimatyczną katastrofą – wszystko to wydawało się jedynie efektem ubocznym udanej transformacji wizerunkowej. A może opisane działania realizowały dalekosiężny plan „nowego ładu światowego", przemiany nie jednego koncernu, a globalnej rzeczywistości gospodarczej? Na to pytanie odpowiedzą zapewne uczeni następnych dziesięcioleci. Pewne natomiast jest, że kosztujące fortunę kampanie reklamowe British Petroleum przyczyniły się do wprowadzenia teorii wszechobecnego „śladu węglowego" do świadomości milionów ludzi żyjących w cywilizacji Zachodu.

Zbiorowe psychozy, rozniecane przez media o światowym zasięgu oddziaływania, łatwo wymykają się spod kontroli. Mam wrażenie, że w wypadku narastającej dziś histerii klimatycznej władzę nad nią przejęły siły, wobec których nawet British Petroleum jest co najwyżej pionkiem na szachownicy potęg.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

Koniec katastroficznych pseudoobjawień?

Paweł Chmielewski

Trzęsienia ziemi, powodzie, tajemnicze „trzy dni ciemności" – to wszystko zapowiada popularna włoska wizjonerka, która od lat powołuje się na kontakty z samą Matką Bożą. Wierzą jej tysiące zwolenników, także z Polski. Jest szansa, że to sam Watykan rozwiąże groźną sytuację – podobnie jak wiele innych objawieniowych fenomenów, które niszczą zdrową duchowość katolików na całym świecie

13 kwietnia powołano w Watykanie do życia nową instytucję – Obserwatorium ds. objawień i zjawisk mistycznych związanych z Maryją. Jednostka podlega Papieskiej Międzynarodowej Akademii Maryjnej. Na jej czele stanął dotychczasowy szef Akademii, franciszkanin, o. Stefano Cecchin. Obserwatorium ma zająć się całym spektrum zjawisk nadprzyrodzonych. W oficjalnym komunikacie wskazano na „analizę i interpretację" takich wydarzeń jak: objawienia, łzawienia, stygmaty czy wewnętrzne przesłania. Instytucja przebada zarówno trwające „objawienia", jak i te, które już się zakończyły, ale co do których Kościół jeszcze się nie wypowiedział. Obserwatorium nie ma autorytetu orzekania o prawdziwości lub fałszu zjawień – ma co do zasady „pomagać diecezjom, biskupom, kapłanom i sanktuariom" w ich właściwym rozumieniu. Z zakresu kompetencji nowej jednostki wynika jednak dość jednoznacznie, że odtąd żaden lokalny autorytet kościelny nie będzie mógł wypowiedzieć się na temat zjawień dokonujących się na podległym mu terenie bez konsultacji z Obserwatorium. Watykan przejmie tym samym ściślejszą kontrolę nad takimi fenomenami na całym świecie.

Ojciec Cecchin mówił wprost, że jednym z celów Obserwatorium jest przyjrzenie się zwłaszcza tym z „objawień", które „wzbudzają zamieszanie, szerzą apokaliptyczne i pełne niepokoju scenariusze, oskarżają papieża i Kościół". To bardzo potrzebne, bo na świecie jest wiele takich zjawień, których treść zasadza się na krytyce Stolicy Apostolskiej, co wkładane np. w usta Maryi wiąże się ze skutecznym zachęcaniem do nieposłuszeństwa wobec uprawnionej władzy Kościoła; zwykle towarzyszy temu straszenie różnymi katastrofami, czasami przez całe lata. Przewodniczący Obserwatorium, informując o planach nowej jednostki, nie wskazał na żaden konkretny fenomen, ale wydaje się, że w tle znajdują się m.in. zjawienia z Trevignano Romano, popularne również w Polsce za sprawą działalności kilku środowisk, w tym wielu kapłanów.

ZJAWIENIA Z TREVIGNANO ROMANO

Trevignano Romano to niewielka miejscowość malowniczo położona nad jeziorem Bracciano, zaledwie godzinę drogi od Rzymu. Od kilku lat jest celem pielgrzymek katolików z wielu krajów świata, którzy zbierają się w nielegalnie wybudowanym, prowizorycznym sanktuarium na jednym z okolicznych wzgórz. Modlą się i wysłuchują proroctw, które wizjonerka Gisella Cardia przypisuje Matce Bożej. Historia działalności Cardii sięga 2014 r. Kobieta przywiozła wówczas do domu figurkę Maryi zakupioną w innym centrum niezatwierdzonych objawień, Medjugorje. Wkrótce zaczęła twierdzić, że za sprawą Matki Bożej dochodzi w jej domu do uzdrowień. Przełom nastąpił 21 kwietnia 2016 r. Gisella leżała wówczas ze swoim mężem w łóżku, oglądając telewizję. Nagle miała przemówić do niej Maryja, prosząc o ściszenie telewizora. Następnie miała zapowiedzieć obdarzenie małżeństwa licznymi łaskami i swoje częste zjawienia. W ten sposób narodziło się „centrum objawieniowe" w Trevignano Romano. Cardia miewa wizje kilka razy w tygodniu; ostatnio publikuje ich treść „tylko" raz na miesiąc. Jej prawdomówność w oczach wiernych potwierdzają stygmaty, które miałaby otrzymać od Boga.

Treść zjawień miała i nadal ma w części typowo dewocyjny charakter: to zachęty do modlitwy różańcowej, uczestnictwa we Mszy Świętej, posłuszeństwa Ewangelii etc. Przesłania Cardii od początku charakteryzował jednak silny rys katastroficzny. Namacalnie potwierdził

eprasa.pl dced4af17a

to rzekomy cud: figurka Maryi ma „płakać" krwawymi łzami nad losem świata pogrążającego się w nikczemności (natura „łez" nie została nigdy przebadana; według prywatnego detektywa, który zajmował się zjawieniami w związku z oskarżeniami o psychomanipulację i skandale finansowe, krew miałaby być pochodzenia zwierzęcego; nie ma jednak na to twardych dowodów).

Cardia, powołując się na Maryję, zaczęła straszyć wiernych już w pierwszych przesłaniach. W maju 2016 r. „Maryja" miała mówić o nadchodzących „trzech dniach ciemności", co później określała jako czas „ataku demonów". Zabezpieczać miały przed tym rytualne praktyki, jak „wzięcie błogosławionych świec". W tym samym roku Cardia przepowiadała też, że na Rzym spadną „zaraza, nędza i ospa", przynosząc „śmierć i desperację". Zwolennicy objawień przywołują tę zapowiedź jako dowód ich prawdziwości: w 2020 r. wybuchła przecież pandemia COVID-19.

Straszenie trwa. Przykładowo w listopadzie 2022 r. Cardia twierdziła, że „Maryja" wzywa do „robienia zapasów, bo nagle przyjdzie głód"

Nie zwracają uwagi na to, że w tym samym okresie wizjonerka przepowiadała np. zniszczenie Rzymu potężnym trzęsieniem ziemi oraz szybkie zakończenie pontyfikatu Franciszka. Ani jedno, ani drugie się nie wydarzyło: podobnie jak nie nadeszły nigdy „trzy dni ciemności". Cóż, gdy straszy się wszelkimi możliwymi katastrofami, niekiedy trafi się w sedno...

Straszenie trwa nadal. Przykładowo w listopadzie 2022 r. Cardia twierdziła, że „Maryja" wzywa do „robienia zapasów, bo nagle przyjdzie głód"; w grudniu groziła Ameryce, która „drogo zapłaci za niesprawiedliwość"; w styczniu zapowiadała „wtargnięcie wojny do Europy", „atak na głowę państwa", zniszczenie „ogniem z nieba ziemi, która wymaga oczyszczenia" oraz liczne „katastrofy naturalne, trzęsienia ziemi i powodzie". W marcu mówiła o „poważnej wojnie" oraz „nasileniu ataków szatana" na tych, którzy są wierni jej przesłaniu. Wreszcie w kwietniu ogłosiła, że wkrótce „nadejdzie zmartwychwstanie".

PSYCHOMANIPULACJA I SKANDALE

W treści „objawień" łatwo dopatrzyć się znamion prostej psychomanipulacji: nad tymi, którzy wierni są zjawieniom z Trevignano, Maryja „rozciągnie płaszcz dla ochrony przed tym, co nadchodzi" (październik 2022 r.). Ci z kolei, którzy „nie słuchają ostrzeżeń", gotują sobie fatalny los – i to nie tylko na tej ziemi. Mogą nawet pójść do piekła. W styczniu 2023 r. Cardia ogłosiła wprost następujące „słowa Maryi": „Proszę kapłanów: słuchajcie i wierzcie w moje słowa, inaczej czeka was piekło".

Do tego dochodzi nieustanna krytyka księży, biskupów, kardynałów i samego papieża. Od samego początku „Maryja" Cardii regularnie formułuje negatywne oceny wobec Stolicy Apostolskiej i Ojca Świętego. Tego rodzaju osądy mogą mieć oczywiście swoje uzasadnienie, gdy są merytorycznie podbudowane, ale w przypadku zjawień z Trevignano chodzi zawsze o bardzo ogólne stwierdzenia. Skoro w oczach wierzących wypowiada je sama Maryja, to ciężar krytyki jest totalny: efektem może być – i rzeczywiście bywa – odrzucenie autorytetu biskupa Rzymu. Papież zresztą według zjawień z Trevignano i tak nie rządzi w Kościele: jak ogłosiła kilka miesięcy temu, Ojciec Święty „nie kieruje łodzią [scil. Kościo-

eprasa.pl dced4af17a

Gisella Cardia w studiu włoskiej telewizji. Kobieta, powołując się na Maryję, zaczęła straszyć wiernych. Mówiła m.in., że na Rzym spadną „zaraza, nędza i ospa" FOT. MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

łem], bo jest otoczony przez grzech i nieprawość".

Już sama treść zjawień znad jeziora Bracciano uzasadnia najwyższy sceptycyzm. Wyraziła go zresztą Konferencja Episkopatu Polski, w 2021 r. krytykując ich treść jako „nieuznane przez Kościół objawienia prywatne", które „rozpowszechniają katastroficzne wizje". Na terenie samej diecezji trwają od lat zmagania między biskupem a Cardią i jej zwolennikami, z natury rzeczy trudne. Na tym jednak problemy się nie kończą. Część osób, która odeszła od Cardii, mówi, że wizjonerka miała utrzymywać, iż zaszła w ciążę z Duchem Świętym; sama kobieta głosiła też swego czasu „cudowne rozmnożenie" gnocchi oraz pizzy (sic!).

Jej obrońcy, także w Polsce, zapewniają, że sprawa jest „czysta", bo Cardia nie zarabia na zjawieniach: na miejscu sprzedawane są tylko książki i gazetki. „Zapominają" jednak o wpłatach, które wpływają na konto organizacji założonej przez małżeństwo. Jedna z najgłośniejszych spraw opisanych we włoskich mediach dotyczy przekazania 128 tys. euro, z których część finalnie miała… sfinansować remont łazienki w domu Cardii. Wizjonerka została zresztą na początku kwietnia skazana na dwa lata więzienia w zawieszeniu za matactwa finansowe z roku 2013: działając pod poprzednim nazwiskiem jako Maria Giuseppina Scarpulla, miała doprowadzić do bankructwa firmy, z którą współpracowała. Wielu włoskich dziennikarzy zastanawia to, że „objawienia" zaczęły się wkrótce po tak gwałtownym zakończeniu przez Cardię dawnego życia.

Trevignano Romano to oczywiście tylko jeden z przykładów zjawień, które powodują poważne szkody w duchowości wiernych

KONIECZNA REAKCJA WATYKANU

Trevignano Romano to oczywiście tylko jeden z przykładów zjawień, które powodują poważne szkody w duchowości wiernych. Podobnych zjawisk jest na całym świecie o wiele więcej. Niestety, choć zgodnie z Kodeksem prawa kanonicznego właściwy nadzór nad takimi fenomenami sprawują biskupi miejsca, ci od wielu już lat kompletnie sobie z tym zadaniem nie radzą. Albo nie reagują wcale lub reagują zbyt słabo, jak w przypadku Trevignano Romano; albo bez względu na rozmaite przeciwwskazania wykazują nieuzasadnioną przychylność, jak w japońskiej Akicie; albo też są krytyczni – ale ze względu na popularność danego fenomenu po prostu nikt ich nie słucha, jak ma to miejsce w przypadku Medjugorja.

Biorąc pod uwagę tę powszechną słabość, decyzja Stolicy Apostolskiej o powołaniu specjalnego Obserwatorium może okazać się naprawdę pożyteczna. O ile w wielu innych przypadkach nadmierna centralizacja kompetencji w Stolicy Apostolskiej jest szkodliwa i narusza racjonalną zasadę pomocniczości, a więc niewtrącania się w sprawy, które mogą być rozwiązywane na niższym poziomie, o tyle w kwestii prywatnych zjawień to Watykan musi mieć ostatnie słowo i być gotów wygłaszać je szybciej niż dotąd. W epoce globalizacji trudno pozostawić wszystko w rękach jednego biskupa. Zaniechania czy błędne decyzje ordynariusza niewielkiej diecezji we Włoszech, w Azji czy Ameryce Południowej mogą mieć – i rzeczywiście mają – poważne konsekwencje dla życia duchowego tysięcy katolików w innych krajach, także w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl dced4af17a

Rafał Łatka

Skuteczna demitologizacja Edwarda Gierka

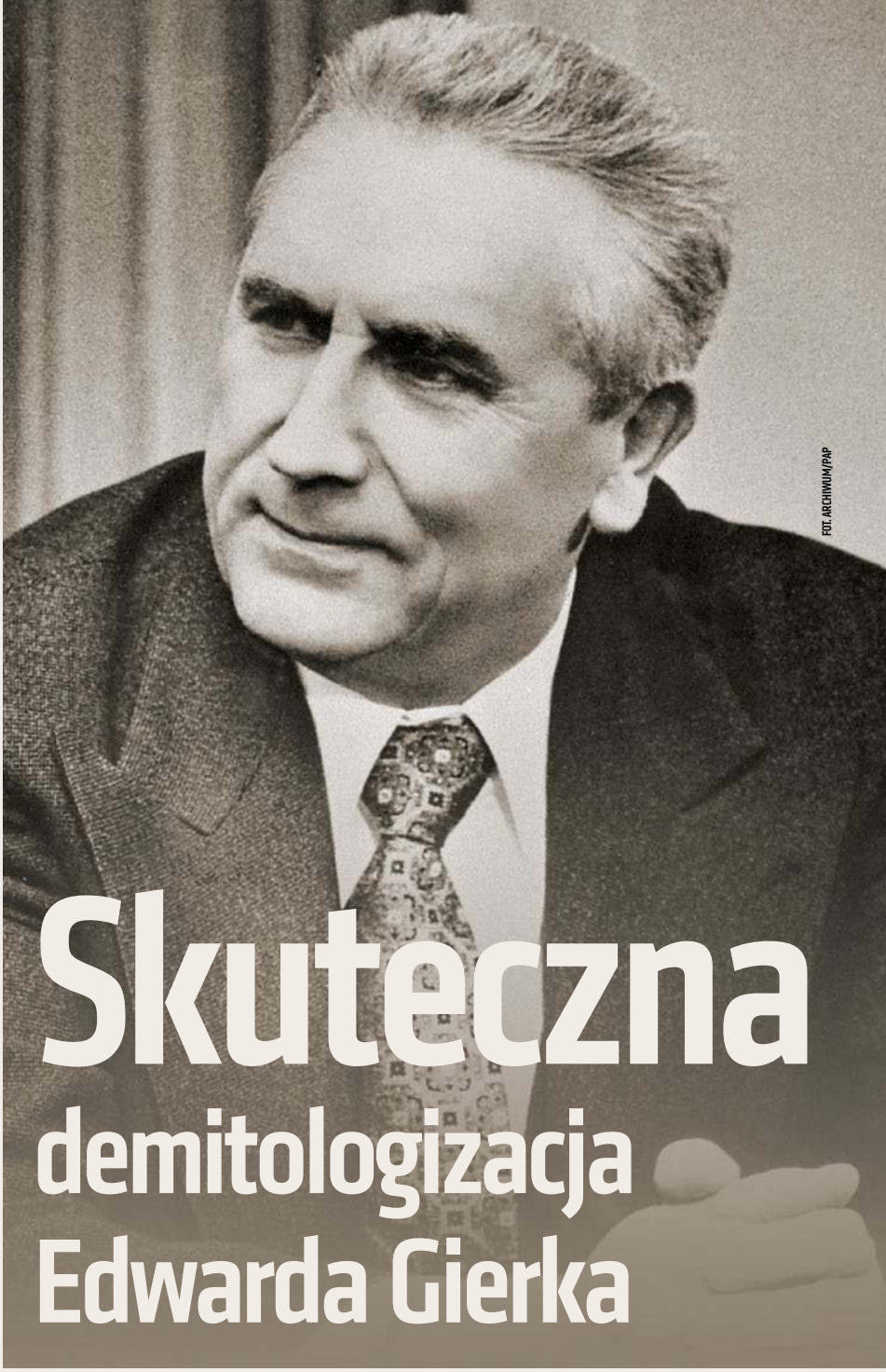

FOT. ARCHIWUM/PAP

Droga Gierka do władzy opierała się na jego pragmatyzmie, umiejętności zawierania sojuszy oraz wejściu w łaski sowieckich dygnitarzy, dla których szybko stał się zaufanym człowiekiem

Edward Gierek przez znaczną część starszego pokolenia jest w dalszym ciągu darzony nie do końca zrozumiałym dla mnie sentymentem. Wynika on z pewnością z tego, że obejmując władzę, dawał nadzieję na zmiany w systemie PRL-owskim i pozytywnie wyróżniał się na tle swojego poprzednika Władysława Gomułki. Bazując na tych pozytywnych odczuciach, w 2022 r. powstał bardzo niskich lotów film „Gierek". Jego najlepszym elementem była gra aktorska Michała Koterskiego, co mówi zresztą samo za siebie. Szczęśliwie rok później ukazała się książka prof. Mirosława Szumiły dotycząca drogi do władzy Edwarda Gierka, która obala wiele mitów na temat I sekretarza KC PZPR w latach 1970–1980 i może być dobrym przewodnikiem po jego życiu do 1970 r. Jest to zresztą pierwsza naukowa monografia tej postaci, gdyż wcześniej powstały jedynie publikacje dziennikarskie, niecechujące się zresztą specjalną wnikliwością.

Szumiło, przygotowując swoją naukową monografię, postawił sobie za cel przybliżenie kariery partyjnej Gierka. Opisał to zagadnienie w pięciu rozdziałach ułożonych chronologicznie. Wykorzystał w tym zakresie wiele źródeł archiwalnych. Za szczególnie cenne należy poczytać dotarcie przez autora do materiałów sowieckich, belgijskich oraz pozyskanie relacji świadków wywodzących się ze środowiska dygnitarzy PZPR. Lubelskiemu historykowi przydało się również szerokie doświadczenie w badaniu elity komunistycznej władzy, gdyż w interesujący sposób przybliża umiejętności Gierka w poruszaniu się między różnymi koteriami polskiej monopartii. Nawiązuję też w ten sposób do innej wartościowej biografii przygotowanej przed laty dotyczącej Romana Zambrowskiego.

UPIĘKSZANIE BIOGRAFII

Pierwsza część książki opisuje młodość Gierka, ze szczególnym uwzględnieniem okresu emigracyjnego, pobytów we Francji i w Belgii. Szumile udało się dotrzeć do nieznanych wcześniej źródeł archiwalnych oraz przekonująco udowodnić, że Gierek nie odegrał poważniejszej roli w środowiskach komunistycznych dwóch wspomnianych wyżej państw (szczególnie ważne jest obalenie mitu o szerokiej aktywności Gierka w antyfaszystowskim ruchu oporu). Dopiero na ostatnim etapie pobytu w Belgii zaczął odgrywać poważniejszą rolę w środowisku polonijnym, gdyż w 1946 r. został przewodniczącym Rady Narodowej Polaków w Belgii (funkcję tę pełnił do 1948 r.).

eprasa.pl dced4af17a

Podczas całego pobytu w tym ostatnim państwie Gierek koncentrował się przede wszystkim na zadbaniu o własne interesy oraz o rodzinę, nie miał większych chęci odgrywania roli zawodowego komunisty. Ten pragmatyzm i troska głównie o swoje bezpośrednie otoczenie staną się rysem charakterystycznym dla całej kariery przyszłego I sekretarza KC PZPR.

Szumiło ponadto słusznie zauważył, że Gierek nie zapłacił za swoją działalność pobytem w więzieniu ani też nie miał okazji przebywać w Związku Sowieckim. Te fakty zdaniem autora „mogły być źródłem swoistego kompleksu, który w jego przypadku ujawnił się w formie retuszowania życiorysu i uwypuklania wątków kombatanckich". Warto w tym miejscu dodać, że analogiczne zabiegi związane z upiększaniem biografii podejmował też Wojciech Jaruzelski.

DROGA NA SZCZYT

Mimo trudnych początków po powrocie do Polski w 1948 r. kariera partyjna Gierka dość szybko nabrała całkiem dynamicznego tempa. W ciągu bowiem zaledwie ośmiu lat od przybycia do ojczyzny osiągnął pozycję sekretarza KC PZPR. Do tego stanowiska prowadziła droga przez: Szkołę Partyjną, członkostwo w Egzekutywie Partyjnej w Katowicach oraz funkcję kierownika Wydziału Przemysłu Ciężkiego KC.

Szumiło przekonująco udowodnił, że w karierze pomagała mu skutecznie odgrywana rola: robotnika rewolucjonisty. Gierek dość szybko awansował w hierarchii także dzięki swoim cechom osobistym: charyzmie, spokojowi, umiejętności odnajdywania się w grach partyjnych oraz odczytywaniu zmian w agendzie PZPR (kolejnych etapach zmiennej polityki komunistów).

Nie przeszkodziły mu w karierze nawet bardzo przeciętne wyniki osiągane w Szkole Partyjnej. Szumiło ustalił, że Gierek miał poważne problemy ze zrozumieniem zagadnień teoretycznych i opanowaniem materiału. Mimo to już w marcu 1951 r. został II sekretarzem KW PZPR w Katowicach, a następnie pełnił funkcję kierownika Wydziału Przemysłu Ciężkiego KC PZPR. Otworzyło mu to możliwości poznania bliżej najważniejszych komunistycznych dygnitarzy. Stopniowo wchodził w ich łaski. Przełożyło się to na kolejny awans na sekretarza KC już w 1956 r. Gierek nawiązał też wtedy bliższe kontakty z Bolesławem Bierutem i, jak przekonująco udowodnił Szumiło, już wtedy zaczęły się jego dobre relacje z Sowietami, które zresztą pomagały mu następnie w karierze partyjnej.

Najważniejszym etapem na drodze do najwyższej władzy w PRL było objęcie przez Gierka funkcji I sekretarza KW PZPR w Katowicach w 1957 r. Szumiło szczegółowo opisał okoliczności uzyskania tego stanowiska oraz modelu władzy, który realizował bohater jego rozważań. Przyszły przywódca komunistycznej Polski skutecznie i konsekwentnie budował swoją ekipę na poziomie wojewódzkim oraz poszerzał wpływy na poziomie centralnym. Pomagały mu w tym z pewnością dość bliskie kontakty z Sowietami, wrodzony pragmatyzm i elastyczność, a także skuteczne zbudowanie wizerunku dobrego gospodarza. Wraz z biegiem czasu w komunistycznej elicie władzy znajdowało się coraz więcej popleczników Gierka; a sam I sekretarz KW PZPR w Katowicach dbał o swoich wychowanków, starając się umieszczać ich w centrum komunistycznej władzy.

POMOC TOWARZYSZA GENERAŁA

O efektywności Gierka w budowaniu sojuszy na szczycie PZPR możemy się przekonać, czytając rozdziały czwarty i piąty monografii Szumiły. Lubelski historyk pokazuje, jak skutecznie przyszły I sekretarz KC PZPR nawiązywał kontakty z wpływowymi działaczami partyjnymi oraz jak umiał je wykorzystywać do budowy własnej pozycji politycznej. Potrafił także w razie potrzeby odwracać sojusze, o czym najlepiej świadczą jego relacje z Mieczysławem Moczarem. Bez wątpienia Gierek współdziałał z przywódcą frakcji „partyzantów", żeby osłabić władzę Gomułki, ale równocześnie dbał o to, żeby Moczar nie zyskał sowieckiego zaufania i nie stał się dla radzieckich kandydatem numer jeden do schedy po Gomułce.

Jego „gra" przyniosła efekty szczególnie w Marcu '68, który przełożył się na znaczne osłabienie pozycji „Wiesława", ale nie jego ostateczny upadek. Gierek uznał wtedy, że jest jeszcze za wcześnie na wzięcie udziału w walce o najwyższe partyjne stanowisko. Wolał cierpliwie poczekać, zbudować poparcie dla siebie i swoich ludzi oraz przystąpić do ataku w odpowiednim momencie. Ta konsekwencja przyniosła efekty, gdyż stopniowo Gierek stał się dla wielu ważnych postaci systemu komunistycznego w Polsce nadzieją na zmiany, awans i przyspieszenie kariery. Pragmatyzm I sekretarza KW PZPR powodował także, że miał umiejętność przyciągania zwolenników oraz stosunkowo niewielu wrogów w elicie partyjnej.

MIROSŁAW SZUMIŁO
„GIEREK. DROGA DO WŁADZY"
KSIĘŻY MŁYN DOM WYDAWNICZY 2023

Szumiło udowodnił też, że kluczową rolę w zdobyciu stanowiska „Pierwszego" przez Gierka odegrał Jaruzelski. W najważniejszym momencie rewolty grudniowej to właśnie „towarzysz generał" przyczynił się do ustalenia wersji wydarzeń korzystnej dla pretendenta do władzy. Potem już konsekwentnie dążono do obalenia Gomułki. Autor książki przekonująco udowodnił, że Gierek był od początku zaangażowany w spisek przeciwko swojemu poprzednikowi. Obalił jego kłamliwie wersje, że jakoby miał stać z boku, a władza została mu przekazana przez towarzyszy partyjnych.

Wśród najważniejszych wniosków, które nasuwają się po lekturze dzieła Szumiły, należy wspomnieć o tym, że droga Gierka do władzy opierała się na jego pragmatyzmie, umiejętności zawierania sojuszy oraz wejściu w łaski sowieckich dygnitarzy, dla których szybko stał się zaufanym człowiekiem. Wyrażam nadzieję, że autor nie poprzestanie na opisie kariery partyjnej Gierka, ale zajmie się również okresem, gdy bohater jego rozważań sprawował najwyższą władzę w PRL. Tego rodzaju praca jest bowiem bardzo potrzebna, gdyż w dalszym ciągu jedynym I sekretarzem KC PZPR, który doczekał się pełnej biografii politycznej, pozostaje Mieczysław Rakowski (któremu jednak dość daleko do istotnego wpływu na rzeczywistość społeczno-polityczną PRL).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

John Keane, „Nadstawić drugi policzek?", 1989 r. FOT. JOHN KEANE/FLOWERS GALLERY/NATIONAL MUSEUMS NI

Ćwierć wieku (prawie) bez zabijania

Piotr Semka z Belfastu

Sporą wystawę na temat wojny domowej w Irlandii Północnej z lat 1968–1998 zorganizowano w Muzeum Ulsteru. Jednak zanim zajrzy się na wystawę o „The Troubles", najlepszym muzeum pamiątek po dawnym konflikcie jest samo miasto Belfast

Północna Irlandia świętuje 25. rocznicę porozumienia wielkopiątkowego. Ten pokojowy plan zakończył prawie 30-letni okres brutalnej wojny domowej, w której zginęło 3598 osób, a ok. 9 tys. było rannych. W Ulsterze ten niezwykle krwawy konflikt nazywany jest nieco eufemistycznie „The Troubles", czyli kłopoty. Ale nazwa ta przystaje nijak do brutalności i okrucieństwa obu stron konfliktu.

Ulster to północna część Irlandii, która w 1921 r., gdy powstawało niezależne państwo Irlandczyków, pozostała przy Wielkiej Brytanii. W tych sześciu hrabstwach przeważali protestanci nad katolikami i to oni narzucili zasadę wierności Koronie Brytyjskiej. W końcu lat 60. katolicy zajmujący pozycje obywateli drugiej kategorii zaczęli wychodzić na ulice, żądając równouprawnienia. Policja odpowiadała brutalnymi atakami, a IRA – Irlandzka Armia Republikańska – rozpoczęła akcję ataków terrorystycznych. Gdy władze w Londynie zaczęły troszeczkę mitygować brutalność policji, skrajni lojaliści brytyjscy stworzyli swoje bojówki, które zaczęły na własną rękę walczyć z IRA.

Po dekadach przemocy wreszcie, 10 kwietnia 1998 r., lider katolików John Hume i przywódca protestantów David Trimble zawarli porozumienie, które pobłogosławiły dodatkowo Stany Zjednoczone, występujące jak gwarant tej ugody. 22 maja 1998 r. w referendum aż 71,1 proc. mieszkańców Irlandii Północnej poparło porozumienie.

Z okazji ćwierć wieku pokoju do Belfastu przysłano z Londynu i wystawiono oryginał porozumienia z podpisami wszystkich sygnatariuszy, a Irlandię 11 kwietnia odwiedził sam prezydent USA Joe Biden. Było to o tyle pikantne, że tenże prezydent nie pofatygował się na nieco późniejszą koronację króla Karola III 6 maja br. Msze dziękczynne odprawiły wszystkie wspólnoty religijne, ale nietrudno było zauwa-

eprasa.pl dced4af17a

żyć, że świętowanie ćwierćwiecza niemal bez terroru odbywało się ostrożnie i bez zbędnej pompy i ostentacji. Tym bardziej że w przededniu wizyty Bidena doszło do jednego z nielicznych, ale wciąż zdarzających się aktów terrorystycznych. W mieście Derry radiowóz policyjny ochraniający pochód Irlandczyków został obrzucony dwiema bombami zapalającymi. Ale wojna domowa z lat 1968–1998 to już mimo wszystko historia. Sporą wystawę na temat „The Troubles" zorganizowano w Muzeum Ulsteru.

A MURY STOJĄ

Jednak zanim zajrzy się na wystawy o „The Troubles", najlepszym muzeum pamiątek po dawnym konflikcie jest samo miasto Belfast. Trzeba tylko znaleźć kogoś, kto obwiezie przybysza spoza Irlandii Północnej po miejscach przypominających dawne walki. Belfast, ogólnie rzecz biorąc, podzielony jest religijnie, a raczej etnicznie. Bo w warunkach Ulsteru identyfikacja etniczna była i jest ważniejsza od identyfikacji religijnej, choć tej drugiej też nie sposób lekceważyć. Zachód miasta to głównie katolicy, dzielnice robotnicze, ale zdarzają się w nich protestanckie enklawy. Wschód to dla odmiany protestanci, ale na tym terenie bywają też katolickie „wyspy". A obie strony swoją dumę i ideologię przedstawiają na słynnych muralach.

Ten fenomen Irlandii Północnej widoczny jest w jej dwóch głównych miastach: Belfaście i Derry. Wszedł już do kanonów światowej popkultury. Na ulicach dzielnic katolickich i protestanckich można spotkać wycieczki zagraniczne, które obwożone są po trasie murali. Dzielnice rojalistów demonstrują malowidłami żal po śmierci królowej Elżbiety (jak policzyli biografowie królowej, odwiedziła ona Ulster aż ponad 40 razy). „We Love the Queen and She Loves Us" – głosi jeden z napisów ilustrowanych wizerunkiem młodziutkiej Elżbiety z lat 50. Równie dużo jest murali witających nowego władcę, Karola III. Brytyjskie flagi Union Jack spotkać można niemal wszędzie.

O ile murale z zachodniej protestanckiej części miasta bazują na uczuciu dumy z przynależności do królestwa, o tyle malowidła w katolickiej części to głównie martyrologium. Czczeni są rozstrzelani przez Anglików przywódcy powstania wielkanocnego z 1916 r., ofiary masakr z lat 70. czy męczennik IRA Bobby Sands, który zmarł w wyniku głodówki w brytyjskim więzieniu. Ale widać też bardzo wyraźne wahnięcie w lewo irlandzkich radykałów. Murale wyrażające solidarność między Irlandczykami a walczącymi o wolność Palestyńczykami. Obok irlandzkich herosów widnieją meksykański przywódca rewolucyjny Zapata i Che Guevara. Największe wrażenie jednak robią murale sławiące bojowników – czy to IRA, czy to UDV i UVP, terrorystycznych formacji protestanckich.

Władze miasta starają się powoli zamalowywać najbardziej wyzywające i radykalne murale, ale bojówki potrafią znaleźć sposoby, aby odstraszyć miejskie ekipy od dotykania ich „świętych" malowideł. Najbardziej złowrogie wrażenie robią małe tabliczki na rogu niektórych ulic z wizerunkiem zamaskowanych bojowników mierzących symbolicznie do przechodniów z broni automatycznej. Oczywiście nie chodzi o zwykłych przechodniów, ale o policję patrolującą te rejony.

I wreszcie najbardziej poruszający widok w Belfaście, czyli tzw. Peace Wall – wysoki na 14 m mur oddzielający główną linię rozgraniczającą dzielnice katolickie od protestanckich. Wysokość muru ustalono tak, aby nawet najlepszy miotacz butelek zapalających miał trudności z przerzuceniem ładunku na drugą stronę. W 2016 r. ogłoszono, że mury znikną do 2023 r., ale na razie bariery stoją nadal i mają się nieźle. Powody zbudowania muru doskonale rozumieją starsi Irlandczycy, którzy pamiętają, jak w sierpniu 1969 r. protestanckie bomby zapalające doprowadziły do spalenia całej pierzei katolickich domów na Bombay Street w Belfaście. Oprócz muru jest jeszcze dużo lokalnych bram zamykających przejazd na noc. Nawigacja Google bardzo często nie dokumentuje tych ukrytych barier, więc ktoś spoza Belfastu, kto nie zna systemu przejść, może stracić sporo czasu, zanim wydostanie się z danej dzielnicy.

UPIORNE PAMIĄTKI

Tytuł wystawy „The Troubles and Beyond" można przełożyć na „Kłopoty i to, co było potem". W salach Muzeum Ulsteru zgromadzono plakaty, broń, świadectwa, zdjęcia ukazujące historię wojny domowej i procesu pokojowego. Zebrane eksponaty to wynik zbiórki od zwykłych obywateli Ulsteru, którzy na apel muzeum przynosili pamiątki z tamtych lat. Ponure wrażenie robią rozmaite bomby ze zbiorów policji. Służące do podpalania wozów bojowych armii brytyjskiej tzw. pipe bomb i wykonywane chałupniczo bomby magnesowe przeznaczone do przyczepiania do podwozi samochodów. Rzuca się w oczy instrukcja dla brytyjskiej policji, pokazująca, w których miejscach samochodu najczęściej montowane były ładunki wybuchowe.

I to właśnie wybuchy bombowe kojarzą się z najgorszymi wspomnieniami z lat walk. Jak podają statystyki, w wyniku wybuchów bomb zginęło aż 23 dzieci mających poniżej pięciu lat. Kolejna grupa, między 6. a 11. rokiem życia, to 24 dzieci, które zginęły czy to od bomb, czy to od przypadkowych

Samobieżny robot z 1972 r. do rozbrajania ładunków wybuchowych

FOT. NATIONAL MUSEUMS NI/COLLECTION ULSTER MUSEUM

eprasa.pl dced4af17a

postrzeleń. I wreszcie tzw. wyrostki, czyli 12–17 lat. W czasie „The Troubles" zginęło ich aż 210. Najwięcej było ofiar w grupie 18–23 lata. Aż 898 zabitych.

Ekstremalne warunki życia w ciągłym lęku wymuszały powstawanie nowych wynalazków. Na wystawie obejrzeć można samobieżny robot do rozbrajania min, który skonstruował w 1972 r. emerytowany pułkownik Peter Miller. Między 1972 a 1978 r. aż 400 takich urządzeń zniszczyły wybuchy. Trudno jednak ocenić, ile istnień ludzkich ocaliły. Notabene po pozytywnym działaniu takich robotów w Irlandii Północnej Wielka Brytania wyspecjalizowała się w produkcji i eksporcie takich urządzeń do tych miejsc na świecie, gdzie terroryzm także był wielkim problemem.

Przystaję przed poruszającą rzeźbą – „Kobieta ścięta z nóg przez wybuch bomby". Artysta F. E. McWilliam uwiecznił scenę, której musiał być chyba naocznym świadkiem. Porażona falą uderzeniową bomby kobieta leci w powietrzu oślepiona ubraniem, które zasłania jej twarz. Alert przeciwbombowy trwający non stop od 1969 r. do końca lat 90. spowodował specjalne regulacje, których nie było w innych miastach pod władzą Korony Brytyjskiej. Na dużej mapie widać, jak miasto podzielone jest na różne kolory. Do ścisłego centrum mają dostęp jedynie obdarzone specjalną licencją samochody dostawcze do sklepów. Potem rejony, do których mogą jeździć taksówki, ale też po niezwykle dokładnym sprawdzeniu ich kierowców. Ta mapa doskonale pokazuje, jak przez ponad 30 lat każdy samochód zostawiony na ulicy był postrzegany jako potencjalne narzędzie śmierci.

Tuż obok inne narzędzia zagłady. Pistolety i pokazujące skalę nienawiści tableau 300 policjantów z Irlandii Północnej, którzy zostali zamordowani. Na tę liczbę aż 277 padło od kul Irlandzkiej Armii Republikańskiej. I wreszcie typowa dla strony irlandzkiej masa pamiątek martyrologicznych po herosach IRA, którzy zginęli od kul policyjnych lub też ponieśli śmierć w niewyjaśnionych okolicznościach w aresztach brytyjskiej policji i więzieniach Korony. Powtarza się motyw męczennika z mitologii staroirlandzkiej Chúlainna, który w jednej z sag poświęca życie, aby uratować irlandzką królową Medb i zapewnić jej bezpieczny odwrót. I ten symbol poświęcenia pojawia się przy zrównaniu prastarego herosa z członkami IRA, którzy prowadzili więzienne głodówki w epoce rządów Margaret Thatcher.

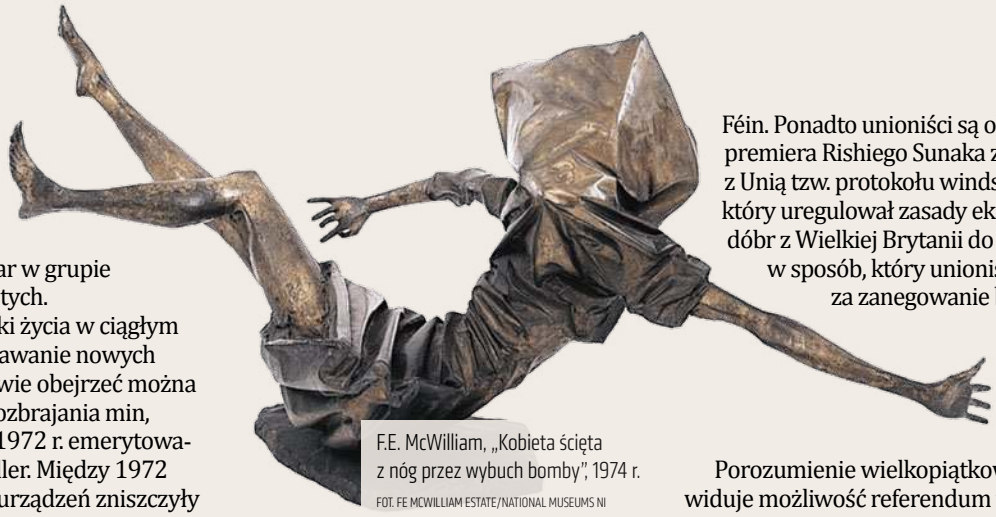

F.E. McWilliam, „Kobieta ścięta z nóg przez wybuch bomby", 1974 r.

FOT. FE MCWILLIAM ESTATE/NATIONAL MUSEUMS NI

POKÓJ, ALE NIEKIEDY BARDZO ZIMNY

Wzajemne urazy co pewien czas dają o sobie znać. Na południu, czyli w Republice Irlandii, po śmierci królowej Elżbiety II stadiony intonowały prześmiewczą pieśń „Lizzy in the box", czyli „Elżunia już w pudełku". Sporo kontrowersji wśród osób niechętnych monarchii wywołało to, że w koronacji króla Karola III po raz pierwszy wzięła udział Michelle O'Neill, wiceprzewodnicząca Sinn Féin, głównej partii katolickiej w Ulsterze. Na wielu rondach w Belfaście, w dzielnicach katolickich, zobaczyć można napisy: „Not my king" (Nie mój król). Nadal działa terrorystyczna tzw. Real IRA, choć poparcie dla jej działań jest nieporównanie mniejsze. Jej obecny lider ma 21 lat, siedzi w więzieniu i odmawia przyjmowania wizyt kogokolwiek, uważając, że tylko pełna izolacja jest godna wojownika spod znaku zieleni, bieli i pomarańczy. Jednak siła ultrasów z IRA znacząco spadła. To efekt aktywności amerykańskich służb, które wzięły się na serio do zadania blokowania pomocy dla republikańskich ekstremistów ze strony społeczności irlandzkiej w USA.

W 2022 r. doszło do wyborów, w których po raz pierwszy zwyciężyła katolicka partia Sinn Féin, ale w myśl umowy wielkopiątkowej rząd może powstać tylko wtedy, kiedy dogadają się dwie główne siły: katolicka i protestancka. A rojalistyczna DUP nie ma zamiaru uwiarygadniać katolickiej Sinn Féin. Ponadto unioniści są obrażeni na premiera Rishiego Sunaka za zawarcie z Unią tzw. protokołu windsorskiego, który uregulował zasady eksportu dóbr z Wielkiej Brytanii do Ulsteru w sposób, który unioniści uważają za zanegowanie brytyjskiej suwerenności nad północną częścią Irlandii.

Porozumienie wielkopiątkowe przewiduje możliwość referendum w sprawie połączenia Ulsteru z Republiką Irlandii. Jednak wielu komentatorów wskazuje, że tymczasem jest to wizja dosyć odległa. Republika Irlandii bardzo się zmieniła. Społeczeństwo tego kraju przeistoczyło się w typowo konsumpcyjne, w którym kolejne referenda dotyczące zmian obyczajowych przynoszą sukces postępowcom.

Zjednoczeniowy zapał nieco osłabł. Irlandia postrzega północ jako tereny biedniejsze od siebie. Wielu Irlandczyków z południa zadaje sobie pytanie, czy ma ochotę ładować pieniądze w uboższych od siebie krewniaków z północy. Z kolei obywatele Ulsteru uważają, że mają lepszą publiczną opiekę zdrowotną. Bardzo wygodny jest dla nich status obszaru, który z jednej strony ma nieograniczony dostęp do rynku unijnego, a z drugiej strony do rynku brytyjskiego. Wreszcie wojna na Ukrainie spowodowała znaczące ożywienie się przemysłu zbrojeniowego, który w Irlandii Północnej jest bardzo rozbudowany. To tam powstają rakiety brytyjskie, które tak dobrze sprawdzają się w walce Ukraińców z Rosjanami.

Teoretycznie podział Irlandii ma podstawy. Historia zna jednak wiele zwrotów, w których nastroje społeczne szybko się zmieniają. Starsi zaś, wspominając lata strachu przed bombami i terrorem, potrafią docenić obecny pokój. Pokolenie urodzone w czasach „The Troubles" rozpamiętuje 25 lat spokoju bez żadnego triumfu. Po prostu z ulgą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawę „The Trouble and Beyond" otwarto w Ulster Museum w Belfaście. Wyjazd od Irlandii Północnej możliwy był dzięki Panu Ministrowi Janowi Dziedziczakowi, pełnomocnikowi rządu do spraw Polonii i Polaków za granicą.

eprasa.pl dced4af17a

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Wąwolnica

Ile było takich zbrodni, popełnionych przez komunistów po 1944 r.? Tego chyba już nigdy się nie dowiemy. Czy istnieje ich rejestr, z wykazem ofiar, a także z danymi sprawców? Nic takiego w minionych trzech dekadach nie powstało. Zbrodnie komunistyczne nie są nagłaśniane, a nawet jeśli o niektórych się dowiadujemy, to są to historie ignorowane. Potomkowie i spadkobiercy sprawców epatują nas natomiast chętnie rzekomymi zbrodniami Żołnierzy Wyklętych i nawet jeśli badane są ich pełne okoliczności i prostowane kłamstwa, to w istocie nic nie zmienia. Zwolennicy komuny, postkomuny i wszelkiego po(d)stępu zawsze idą w zaparte, w dodatku usiłują odwracać kota ogonem. Na przykład poseł SLD (Lewicy, czyli post-PZPR) osławił się publicznym porównaniem Żołnierzy Wyklętych do… NKWD. Jeśli jego ocenę wzięlibyśmy na poważnie i dosłownie, to należy to odczytywać jako… komplement. Spadkobierca polityczny i ideowy Polski Ludowej nie mógłby bowiem krytykować formacji, dzięki której w Polsce po 1944 r. zainstalowane zostały sowiecki komunizm i jego partia.

NKWD wspierane było przez formacje „rodzime", takie jak Urzędy Bezpieczeństwa, Informację Wojskową, Milicję Obywatelską i Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Miało to określony cel, który w ich mniemaniu uświęcał stosowane środki. A przecież były to pacyfikacje terenu, w tym na masową skalę dotykające ludności cywilnej. I były krwawe ofiary.

Oto np. grupa operacyjna PUBP z Puław dokonała 2 maja 1946 r. pacyfikacji wsi Wąwolnica. W wyniku celowego podpalenia zabudowań całkowitemu zniszczeniu uległo aż 101 domów, 106 stodół, 121 obór i 120 chlewów oraz innych budynków. W wywołanych pożarach zginęli dwaj mieszkańcy wsi, a wielu innych odniosło ciężkie poparzenia. Wieś uznano bowiem za sprzyjającą „bandom" i chodziło o jej drastyczne ukaranie. W komunistycznej prasie zbrodnię przypisano jak zwykle przeciwnikom „władzy ludowej" – w tym przypadku oddziałom poakowskiego podziemia, dowodzonym przez mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika".

Pamięć o takich wydarzeniach zanika. Z jednej strony jest to naturalna kolej rzeczy (decyduje o tym upływ lat), z drugiej jest to jednak „grzech zaniechania" instytucji do tego powołanych, aby je odpowiednio nagłaśniać i przypominać. I brak ścigania i karania sprawców też zrobił swoje.

Na porządku dziennym były wówczas też publiczne egzekucje żołnierzy niepodległościowego podziemia, czyli „wrogów ludu" – przeprowadzane na wzór niemiecki, przy spędzaniu miejscowej ludności (w tym dzieci szkolnych!) na miejsce kaźni. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Dymisja Piłsudskiego

Po zabójstwie Gabriela Narutowicza i wyborze Stanisława Wojciechowskiego na prezydenta Piłsudski skoncentrował się na pracy nad własnym wizerunkiem w społeczeństwie. Udzielał licznych wywiadów, negatywnie wypowiadając się o polskich obyczajach parlamentarnych i niedojrzałości sceny politycznej. Źródłem wszelkiego zła miała być endecja. Jednocześnie otoczenie komendanta kreowało legendę Legionów, tworząc obraz ludzi zasłużonych dla kraju, potraktowanych w niepodległej Polsce niesprawiedliwie i okrutnie.

> **Piłsudski utrwalał przekonanie, że przyszłość należy związać z jego osobą**

Było to celne posunięcie, bo kolejne rządy II RP nie potrafiły się uporać z problemem kombatantów z grupy legionowej. Znaczny ich procent stanowiła młodzież inteligencka, która do okopów trafiła z nieukończonymi studiami (czy wręcz przed maturą). Na froncie spędzili wiele lat, a po demobilizacji nie nadawali się już do życia cywilnego. Bez wykształcenia czy wyuczonego zawodu nie potrafili znaleźć pracy, czasami zresztą odmawiano im zatrudnienia z powodu kombatanckiej przeszłości. W okopach przystosowali się do specyficznego kultu Piłsudskiego („Komendant wie lepiej"), a teraz nie potrafili odnaleźć się w zawiłościach życia politycznego.

30 maja 1923 r. marszałek złożył wniosek o dymisję ze stanowiska szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Nowo powołany Wincentego Witosa składał się z polityków chadecji, endecji i PSL Piast (tzw. rząd Chjeno-Piasta), czego Piłsudski nie mógł tolerować. Demonstracyjnie wyprowadził się ze służbowego mieszkania, przenosząc się z rodziną do Sulejówka. Kreował się na człowieka stojącego ponad podziałami partyjnymi, walczącego z wynaturzeniami życia politycznego. Widziano w nim autorytet moralny, polityka zapowiadającego walkę o czystość życia publicznego. Nie bez powodu występował w prostej, strzeleckiej kurtce, nawiązując do tradycji legionowej i okazując byłym podwładnym, że czuje się jednym z nich. Utrwalał przekonanie, że przyszłość należy związać z jego osobą, a wierni mu nie będą żałować swojej decyzji.

Zwolennicy marszałka oficjalnie nie byli z nim związani, w rzeczywistości jednak pozostawali mu bezgranicznie oddani. A wielu z nich zajmowało wysokie stanowiska w armii, administracji, sądownictwie, partiach politycznych, parlamencie. Co w przyszłości miało przynieść wymierne korzyści. ©℗

eprasa.pl dced4af17a

FOT. ADEM ALTAN/AFP/EAST NEWS

Dwie Turcje i ich prezydent

Teresa Stylińska

– Turcja jest jedna, nikt nie przegrał, zwyciężył zaś cały nasz 85-milionowy naród – tymi słowy prezydent Recep Tayyip Erdoğan przemawiał do swych rozentuzjazmowanych zwolenników, gdy było już jasne, że wygrał drugą turę wyborów i będzie rządził Turcją jak zwykle, czyli silną ręką, przez kolejnych pięć lat

Tej deklaracji można by nawet uwierzyć, gdyby nie to, że po każdym głosowaniu – niegdyś po wyborach parlamentarnych, później prezydenckich, po referendum konstytucyjnym z 2017 r. – Recep Erdoğan wypowiada się w duchu jedności. I że zawsze kończy się na słowach. Czy on sam choć trochę w nie wierzy czy też raczej uprawia cyniczną socjotechnikę na użytek szerokiej publiczności, skoro praktyką sprawowania władzy własnym słowom zadaje kłam? Gdyby zresztą dosłownie potraktować uwagę o zwycięstwie narodu, wniosek mógłby być tylko jeden: gdy wygrywam, wygrywa Turcja. Bo Turcja to ja.

Nie inaczej widzą to zwolennicy Erdoğana. Dla nich zresztą nie jest specjalnie ważne, co Erdoğan mówi, bo najbardziej liczy się to, że jest. Najwierniejsi z wiernych ufają mu bez zastrzeżeń, mówią, że jest dla nich jak ojciec, a niektórzy nawet w szale uwielbienia deklarują, że byliby gotowi oddać za

eprasa.pl dced4af17a

niego życie. Uważają, że Erdoğan jest jednym z nich, bo wychował się w biedzie, wcześnie zarabiał na życie i sam piął się do góry. Nie szkodzi, że dzisiaj opływa w luksusy, że ma majątek nie całkiem jasnego pochodzenia, że w walce z przeciwnikami nie cofał się przed niczym, że choć z upodobaniem posługuje się słowem „demokracja", to tak naprawdę demokrację ma za nic.

Takim właśnie wiernym wyznawcom Recep Erdoğan zawdzięcza zwycięstwo w drugiej turze wyborów prezydenckich. Poparło go 52 proc. Turków. Kemal Kiliçdaroğlu, lider Republikańskiej Partii Ludowej (CHP), wspólny kandydat skupionego wokół niej bloku partii opozycyjnych, otrzymał 48 proc.

CZTEROPUNKTOWA RÓŻNICA

Różnica, zaledwie czteropunktowa, między wynikiem Erdoğana a poparciem dla KK, jak nazywany jest Kemal Kiliçdaroğlu, jest niewielka, ale wymowna. Pokazuje, jak mocno podzielona jest Turcja, jak nieznaczną przewagę ma obóz erdoganowski, jak trudne, przy podziale praktycznie pół na pół, może być przerzucenie pomostu ponad różnicami. Nawet przy założeniu, że prezydent tego chce – a na to nic nie wskazuje. Tym trudniej uwierzyć w deklaracje Erdoğana o istnieniu „jednej Turcji". Takiej Turcji nie ma.

Nie od dzisiaj zresztą. Główne linie podziału wiążą się z postrzeganiem roli religii, stosunkiem do kemalizmu, wreszcie rosnącym autorytaryzmem rządów Erdoğana, który jako prezydent przejął pełnię władzy kosztem parlamentu. Jego zwolennikom zupełnie to nie przeszkadza, widzą w nim bowiem patrona, który da im spokój, stabilność i poczucie bezpieczeństwa. To w dużej mierze tłumaczy, dlaczego nawet wtedy, gdy – głównie z powodów wewnętrznych – dochodziło do zachwiania pozycji Erdoğana i jego partii, zawsze okazywało się ono krótkotrwałe.

Społeczeństwo tureckie, przez lata zjednoczone wokół wizji państwa funkcjonującego na zasadach ustanowionych przez Mustafę Kemala Atatürka, radykalnie podzieliło się z chwilą, gdy do władzy doszła założona przez Recepa Erdoğana islamska Partia Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP). Partie odwołujące się do islamu istniały w Turcji wcześniej i nie były to wcale marginalne partyjki, lecz ugrupowania mające reprezentację parlamentarną, trzymano je jednak na dystans. Dystans zmniejszał się, gdy poparcie islamistów było potrzebne rządowi, nigdy jednak żadna z kolejnych partii islamskich nie przejęła samodzielnie władzy. Idee islamskie dawkowano zresztą ostrożnie, bo świeckość stanowiła jeden z fundamentów republiki i dla religii muzułmańskiej nie było miejsca w życiu publicznym.

Objęcie władzy przez AKP zmieniło to gruntownie. Partia Recepa Erdoğana rzuciła wyzwanie dawnym porządkom – najpierw nad wyraz ostrożnie, z upływem czasu coraz śmielej. Zmiany, takie jak choćby uchylenie zakazu noszenia przez kobiety chust w szkołach i urzędach, wprowadzano w majestacie prawa, bo decyzje podejmował parlament. Dla kemalistów jednak wszelkie prawa, które naruszały dzieło Atatürka, były z założenia bezprawne.

Polaryzację zaostrzały też metody, jakimi Erdoğan jeszcze jako premier umacniał swą władzę: taśmowo organizowane procesy przeciwników – dowódców wojskowych, sędziów, prokuratorów, urzędników, dziennikarzy, ludzi nauki – oskarżanych, pod sfabrykowanymi zarzutami, o spiskowanie przeciwko jego rządom, a także bezwzględne tłumienie masowych protestów ulicznych.

Zwolenników przysparzała Erdoğanowi poprawa stanu gospodarki, przekładająca się na kolejne sukcesy wyborcze. To dzięki zwykłym ludziom, którzy zablokowali ruch pojazdów wojskowych, wyszedł on zwycięsko z zamachu stanu w lipcu 2016 r.

NIKT ICH NIE PRZEKONA

Emocje, jakie budzi Recep Erdoğan, przekraczają zwyczajną miarę i dlatego polaryzacja jest w Turcji tak silna. Jego przeciwników nie przekona nic, nawet niezaprzeczalne sukcesy, takie jak wspomniana stabilizacja gospodarki (która zresztą należy już do przeszłości). Zwolenników natomiast nic nie jest w stanie zniechęcić – ani autorytarne rządy, ani ograniczenie wolności mediów, ani nieczyste gry wyborcze, takie jak zgoda na wrzucanie do urn nieostemplowanych kart podczas referendum w sprawie wprowadzenia systemu prezydenckiego. Dzięki temu, jak się uważa, Erdoğan mógł być pewny wyniku.

Wielu prawdziwie zaszokowało to, że Erdoğan pokonał Kemala Kiliçdaroğlu we wszystkich prowincjach, które w lutym nawiedziło trzęsienie ziemi. Wydawało się, że nieudolne organizowanie akcji ratunkowej, w połączeniu z zaniedbaniami i korupcją, które sprawiły, że skutki wstrząsów – 55 tys. ofiar, zniszczone tysiące domów, drogi i infrastruktura – były tak tragiczne. Tymczasem przewidywania okazały się najzupełniej nietrafne. Erdoğan wygrał, w dodatku z wielką przewagą, bo wszędzie uzyskał ponad 60 proc. głosów. Być może uwiódł wyborców obietnicą zbudowania 650 tys. domów – choć tylu wcale nie potrzeba – dlatego wcześniejsze winy zostały mu puszczone w niepamięć. Gdyby tak samo głosował cały kraj, uzyskałby reelekcję już w pierwszej turze.

Powyborcza mapa Turcji jak na dłoni ukazuje podziały. Do Recepa Erdoğana należy interior: cała Anatolia aż do wybrzeża czarnomorskiego plus na wschodzie klin sięgający Morza Śródziemnego, czyli prowincje dotknięte trzęsieniem. Szeroki pas biegnący wzdłuż wybrzeża egejskiego i śródziemnomorskiego, od Stambułu przez Izmir, Antalyę i Adanę, plus Ankara, kółko na tle regionów proerdoganowskich – to domena wyborców Kemala Kiliçdaroğlu, w ogóle zresztą bastion opozycji. Do tego dochodzi wielki zwarty obszar prowincji kurdyjskich na wschodzie. Prezydent może zapewniać, że jest jedna Turcja, mapa preferencji wyborczych uświadamia jednak, że to nieprawda.

OPOZYCJA W NOWYM MIEJSCU

W jakim punkcie jest dzisiaj turecka opozycja? Od drugiej tury głosowania minęło już parę dni, ale na stronie Republikańskiej Partii Ludowej – w wydaniu anglojęzycznym – widnieją tylko informacje z czasu kampanii. Nie ma słowa na temat wyników wyborów, żadnego oświadczenia, podsumowania ani zapowiedzi przyszłych działań. Podobnie na stronie Sojuszu Narodowego, bloku sześciu partii, których wspólnym kandydatem był Kemal Kiliçdaroğlu. Czy można stąd wnioskować, że są one ciągle w stanie powyborczego szoku? Możliwe, że opozycji, która jak nigdy dotąd zbliżyła się do pokonania Erdoğana

eprasa.pl dced4af17a

(przypomnijmy, że w 2018 r. zwyciężył on w pierwszej turze), trudno jest się zmierzyć z porażką.

Nadzieje były wielkie i nie całkiem nieuzasadnione, choć znawcy spraw tureckich, tacy jak Soner Cagaptay z think tanku Washington Institute, autor kilku biografii Recepa Erdoğana, są zdania, że zwycięstwa urzędującego prezydenta można się było spodziewać. Nie pozostawia on bowiem, jak pisze Cagaptay na łamach „Foreign Affairs", żadnych spraw przypadkowi i reżyseruje wydarzenia w sposób, który, nawet jeśli postronni obserwatorzy tego nie dostrzegają, prowadzi do sukcesu.

Chodzi nie tylko o zabiegi taktyczne, takie jak oskarżenia pod adresem Ekrema Imamoğlu, burmistrza Stambułu, które sprawiły, że zrezygnował on z kandydowania, by nie postawić Sojuszu Narodowego w trudnej sytuacji. Erdoğan zapewne zakładał, że w tej sytuacji opozycja wystawi lidera CHP, a jego łatwiej będzie pokonać niż Ekrema Imamoğlu, wschodzącą gwiazdę kemalistów i zapewne ich przyszłego przywódcę. Chodzi także o posunięcia strategiczne, które mają zrodzić w wyborcach przeświadczenie, że Turcja jest znowu potęgą, którą kieruje prawdziwy wódz, jak za czasów imperium. To działa. Na transparentach niesionych przez zwolenników prezydenta coraz częściej widnieje słowo „reis" – szef czy wódz. Poczucie, że ich kraj był mocarstwem, mocno tkwi w świadomości Turków, a to, że dzięki Erdoğanowi Turcja jest znowu widoczna, też pewnie odegrało jakąś rolę.

Nadzieje opozycji rozwiały się wprawdzie w sposób bolesny, faktem jest jednak, że jest ona dzisiaj w zupełnie innym miejscu niż dawniej. Kemalistowska CHP przestała być jedyną partią, która, przeciwstawiając się Erdoğanowi, podkreśla potrzebę powrotu do idei kemalizmu, wśród których niepoślednie miejsce zajmuje orientacja prozachodnia – nie proislamska czy prorosyjska, którą realizuje Recep Erdoğan. CHP ma wsparcie partnerów z sojuszu, który – paradoksalnie – nie powstałby, gdyby Erdoğan nie przesadził z ambicjami i nie postanowił rządzić niepodzielnie.

W CIENIU STULECIA

Zwycięstwo Erdoğana było zarazem zaskakujące i spodziewane. Zaskakujące – bo od co najmniej kilkunastu miesięcy nad jego głową gromadziły się czarne chmury. Najgroźniejsze to hiperinflacja i związany z nią dotkliwy wzrost kosztów utrzymania, zadufanie prezydenta – który, lekceważąc ekonomistów, próbował, nieskutecznie, zwalczać inflację obniżaniem stóp procentowych – i kataklizm na wschodzie. To wszystko razem wzięte sprawiło, że opozycja niebezpodstawnie nabrała wiary, iż po 20 latach wreszcie Recepa Erdoğana uda się pokonać. A spodziewane – bo pierwsza tura, którą prezydent wygrał, choć prognozy przewidywały, że będzie drugi, za KK, pokazała, że mimo tak wielkiego nagromadzenia problemów Recep Erdoğan nie stracił ani na jotę umiejętności zjednywania sobie społeczeństwa.

I zapewniania sobie sojuszników. Jeżeli Sinan Oğan, który w pierwszej turze zajął trzecie miejsce, zostanie wiceprezydentem, będzie jasne, czym Erdoğan go kupił. Oğan nie krył, że swego poparcia tanio nie sprzeda. Czemu miałbym zadowolić się stanowiskiem wicepremiera (którego, nawiasem mówiąc, w Turcji nie ma), skoro mogę zostać wiceprezydentem? – zdradzał swe zamiary w wywiadach prasowych.

Zwycięstwo w wyborach prezydenckich Erdoğana było zarazem zaskakujące i spodziewane

Zwycięstwo w wyborach to nie tylko zwieńczenie 20 lat rządów Erdoğana i pół wieku jego działalności w polityce. Niesie ono ze sobą wyjątkową, ponad wszystko upragnioną nagrodę: prowadzenie obchodów stulecia Republiki Turcji, proklamowanej 29 października 1923 r. w Ankarze, wówczas małej, antycznej mieścinie w sercu Anatolii. Był to zawsze dzień Atatürka. Najpierw, przez kilkanaście lat (zmarł w listopadzie 1938 r.), prowadził obchody osobiście, później oddawano mu hołd podczas uroczystości, które odbywały się w Ankarze przed mauzoleum Anitkabir, w którym spoczywa. Jak będzie w tym roku?

NOWY LEPSZY KEMAL?

W pierwszych latach po objęciu władzy, gdy sam był jeszcze pod czujną obserwacją ze strony kemalistycznych elit, zwłaszcza armii, Erdoğan traktował Kemala Atatürka z należytą atencją, podkreślając swój dlań szacunek, a także przywiązanie do kemalizmu i takiej formy republiki, jaką ustanowił. W miarę umacniania się u władzy pozwalał sobie na coraz więcej. Pewnego razu nie pojawił się na obchodach, bo akurat ten moment wybrał na wizytę za granicą, a indagujących go dziennikarzy zbył opryskliwie pytaniem, czy jego obecność jest naprawdę konieczna. Gdy już był pewien swej pozycji, przyszedł czas na kąśliwe uwagi, w rodzaju tej, że „republikę stworzyło dwóch pijaków" (ten drugi to Ismet Inönü, towarzysz bojów i następca Kemala na stanowisku prezydenta). Obaj istotnie nie gardzili trunkami, Kemal zaś, według bliskich mu ludzi, wypijał codziennie butelkę rakii, co zresztą wydatnie skróciło mu życie, bo zmarł na marskość wątroby. Nie ma to jednak żadnego znaczenia dla oceny dzieła jego życia.

Z biegiem czasu w okolicznościowych oświadczeniach Erdoğana coraz mniej miejsca zajmował Kemal, a coraz więcej on sam. W ubiegłym roku, z okazji 99. rocznicy, w wystąpieniu przed Anitkabir poświęcił Kemalowi krótką rytualną uwagę, rozwodził się natomiast szeroko nad własnymi dokonaniami. Oto próbka: „Dzięki demokratycznej rewolucji i rozwojowi, jaki był naszym dziełem przez ostatnich 20 lat, nie tylko wyeliminowaliśmy przeszkody blokujące wolę narodu, ale także znieśliśmy mury między społeczeństwem a republiką. Uczyniliśmy z Turcji kraj, który stanowi wzór demokracji, którego gospodarka imponuje, którego dyplomacja jest z uwagą obserwowana i który najmocniej, jak może, broni jedności narodowej i braterstwa".

Idea jest jasna: Kemal zrobił niemało, Recep Erdoğan jednak zdziałał o wiele więcej. Co usłyszą Turcy w tym roku? Strach pomyśleć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

FOT. ADOBE STOCK

WOJSKOWA SPECJALNOŚĆ Z GRILLA

W Holandii istnieje specjalny fundusz na rozwój zawodowy żołnierzy. Personel wojskowy zaczął go jednak wykorzystywać w specyficzny sposób. Wyszło na jaw, że 32 żołnierzy brało udział w kursie grillowania. Kosztował 4,5 tys. euro za osobę. Na koniec kursu każdy z uczestników otrzymał na własność grilla luksusowej marki. Wszczęto śledztwo, a w funduszu wprowadzono zmiany – nie może być już przeznaczany na finansowanie „kursów hobbystycznych".

BO URZĘDNIK SZUKAŁ TELEFONU

W indyjskim stanie Chhattisgarh przez trzy dni wypompowywano wodę ze zbiornika w pobliżu tamy Kherkatta. W sumie wypompowano 2 mln litrów wody, którą wylano na pobliskie pola. Nakazał to lokalny inspektor żywności. Do wody wpadł mu bowiem telefon komórkowy. Decyzję uzasadniał tym, że na telefonie znajdowały się „poufne dane rządowe". Nurkowie w końcu znaleźli smartfon, nie nadawał się do użytku. Urzędnik został zawieszony.

KARALUCH JAK TERRORYSTA

Zdemolowane dwie restauracje, dwóch rannych. To efekt paniki w Tel Awiwie. Klientka restauracji zobaczyła karalucha i krzycząc, przewróciła stół. Reszta klientów z tego lokalu i pobliskiego baru uznała, że to atak terrorystyczny, i rzuciła się w panice do ucieczki. Na miejsce przybyło pięć policyjnych radiowozów i jedna karetka.

65 TYS. EURO ZA ZABICIE OSY

Niemieccy ekolodzy przypomnieli, że w tym kraju osy znajdują się pod ścisłą ochroną. Nie wolno ich ani płoszyć, ani chwytać, ani zabijać. Gniazdo os można przenieść tylko wtedy, gdy „istnieje ważny interes publiczny". Za zabicie osy grozi grzywna do 65 tys. euro (ok. 295 tys. zł). Do tej pory najwyższy mandat, jaki za to wystawiono, wynosił 10 tys. euro (ok. 45 tys. zł).

ODWOŁALI ZAKOŃCZENIE ROKU

Marlin High School, szkoła średnia w Teksasie (USA), przełożyła ceremonię zakończenia roku szkolnego z końca maja na koniec czerwca. Powód? Większość uczniów nie zdała do następnej klasy. 85 proc. uczniów nie otrzymało promocji. Szkoła zdecydowała, że da uczniom miesiąc na to, by spróbowali poprawić swoje oceny. Wcześniej też poszła im na rękę – wprowadziła czterodniowy tydzień szkolny, by zmniejszyć liczbę „nadmiarowych nieobecności" podopiecznych. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Zgoda na testy na ludziach

Neuralink – jedna z firm założonych przez ekscentrycznego miliardera Elona Muska – otrzymała oficjalną zgodę od amerykańskiej Agencji Żywności i Leków (FDA) na prowadzenie pierwszych testów na ludziach.

Cel brzmi zacnie. Dzięki wszczepianym implantom ludzkie mózgi będą mogły komunikować się bezpośrednio z komputerami i dzięki temu np. odzyskiwać utracone zmysły czy kontrolę nad sparaliżowanymi kończynami (firma pokazała już małpę, która dzięki chipowi gra w gry wideo).

Wczasach, gdy pierwsza część „Matrixa" coraz bardziej sprawia wrażenie dokumentu niż fikcji, obawy może budzić nie tylko pomysł posiadania w mózgu chipa podłączonego do komputera (wówczas może być trudno wybić sobie z głowy Teslę i Twittera), lecz także zamiłowanie Muska do szybkich i spektakularnych efektów. Jak donosiły zachodnie media, to właśnie naciski ze strony najważniejszego przełożonego miały ponoć sprawić, że eksperymenty skończyły się bezsensowną śmiercią wielu zwierząt laboratoryjnych. Ofiarą nadmiernego pośpiechu testujących miało paść m.in. ponad 20 świń, które miały zostać zabite tylko dlatego, że przez pomyłkę wszczepiono im implanty o niewłaściwych rozmiarach. W USA prowadzone jest też dochodzenie w sprawie potencjalnego naruszenia dobrostanu, w tym zadawania niepotrzebnych cierpień świniom, owcom i małpom. Chętnym na bycie „ludzikiem doświadczalnym" Muska radziłbym więc ryzykować nie wcześniej, niż misja miliardera bezpiecznie wyląduje na Marsie (według zapowiedzi Elona Muska ma się to stać do 2032 r.). ©℗

eprasa.pl dced4af17a

Michaił Bułhakow urodził się, wychował i przez wiele lat mieszkał w Kijowie. W dawnym domu pisarza od ponad trzech dekad funkcjonuje jego muzeum FOT. ADOBE STOCK

Mistrz i propaganda

Maciej Pieczyński

Kijów ma moralne prawo używać wspólnej ukraińsko-rosyjskiej historii jako broni do walki z agresorem. Czytelnik w Polsce ma jednak przy tym intelektualne prawo wiedzieć, jakich manipulacji faktami dopuszczają się przy okazji Ukraińcy

Po 24 lutego 2022 r. ze zrozumiałych względów nad Dnieprem postępuje derusyfikacja. Zmieniane są nazwy ulic, placów, burzone są pomniki upamiętniające zarówno władców, jak i twórców kultury rosyjskiej, odpowiedzialnych za propagowanie idei imperialnych. Z przestrzeni publicznej znikają więc zarówno caryca Katarzyna II, jak i wybitny poeta Aleksandr Puszkin. Jednak Kijów nie tylko eliminuje ślady kultury, historii i polityki rosyjskiej, lecz także podejmuje z Moskwą rywalizację o monopol na niektóre – co bardziej chwalebne – elementy wspólnej przeszłości i spuścizny. O ile na polu bitwy trwa raczej impas, o tyle na polu pamięci Ukraina już dawno przeszła do kontrofensywy. A nawet przekroczyła granice państwa agresora, posługując się nierzadko jego ulubionymi, propagandowymi metodami.

Jeden z najwybitniejszych i najpopularniejszych na świecie pisarzy rosyjskich, Michaił Bułhakow, urodził się, wychował i przez wiele lat mieszkał w Kijowie. Przy popularnej wśród turystów ul. Zjazd św. Andrzeja w dawnym domu pisarza od ponad trzech dekad funkcjonuje jego muzeum. Obok zabytkowego budynku znajduje się pomnik Bułhakowa. Po inwazji rosyjskiej autor „Mistrza i Małgorzaty" w oczach wielu Ukraińców stał się nieproszonym mieszkańcem. Przy wejściu do muzeum przez wiele lat wisiała tablica pamiątkowa z napisem po rosyjsku: „W tym domu mieszkał znany pisarz rosyjski i sowiecki Michaił Bułhakow". Niedawno treść została zmieniona. Teraz tablica informuje po ukraińsku: „W tym domu w latach 1906–1919 mieszkał wybitny kijowianin, lekarz i pisarz Michaił Bułhakow". Derusyfikacja treści nie pomogła. Nieznani sprawcy oblali tablicę czerwoną farbą. Władze muzeum postanowiły farby nie zmywać, ponieważ to „również forma komunikacji". Dyrektor placówki w rozmowie z mediami zapowiedziała, że położy większy nacisk na tłumaczenie zwiedzającym poglądów pisarza oraz ich kontekstu historycznego.

„KIJOWIZACJA" BUŁHAKOWA

Nowa treść tablicy pamiątkowej to charakterystyczny przykład derusyfikacji, w tym wypadku posuniętej do skrajności. Demonstracyjne zignorowanie narodowego pochodzenia Bułhakowa, zrozumiałe z ukraińskiej perspektywy, z punktu widzenia faktów historycznych jest jednak intelektualnym nadużyciem. Jak wiadomo, autor „Białej gwardii" znany jest na całym świecie jako twórca kultury rosyjskiej, a nie lekarz mieszkający w (dzisiejszej) stolicy Ukrainy. „Ukrainizacja" (a właściwie „kijowizacja") Bułhakowa to zręczny zabieg propagandowy albo udany trolling (by użyć terminu internetowego) wymierzony w Rosjan. Niestety, jednocześnie jest to jednak manipulacja na poziomie podobnych zabiegów stosowanych przez Moskwę. Kijów ma do takich chwytów większe moralne prawo. Z perspektywy Warszawy należy jednak manipulację nazywać manipulacją.

Ponadto „kijowizacja" Bułhakowa w ukraińskiej opinii publicznej wywołuje nie tylko satysfakcję z uderzenia w Rosję, lecz także kontrowersje. Już pod koniec sierpnia ubiegłego roku Narodowy Związek Pisarzy Ukrainy zaapelował do ministerstwa kultury i polityki informacyjnej o zamknięcie muzeum przy Zjeździe św. Andrzeja. Zdaniem przedstawicieli organizacji Bułhakow „nienawidził Ukrainy i oczerniał ją w swojej twórczości". Jako przykład związek podał fragment z powieści „Biała gwardia", opowiadającej o wojnie domowej w Rosji po rewolucji październikowej. A konkretnie tyradę jednego z bohaterów: „Ja waszego hetmana [mowa o hetm. Skoropadskim, przywódcy Państwa Ukraińskiego w 1918 r. – przyp. red.] za stworzenie tej milutkiej Ukrainy pierwszego bym powiesił! [...] Kto zabronił formowania armii rosyjskiej? Hetman. Kto terroryzował ludność rosyjską tym nikczemnym językiem [ukraińskim – przyp. red.], który nawet nie istnieje na świecie? Hetman! Kto wyhodował tych

eprasa.pl dced4af17a

bydlaków z ogonami na głowach [chodzi o Kozaków – przyp. red.]? Hetman!". Kijów w „Białej gwardii" przedstawiony jest zresztą jako rosyjskie miasto, chwilowo zajęte przez karykaturalną, separatystyczną, prowincjonalną mniejszość ukraińską. Według związku pisarzy obecność Bułhakowa w przestrzeni kulturowej Ukrainy jest „niebezpieczna nie tylko dla Ukraińców jako narodu, lecz także dla ukraińskiej tożsamości i państwowości".

Ministerstwo na apel odpowiedziało odmownie. Szef resortu przyznał, że w twórczości Bułhakowa można znaleźć „negatywne wypowiedzi na temat walki Ukrainy o niepodległość". Jednocześnie zdziwił się, dlaczego mieszkańcom stolicy Ukrainy przeszkadza pisarz, który „sam był kijowianinem". Dziennikarz Ołeh Krysztopa w swoim programie „Historia dla dorosłych", na antenie telewizji Kanał 5, nazwał Bułhakowa „mistrzem ukrainofobii", w nawiązaniu do tytułu najsłynniejszej powieści pisarza. „Jak zagorzały raszysta nagle został kijowianinem?" – zastanawia się Krysztopa. Jego zdaniem w ukraińskiej opinii publicznej funkcjonuje nieuzasadniony kult Bułhakowa, którego wbrew jego imperialistycznym, wielkoruskim poglądom niektórzy próbują na siłę uczynić nieomal honorowym obywatelem stolicy Ukrainy. Generalnie jednak zdania wśród ekspertów – historyków, literaturoznawców, kulturoznawców – są podzielone. Jedni uważają Bułhakowa za ukrainofoba, inni – wręcz za przedstawiciela kultury ukraińskiej, choć w swoim literackim życiu nie napisał ani zdania po ukraińsku.

RYWALIZACJA O KORZENIE

O wiele bardziej złożony jest problem Nikołaja Gogola. Pisarz urodził się w Soroczyńcach, w guberni połtawskiej, jako potomek starego kozackiego rodu. Jego ojciec pisał jeszcze ukraińskojęzyczne wodewile, ale sam Nikołaj tworzył już wyłącznie po rosyjsku. Akcja jego pierwszych opowiadań rozgrywała się jednak na jego rodzimej ukraińskiej prowincji. Gogol opisywał jej piękno w duchu ludowej, romantycznej fantastyki. Niektórzy twierdzą wręcz, że wymyślił ukraiński folklor. Jednak cała jego późniejsza twórczość związana była już z Rosją. To on stworzył popularny literacki obraz Petersburga – demonicznego miasta, które dławi drobnych urzędników i biednych artystów. Gogol miał świadomość swojego ukraińskiego (albo małorosyjskiego, zgodnie z carską terminologią) pochodzenia, uważał jednak żywioł ukraiński za nieodłączną i podrzędną część większego, „rosyjskiego świata". W opowiadaniu „Taras Bulba" przedstawił dobrych Kozaków zaporoskich, walczących z Polakami („Ogniem i mieczem" à rebours) w obronie prawosławia i „ziemi rosyjskiej".

Gogol był rosyjskim patriotą, wielkoruskim nacjonalistą, wyznającym kult cara i Cerkwi. Lewicowy krytyk Wissarion Bieliński słusznie nazwał go „apostołem knuta i panegirystą tatarskich obyczajów". A jednak wielu Ukraińców traktuje autora „Martwych dusz" jako swojego. „Gogol to ukraiński pisarz, który pisał po rosyjsku […], był ostatnim spośród ukraińskich intelektualistów na szlaku z Kijowa i Połtawy do Petersburga, który to szlak torował Teofan Prokopowycz [kijowski duchowny i pisarz, który stał się jednym z najbliższych współpracowników cara Piotra Wielkiego – przyp. red.]. Pragnął światowej sławy. Zdawało mu się, że można ją zdobyć tylko w imperialnej stolicy" – mówi ukraińska badaczka Wira Ahejewa.

Ołeksij Arestowycz uważa Prokopowycza za wręcz twórcę imperium rosyjskiego. Były współpracownik Zełenskiego wprowadził do ukraińskiej debaty ideę zmiany nazwy państwa na Ruś-Ukraina. Celem tej zmiany miałoby być odebranie Rosji praw do spuścizny po dawnej Rusi. Rywalizacja z Moskwą o korzenie historyczne to temat bardzo popularny i często podnoszony nad Dnieprem. Chyba każdy ukraiński użytkownik Internetu widział kiedyś słynny mem porównujący stolice obu walczących ze sobą państw. Na kolejnych obrazkach widać, jak w danym okresie historycznym wyglądały oba miasta. Pod koniec X w. w Kijowie stoi już pierwsza cerkiew. Na miejscu Moskwy – las. Kilkadziesiąt lat później powstaje sobór Sofijski w Kijowie. Przyszłą Moskwę nadal porasta las. Początek XII w. i naprzeciwko Sofii Kijowskiej stoi już monaster św. Michała. W Moskwie bez zmian. I rzeczywiście – pierwsze wzmianki o dzisiejszej stolicy Rosji pochodzą dopiero z połowy XX w.

Jednak – popularna niestety również w Polsce i na Zachodzie (wspomniany mem upubliczniała m.in. ambasada USA w Kijowie) – narracja o tym, jak to cywilizowana, europejska Ukraina istnieje już tysiąc lat, podczas gdy prymitywne „orki" ledwo wynurzyły się z odmętów puszczy, by niemalże od razu trafić pod tatarskie chomąto i następnie właśnie po prymitywnych ordyńcach odziedziczyć swoje azjatyckie państwo, daleka jest od historycznych faktów. W sporze o korzenie ani Kijów, ani Moskwa nie mają racji. Jednak demaskowanie bzdur rosyjskiej propagandy robi się zwyczajnie nudne, bo wszyscy już nad Wisłą wiedzą, że Rosja kłamie. Natomiast balon bezkrytycznego potakiwania we wszystkim (skądinąd niesprawiedliwie napadniętej) Ukrainie wymaga jednak od czasu do czasu przekłucia igłą trzeźwego, wolnego od emocji spojrzenia.

Otóż Ruś nie była ani Rosją, ani Ukrainą, tylko Rusią właśnie. I to początkowo wcale nie kijowską. Przez pierwsze dwie dekady (jeśli wierzyć latopisom) jej stolicą był (dziś rosyjski) Nowogród Wielki. Do Kijowa przeniósł ją książę Oleg, nazywając Kijów „matką grodów ruskich". Nie ukraińskich, nie rosyjskich, ale ruskich właśnie. Przodkowie dzisiejszych Rosjan, Ukraińców i Białorusinów mówili we wspólnym, staroruskim języku, który dopiero w XIV w. zaczął rozgałęziać się na trzy narodowe strony. Moskwa jako miasto rzeczywiście powstała późno, ale nie na pustym miejscu, tylko na ziemiach, które wcześniej wchodziły w skład Rusi. Władcy Moskwy – a późniejszej Rosji – należeli do dynastii Rurykowiczów, która wcześniej rządziła w Kijowie. Wbrew tezom ukraińskiej polityki historycznej między Kijowem a Moskwą była więc ciągłość. Rzeczywiście, despotyczny charakter państwa moskiewskiego ukształtował się pod tatarskim wpływem, ale również pod wpływem Bizancjum, skąd Ruś – czyli i Ukraina, i Rosja – otrzymały prawosławny chrzest.

„Ja ciebie spłodziłem, więc ja ciebie zabiję" – powiedział stary Kozak Taras Bulba do syna, którego chwilę później zastrzelił za przejście na stronę Polaków. Ukraiński dziennikarz Mykoła Satpajew stwierdził, że tak mógłby dziś powiedzieć Kijów do Moskwy, bijąc agresora na froncie. Stwierdzenie efektowne, błyskotliwe, ale ahistoryczne i zawierające nieprawdę. Jak to czasem z ukraińską propagandą bywa. Bo to brat broni się przed bratem, a nie ojciec przed synem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

Challenger rzuca wyzwanie Bidenowi

Ostatnie sondaże wskazywały nawet 20-procentowe poparcie dla Roberta Kennedy'ego Jr. FOT. SCOTT EISEN/GETTY IMAGES

Wojciech Golonka

Syn Roberta Kennedy'ego statystycznie nie ma szans na wygraną prezydenturę USA. Jednak jego kandydatura może sporo namieszać

Kiedy Robert Kennedy Jr. ogłosił 19 kwietnia swój udział w wyborach prezydenckich w USA, sondaże dawały mu na start 14 proc. poparcia wśród elektoratu demokratów. Trzy tygodnie później (w chwili, kiedy Joe Biden ogłaszał, że będzie się ubiegał o reelekcję) było to już przeszło 20 proc., a bliższe demokratom mainstreamowe media zaczęły „uspokajać", że sondaże na rzecz Kennedy'ego są wyolbrzymione, kandydatura zaś prezydenta Bidena – niezagrożona. Aby jednak rzeczywiście takowa pozostała, wobec bratanka prezydenta Johna Kennedy'ego, który najwyraźniej zdołał w krótkim czasie skupić na sobie sporą uwagę mediów, wytoczono na wszelki wypadek wypróbowane działa politycznej poprawności – wszak jeszcze nie tak dawno temu zawzięcie krytykował on politykę sanitarną dr. Fauciego oraz skuteczność szczepień na COVID-19, stąd te jego „herezje" należało podkreślać w przekazie medialnym o wiele bardziej niż jego ewentualny program wyborczy.

BALANSUJĄC MIĘDZY WYBORCAMI

Jednocześnie, w niespełna miesiąc od rozpoczęcia swej kampanii, Kennedy stał się zadziwiająco częstym gościem niezależnych dziennikarzy, których „reakcyjne" programy cieszą się dużą oglądalnością w Internecie, a nawet stałym bywalcem w prawicowej telewizji Fox News, budząc sympatię do swej osoby także wśród elektoratu republikanów.

Sam Kennedy ochoczo zresztą, i nie bez inteligencji, balansuje między tymi dwoma zagłębiami wyborczymi, podkreślając, że jest jedynym kandydatem mogącym dokonać pojednania narodowego wobec skrajnie zantagonizowanych obozów politycznych. Niezależnie od tego, jak oceniać jego szanse wyborcze, pod różnymi aspektami, z poglądami politycznymi włącznie, przypomina on kandydaturę outsidera Donalda Trumpa z 2016 r. – a to znaczy, że z pewnością doda smaku rozkręcającej się kampanii wyborczej, nie mówiąc o niespodziankach, które niemłody już challenger mógłby zgotować, odbijając głosy dwóm największym rywalom tych wyborów.

Choć przynależy do bodaj najbardziej zaangażowanego w politykę rodu w Ameryce, to Robert Kennedy Jr. politykiem dotychczas nie był, aczkolwiek w świecie polityki wzrastał, towarzysko się obracał, a na atakowaniu w sądach układów biznesowo-politycznych zrobił jako prawnik karierę i chyba także zbił osobistą fortunę. W rzeczy samej, najstarszy syn Roberta Kennedy'ego, brata prezydenta Johna Fitzgeralda Kennedy'ego, miał dziewięć lat, gdy zamordowano jego wujka, a 14, gdy ten sam tragiczny los spotkał jego własnego ojca. Ten ostatni wcześniej zrobił błyskotliwą, choć nie przypadającą wszystkim do gustu karierę za czasów prezydentury swego brata, który mianował go prokuratorem generalnym – za jego kadencji wyroki skazujące przestępczość zorganizowaną, czyli mafię, wzrosły aż ośmiokrotnie. Jednocześnie zasłynął on jako zagorzały zwolennik równouprawnień obywatelskich w Ameryce przechodzącej wówczas kryzys segregacji rasowej (co nie przeszkadzało mu inwigilować Martina Luthera Kinga w związku z podejrzeniami o jego bliskie kontakty z komunistami).

Kilka lat po zabójstwie prezydenta jego brat, Robert, z powodzeniem rozpoczął swą kampanię prezydencką, z perspektywą zwycięstwa w prawyborach demokratów – został jednak zastrzelony w trakcie kampanii prezydenckiej, oficjalnie z powodu jego poparcia dla Izraela w czasie wojny z 1967 r., nieoficjalnie – dlatego że planował, jako prezydent, wznowić komisję śledczą do spraw śmierci jego brata. Dzieciństwo młodego Roberta naznaczone było zatem aurą władzy i chwały jego rodziny, a także makabrycznymi tragediami – ostatecznie, skończywszy studia na Harvardzie, obrał on zawód prawnika wyspecjalizowanego w kwestiach ochrony środowiska. Na tym gruncie odniósł niezaprzeczalne sukcesy, zdobył pewną medialną rozpozna-

eprasa.pl dced4af17a

walność… a także, jak twierdzi, doświadczenie w kwestii patogennych układów między światem korporacyjnym a polityczno-urzędniczym.

NA RZECZ EKOLOGII, ALE PRZECIW SZCZEPIENIOM

Już sama jego współpraca ze Stowarzyszeniem Rybackim Rzeki Hudson, które podjęło bój o zablokowanie spustu do rzeki najróżniejszych ścieków przemysłowych i nieczystości, umożliwiła – jak twierdzi Kennedy – nałożenie przez sądy na przestrzeni kilku dekad łącznie ponad 3 mld dol. kar i odszkodowań, a w ostatnich latach oficjalne raporty stwierdziły, że nastąpiła „niesłychana poprawa jakości wody w rzece od 1972 r. i utrzymuje się na przestrzeni lat" (to doświadczenie Kennedy wykorzystał, zakładając Waterkeeper Alliance na rzecz czystej wody na świecie). Ekologia, dbanie o prawa rdzennej amerykańskiej ludności, a nawet walka z gigantami pokroju Monsanto – kancelaria Kennedy'ego odniosła (wespół z innymi) w 2018 r. głośny sukces przeciwko koncernowi produkującemu sławny-niesławny glifosat Roundup. To wszystko budziło podziw i wpisywało się w autentyczną lewicową wrażliwość społeczną, tak że zabieganie przez kandydatów demokratów o jego poparcie wyborcze było opłacalne.

Zaangażowanie Kennedy'ego miało i drugą stronę medalu, niemieszczącą się już w granicach tolerancji establishmentu i świata wielkich pieniędzy. Od 2005 r., w kontekście statystycznego wzrostu występowania autyzmu u dzieci i chorób autoimmunologicznych, podjął się on budzącej kontrowersje krytyki bezpieczeństwa stosowanych w USA szczepionek, a także koligacji między urzędami regulującymi ich dopuszczenie do obiegu a finansującymi je koncernami farmaceutycznymi. To podniesienie ręki na skarbiec Eskulapa ciąży na jego reputacji do dziś – na dobre, i na złe – choć sam zainteresowany wielokrotnie powtarzał, że szczepił wszystkie swoje dzieci, jest zwolennikiem szczepień, ale jeszcze bardziej zwolennikiem bezpiecznych szczepień… Ostatni etap tej osobistej krucjaty ze światem Big Pharmy to książka wydana pod koniec 2021 r., bestseller sprzedany od tego czasu w nakładzie ponad miliona egzemplarzy, pod wymownym tytułem „Prawdziwy Anthony Fauci: Bill Gates, Big Pharma i globalna wojna z demokracją i zdrowiem publicznym".

Z takim właśnie zapleczem i bogatym doświadczeniem Robert Kennedy postanowił późno wkroczyć na arenę polityki, proponując program, który sam z dumą określa jako „populistyczny". W pierwszej mierze „uczciwy rząd", to jest odzyskanie kontroli przez naród nad władzą, która oszukała jego zaufanie poprzez publiczne kłamstwa, wykorzystywanie służb do szpiegowania Amerykanów, koligacji między politykami a wielkimi koncernami, cenzurą dyskursu publicznego przez firmy Big Tech. Następnie pojednanie narodowe. „Moim celem jest przekonanie każdego demokraty, że nie jest demokratą, a każdego republikanina – że nie jest republikaninem" – głosi kandydat. Na trzecim miejscu – rewitalizacja ekologiczna środowiska; na czwartym – amerykańskiej infrastruktury i klasy średniej. W rzeczy samej, Kennedy raz po raz w swych wywiadach wskazuje na systematyczne kurczenie się tej ostatniej w społeczeństwie przy jednoczesnym skokowym wręcz wzroście majątku najbogatszych. Ten drenaż pieniędzy Amerykanów należy także ukrócić, zaprzestając kolejnych neokońskich wojen, ponieważ „Ameryka nie może być imperium na zewnątrz, pozostając jednocześnie demokracją w środku". Przywrócenie wreszcie praw obywatelskich to ostatni punkt jego programu, począwszy od swobody przepływu informacji, na prawach mniejszości skończywszy. Kennedy nie wchodzi w szczegóły, ale chciałby amnestii dla posiadaczy narkotyków, którzy nie popadli w inne przestępstwa, zainwestować w biedniejsze strefy USA oraz dokonać reformy systemu więziennego czy policji na bardziej ludzką w jego oczach modłę (bynajmniej ich nie likwidując w duchu ruchu BLM). Słowem – liberalna i prodemokratyczna spuścizna klanu Kennedych, z jej klasycznymi hasłami rozbijania układów korupcyjnych, wrażliwością na mniejszości rasowe i biedniejsze warstwy społeczne, we współczesnym kontekście, już nie mafii, a światowych koncernów, a także po trzech dekadach neokońskich wojen o hegemonię, w wydaniu doświadczonego prawnika o charakterze trybuna ludowego.

JAKIE SĄ SZANSE

Czy Kennedy ma jakiekolwiek szanse uzyskać nominację Partii Demokratycznej w zbliżających się wyborach prezydenckich? Statystycznie nie, ponieważ w historii USA żaden „challenger" nie zdołał uzyskać nominacji w przypadku rezydującego prezydenta z jego partii ubiegającego się o reelekcję. Co nie znaczy, że Kennedy nie może w tej kampanii namieszać, zarzucając tematy wyborcze, nadwyrężając chwilowo w sondażach poparcie dla Joe Bidena, a także, choć mniej, dla Donalda Trumpa. Można by oczywiście spekulować, co by było, gdyby Robert Kennedy zdecydował się na kontynuowanie wyścigu do Białego Domu mimo braku nominacji, jako zatem niezależny kandydat, choć prawdopodobnie jego notowania drastycznie by wówczas spadły. Czemu zatem ma służyć obecny start Kennedy'ego, który oprócz zaangażowanego idealisty jest mimo wszystko pragmatykiem?

Po pierwsze, mimo oficjalnych deklaracji, ponowna kandydatura Joe Bidena nie jest przesądzona z racji jego wieku i osobistej kondycji – w Internecie mnożą się nagrania, na których 80-letni prezydent mówi bez ładu i składu, gubi orientację podczas oficjalnych recepcji, a szczery uśmiech i najsilniejsze zaplecze w pewnym momencie nie nadrobią czegoś, co najwyraźniej wygląda na przejawy postępującej demencji.

Po drugie, choć sam Kennedy stanowczo odcina się od Trumpa, to jego hasła wyborcze i działalność przenoszą mimo wszystko wyborczy punkt ciężkości w jego stronę. Owszem, cała wizja bratanka prezydenta Kennedy'ego naznaczona jest lewicową „wrażliwością", ale odrzucenie neokońskiego interwencjonizmu, rewitalizacja amerykańskiej infrastruktury, troska o klasę średnią, walka, przynajmniej werbalna, z deep state, a nawet ścisła kontrola granic (Kennedy chce dość szerokiej, ale legalnej imigracji do USA) to są wszystko istotne punkty łączące obu tych „populistów", mimo niebagatelnych różnic (Kennedy jest np. wrogiem węgla i atomu, a także morskich farm wiatrowych; choć jest nominalnie katolikiem, popiera prawo do aborcji).

Czas pokaże, jaki realny wpływ będzie on mieć w tej kampanii, której, na razie, jego antysystemowa i eklektyczna retoryka w Ameryce po prostu nadaje smaku. Potwierdza to autentyczna popularność, jaką wywiady Kennedy'ego cieszą się w pozamainstreamowych mediach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

Rząd rozmnaża... wyborców

FOT. ADOBE STOCK

Jacek Przybylski

Mimo miliardów wydanych na „500+" w 2022 r. w Polsce przyszło na świat najmniej dzieci od czasów drugiej wojny światowej. Doświadczenia wielu krajów, nie tylko w Europie, pokazują jasno, że samo rozdawnictwo w dłuższym terminie wcale nie zachęca młodych do zakładania rodzin i rodzenia dzieci

Kiedy ponad siedem lat temu, 1 kwietnia 2016 r., rząd wprowadzał pierwszą wersję sztandarowego programu społecznego Zjednoczonej Prawicy, świadczenie „500" miało spełniać dwa oficjalne cele: zwiększyć dzietność Polek i zmniejszyć poziom ubóstwa wśród rodzin z dziećmi. Był też oczywiście cel trzeci: zasiłek miał zapewnić trwały wzrost poparcia dla obozu rządzącego.

O tym, że ostatni cel udało się zrealizować, świadczy to, że Zjednoczona Prawica ma sporą szansę na wygranie tegorocznych wyborów i rozpoczęcie trzeciej kadencji z rzędu. Nawet najwięksi krytycy obecnego rządu muszą również przyznać, że program przyczyniał się też – zwłaszcza w warunkach niskiej inflacji – do znaczącego zmniejszenia ubóstwa wśród rodzin z dziećmi (choć ten efekt można było osiągnąć taniej). – Wciąż musimy robić wszystko, co możliwe, aby likwidować ubóstwo. To uda się zrobić. Potrzebujemy jeszcze dwóch kadencji – podkreślał więc przed rokiem lider Prawa i Sprawiedliwości. W połowie maja obecnego roku prezes Jarosław Kaczyński obiecał zaś, że od 2024 r. świadczenie wychowawcze „Rodzina 500+" zostanie podniesione do 800 zł. Według wstępnych szacunków ekonomistów zwiększy to koszty masowego rozdawnictwa z ok. 42 mld zł obecnie do ok. 65 mld zł.

CZEMU NIE „1000+"?

Nie jest to niespodzianka. Siła nabywcza świadczenia wypłacanego bez względu na dochody rodziny topnieje coraz bardziej od czasu, gdy w 2021 r. inflacja w Polsce zaczęła gwałtownie przyspieszać. Brak waloryzacji byłby więc de facto zgodą na realne wygaszanie programu. Przedwyborcza obietnica zwiększenia wypłat aż o 60 proc. prawdopodobnie przyczyni się więc do rozmnożenia głosów wspierających rząd w jesiennych wyborach, choć wiadomo, że zadziała proinflacyjnie (najmocniej odczują to najbiedniejsi). Małych Polaków od tego jednak nie przybędzie. I muszą to wiedzieć zarówno rząd, jak i opozycja. Donald Tusk na populistyczne zapowiedzi rządu

eprasa.pl dced4af17a

nie odpowiedział jednak propozycją skutecznego programu prodemograficznego. Wystąpił jedynie z kuriozalnym apelem do władz, by świadczenia podnieść do 800 zł już od 1 czerwca. Mając świadomość, że program rozdawnictwa politycznie jest już nie do ruszenia, Tusk czy inny przedstawiciel opozycji mógłby zapowiedzieć program w stylu „1000+" w formie bezwarunkowego dochodu podstawowego dla każdego.

Statystycy i demografowie nie zostawiają złudzeń: wprowadzenie programu w Polsce jedynie początkowo przyczyniało się do wzrostu dzietności. „Program od jego wprowadzenia do końca 2017 r. w skali miesiąca zwiększył urodzenia o 4,5 proc., co przełożyło się na średnio 1420 dodatkowych urodzeń w każdym miesiącu. Co oznacza, że jedno urodzenie wiązało się z wydatkowaniem prawie 1,4 mln zł" – ocenili Sławomir Bartnicki i Maciej Alimowski na łamach wydawanych przez Polską Akademię Nauk „Studiów Socjologicznych". „W połowie 2019 r., czyli w momencie rozszerzenia świadczeń na pierwsze dzieci, program nie wykazywał już wpływu na urodzenia" – dodali Bartnicki i Alimowski, dodając, że nawet do końca 2017 r. program nie wpływał na decyzję o posiadaniu pierwszego dziecka, ale najsilniej oddziaływał na decyzję o piątym, trzecim, czwartym i drugim potomku.

Politycy PiS przekonują, że o porażce programu nie ma mowy, Polska w tzw. pułapkę demograficzną wpadła przez zaniedbania poprzedników, a bez „500+" sytuacja byłaby jeszcze gorsza. Taką retorykę ułatwia rządzącym to, że świadczenie wprowadzili w sposób, który de facto rzeczywiście uniemożliwia jego efektywność w roli instrumentu pronatalistycznego.

DEPRESJA URODZINOWA

Nawet członkowie rządu mają świadomość, że sztandarowy program jest programem socjalnym, stanowiącym formę dochodu podstawowego, a nie prodemograficznym. – [Urodzenia diametralnie] nie wzrosły i nie wzrosną. Powiem więcej, one spadną. Ponieważ coraz mniej kobiet może te dzieci rodzić – przyznała na antenie Radia Wnet wiceszefowa resortu rodziny, pracy i polityki społecznej oraz pełnomocniczka rządu ds. demografii Barbara Socha już w 2020 r. I mówiła prawdę.

Współczynnik dzietności w Polsce wynosił w 2020 r. ok. 1,38. W 2021 r. spadł do 1,33 (na świat przyszło w Polsce 331,5 tys. noworodków). W 2022 r. współczynnik dzietności wyniósł zaś zaledwie 1,261.

W ubiegłym roku liczba urodzeń w Polsce zmalała według GUS do zaledwie 305 tys., z czego ponad 15 tys. urodziły w Polsce cudzoziemki (w tym tylko Ukrainki urodziły niemal 14 tys.). W połączeniu z drastycznym skokiem liczby zgonów w ostatnich latach można więc napisać krótko: Polska wymiera. Demografowie od lat przypominają zaś i ostrzegają, że prostą zastępowalność pokoleń zapewnia współczynnik dzietności wynoszący od 2,10 do 2,15.

Na początku lat 60. XX w. dzietność w Polsce przekraczała 2,5, w latach 1965–1985 wynosiła ok. 2,3, a powyżej poziomu 2,0 ostatni raz była w roku 1991. Od tego czasu zmieniły się nie tylko ustrój, lecz także priorytety życiowe młodych, co skutkuje znaczącym podwyższeniem wieku, gdy kobiety najczęściej rodzą dzieci. Dzietność w Polsce systematycznie maleje i będzie maleć m.in. dlatego, że proces starzenia się kobiet z okresu wyżu demograficznego z lat 70. i 80. prowadzi do spadku liczby Polek w wieku prokreacyjnym.

WALKA O DZIECI

W 2021 r. w UE gorzej niż w Polsce sytuacja wyglądała jedynie na Malcie (1,13), w Hiszpanii (1,19) oraz we Włoszech (1,25), podczas gdy Francuzi mogli pochwalić się wskaźnikiem dzietności całkowitej na poziomie 1,84 żywych urodzeń na kobietę, Czesi 1,83, Rumuni 1,81, Słowacy 1,63, a Węgrzy 1,61.

Dramatycznie niska dzietność i szybko starzejące się społeczeństwa sprawiają, że rządy na różnych kontynentach toczą intensywną walkę o dzieci, a w perspektywie po prostu o ludzi, którzy będą zdolni do wytwarzania produktów, świadczenia usług i wspierania rozwoju gospodarczego. Przegrani w tej wojnie mogą na zawsze pożegnać się z dobrobytem lub ratować się ryzykownym „importem" cudzoziemców. Jeszcze gorsza sytuacja niż w Europie jest w Azji, gdzie wskaźnik dzietności w wielu krajach spadł poniżej poziomu 1,0.

Wiadomo jednak, że samo rządowe rozdawnictwo, nawet jeśli pieniądze wpływają na konta rodziców regularnie co miesiąc, nie wystarcza, aby choćby istotnie zmniejszyć tempo depopulacji. Wniosek ten dotyczy zresztą nie tylko Polski, lecz także takich krajów jak Singapur, Japonia czy Korea Południowa. Jak zauważa BBC, dane z tych trzech ostatnich krajów pokazują, że wypłacanie zasiłków rodzicom, dodatkowe przedszkola czy zachęty podatkowe w skali kilku ostatnich dekad przyniosły bardzo niewielki skutek. – Na podstawie danych historycznych wiemy, że polityka, którą nazywamy inżynierią demograficzną, polegająca na zachęcaniu kobiet do posiadania większej liczby dzieci, po prostu nie działa – powiedziała BBC Alanna Armitage z Funduszu Ludnościowego ONZ.

SINGLE PASOŻYCI

Singapur pierwsze systemowe rozwiązania mające wspierać płodność zaczął wprowadzać w 1987 r. Do płodzenia potomstwa zachęcają młodych nie tylko pieniądze, lecz także postacie z bajek. Podczas pandemii rząd oferował zaś dodatkowe jednorazowe zapomogi dla rodziców nowo narodzonych dzieci, aby nie odkładali na później decyzji o posiadaniu dzieci. Mimo wysiłków władz współczynnik dzietności w tym bogatym kraju spadł w 2022 r. do poziomu 1,05.

Japonia politykę prorodzinną, zachęcającą do posiadania jak największej liczby dzieci, utrzymuje od lat 90. I chociaż japoński resort finansów przyznał w opublikowanym w 2020 r. raporcie, że stosowane zachęty nie działają, to szef rządu w Tokio Fumio Kishida w alarmującym tonie ogłosił, że z powodu spadającego wskaźnika urodzeń (1,34) kraj znalazł się na skraju niezdolności do funkcjonowania jako społeczeństwo. W liczącym 125 mln mieszkańców Kraju Kwitnącej Wiśni w ubiegłym roku na świat przyszło zaledwie 800 tys. dzieci, podczas gdy jeszcze pół wieku temu rocznie rodziły się ponad 2 mln Japończyków. Wśród przyczyn takiego stanu rzeczy wymienia się rosnące koszty utrzymania, a także coraz większą liczbę kobiet studiujących lub robiących karierę zawodową oraz

eprasa.pl dced4af17a

coraz łatwiejszy dostęp do antykoncepcji. Rząd w Tokio powołał w tym roku nową Agencję ds. Dzieci i Rodzin. Władze szykują się też do podwojenia wydatków na zwiększanie dzietności i wprowadzenia nowych ulg podatkowych. Zdaniem premiera najbliższe sześć–siedem lat to ostatni moment na odwrócenie trendu i doprowadzenie do zwiększenia liczby urodzeń. Mimo starań rządu młodzi „single pasożyci", o których socjolog Masahiro Yamada pisał już w latach 90., mają inne plany. Zamiast rodzin wolą przyjemności. Kilkanaście procent singli w wieku 18–34 lata deklaruje, że nie planuje nigdy wziąć ślubu. Jednocześnie z roku na rok zmniejsza się deklarowana liczba dzieci, które chcieliby posiadać młodzi Japończycy.

Korea Południowa do grona państw płacących za posiadanie dzieci dołączyła w roku 2000. Prezydent tego kraju Yoon Suk-yeol ogłosił niedawno, że polityka prorodzinna kosztowała podatników ponad 200 mld dol. w ciągu ostatnich 16 lat. Mimo to współczynnik dzietności w 2022 r. spadł w tym kraju do poziomu wynoszącego zaledwie 0,78, czyli najniższego ze wszystkich krajów świata. Jednocześnie do 33,5 roku wzrósł średni wiek, w którym Koreanki decydują się na posiadanie potomstwa. Niewiele dają nie tylko finansowe zapomogi, lecz także wydłużanie płatnych urlopów ojcowskich czy prezenty dla młodych rodziców. Ponieważ za jedną z przyczyn malejącej liczby urodzeń uznaje się wymagającą kulturę pracy, władze w Seulu chcą zwiększyć legalną liczbę godzin, które można przepracować w tygodniu z 52 do 69. Wszystko po to, aby pracownicy mogli łatwiej gromadzić nadgodziny (standardowy tydzień pracy to 40 godzin), a w wolnym czasie zadbać o zakładanie rodzin. Zdaniem opozycji to jednak prosta droga „do wymarcia narodu". Tymczasem wielu koreańskich emerytów już dziś musi dorabiać, bo średnia emerytura wynosi zaledwie jedną trzecią płacy minimalnej.

KLĄTWA BEZDZIETNOŚCI

Sposobów na poradzenie sobie z sytuacją demograficzną szukają też Chińczycy, którzy na początku tego roku poinformowali publicznie, że pierwszy raz od lat 60. ubiegłego wieku zaobserwowano w ich kraju spadek populacji. W Państwie Środka stale maleje też liczba nowych małżeństw. A coraz większa liczba młodych albo zupełnie rezygnuje z posiadania dzieci, albo opóźnia decyzję o założeniu rodziny. W Hongkongu dzietność spadła do poziomu 0,8 nie z powodu biedy, ale zmiany podejścia do życia. Wiele osób nie chce mieć dzieci, woli np. adoptować koty. „South China Morning Post" informuje, że młodzi nie czują obowiązku „przedłużania rodu", a zamiast nazywać się bezdzietnymi, chełpią się, iż są „wolnymi od dzieci".

Według ostatniego ONZ-owskiego raportu „World Population Policies", choć nadal w Afryce są kraje, którym zależy na ograniczaniu liczby urodzin, liczba państw, które chcą zwiększyć dzietność – głównie z Europy, Ameryki Północnej oraz Azji – potroiła się od 1976 r. Niestety, nie ma na to sprawdzonej recepty. Zdaniem ekspertów same programy wsparcia typu „500+" na pewno nie rozwiążą problemu, nawet jeśli potencjalni rodzice uwierzą, że będą mogli liczyć na stałe wsparcie finansowe. Ważne jest też wprowadzanie ułatwień umożliwiających coraz lepiej wykształconym kobietom łączenie kariery zawodowej i macierzyństwa, zapewnienie dostępu do żłobków, przedszkoli oraz mieszkań. Jednak i one niczego nie gwarantują. Istotna jest także „promocja" rodzicielstwa w taki sposób, aby stało się ono atrakcyjne dla młodych.

0,78

ZALEDWIE TYLE WYNOSIŁ W 2022 R. WSKAŹNIK DZIETNOŚCI W KOREI POŁUDNIOWEJ

DZIECI FAJNIEJSZE NIŻ PODRÓŻE?

Na Węgrzech współczynnik dzietności spadł do rekordowo niskiego poziomu wynoszącego 1,23 w 2011 r. Rząd w Budapeszcie od lat konsekwentnie prowadzi więc bardzo kosztowną politykę prorodzinną. Gabinet premiera Viktora Orbána szczyci się tym, że na wsparcie rodzin wydaje ok. 5 proc. PKB, czyli niemal dwukrotność średniej krajów OECD. „Naszym celem jest pomaganie z wykorzystaniem wszystkich dostępnych narzędzi, aby narodziły się wyczekiwane dzieci, wszak dzisiaj młodzi ludzie chcieliby mieć więcej dzieci, niż ostatecznie się decydują" – pisała w grudniu 2021 r. na łamach miesięcznika „Wszystko Co Najważniejsze" obecna prezydent Węgier Katalin Novák.

Węgry nie ograniczyły się jednak do rozdawania zasiłków. Rząd w Budapeszcie zamiast tego zmodyfikował np. prawo podatkowe, zachęcając małżeństwa do posiadania potomstwa przy jednoczesnym podejmowaniu pracy (co doprowadziło do rekordowej liczby pracujących nad Dunajem). Prorodzinny system podatkowy sprawia, że węgierskie rodziny płacą tym niższą daninę, im więcej dzieci wychowują. W praktyce para pracujących rodziców o średnich przychodach wychowująca troje dzieci zasadniczo nie płaci w ogóle podatku dochodowego. Na wzór polski również osoby do 25. roku życia nie muszą płacić PIT.

Aby Węgierki nie musiały wybierać między karierą a macierzyństwem, młode matki mogą zostać z dzieckiem do ukończenia przez nie trzeciego roku życia lub wrócić wcześniej do pracy, nie tracąc prawa do zasiłków rodzinnych. Węgrzy chcący założyć rodzinę mogą też liczyć na pokaźną ulgę mieszkaniową, pożyczkę mieszkaniową dla rodzin oraz dopłaty zmniejszające zadłużenie hipoteczne (ich wysokość zależy od liczby dzieci). Władze w Budapeszcie zrozumiały jednak, że nie chodzi tylko o pieniądze. Nie tylko ekonomicznie, lecz także prawnie i kulturowo wspierają więc one tradycyjne małżeństwa (efektem są podwojenie w ciągu dekady liczby zawieranych małżeństw i spadek liczby rozwodów do najmniejszej od 60 lat). Skutek: choć Węgrów nadal ubywa, to od 2016 r. tempo wymierania przynajmniej zmalało. Władze tworzą więc całościową narrację, która w profesjonalny sposób „sprzedaje" koncepcję małżeństwa i rodzicielstwa w sposób, który dla młodego pokolenia staje się atrakcyjną alternatywą do nieustannych podróży po świecie i bycia „singlem" przez całe dorosłe życie. Na wielkich billboardach nad Dunajem co jakiś czas zobaczyć więc można uśmiechnięte i zakochane pary młodych, którzy są szczęśliwi, bo założyli rodzinę. Oby zadziałało…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Ile kosztują wyborcy?

Beznadziejne liczykrupy bez przerwy rachują i rachują, ileż to trzeba wydać, żeby kupić tak dużo wyborców, aby móc wygrać w Polsce wybory.

A czynią to w kontekście ostatnich zakupów, których na rynku wyborczym od lat, lecz ostatnio zdecydowanie „jeszcze bardziej", bezceremonialnie – wręcz pakietowo – dokonują liderzy PiS, a od pewnego czasu także Platformy (ale nie tylko oni, nie tylko oni). I oczywiście politykom obu tych partii robią z tego potężny zarzut. A więc rzeczone liczykrupy rachują i rachują, a potem straszą i straszą – głównie drugą Grecją (rzecz jasna, w Polsce) albo drugą Argentyną (też w Polsce).

Wszelako przytłaczającej większości Polaków ten przedwyborczy wyścig głównie PiS i Platformy na obietnice rozdania wyborcom wszystkiego 100 lat naprzód i zadłużenia na to konto już nie tylko nas, naszych dzieci i wnuków, lecz także prawnuków i praprawnuków bardzo – i to jak bardzo! – się podoba.

A zatem według sondażu United Surveys dla RMF FM aż 71,8 proc. wyborców chce zrealizowania obietnicy wprowadzenia renty wdowiej (Lewica), 69,8 proc. – bezpłatnych leków dla seniorów oraz dzieci i młodzieży (PiS), 67 proc. – podniesienia kwoty wolnej od opodatkowania do 60 tys. zł (Platforma), 61 proc. – wprowadzenia „babciowego" (Platforma), 53,1 proc. – zrewaloryzowania „500+" do „800+" (PiS).

Albowiem – powiedzmy sobie szczerze – znakomita większość owej znakomitej większości Polaków ni w ząb nie pojmuje, że politycy obiecują rozdanie im nie swoich pieniędzy, czyli pieniędzy pochodzących z oszczędności polityków; politycy obiecują wyborcom rozdanie im ich własnych pieniędzy – pieniędzy wyborców; obiecują wyborcom rozdanie tych samych pieniędzy, które im wcześniej zabiorą za pomocą podatków VAT, PIT, CIT i całego mnóstwa innych, a ostatnio także wielkiego podatku inflacyjnego. Tak jak od zawsze co dnia zabierają im na przeróżne, wymyślone przez siebie m.in. w celu kupienia wyborców zasiłki typu „500+".

I w dodatku bez żadnych skrupułów dorzucą do tego swoją marżę za to zabranie im i potem oddanie – już tylko części – zabranych im pieniędzy. A właściwie dwie marże, bo oprócz politycznej – w postaci ich poparcia w wyborach – także finansową, czyli po prostu część pieniędzy zabranych w postaci podatków, z których wypłacać sobie będą – tak jak to i teraz czynią – przyznane sobie pensje i inne gratyfikacje.

W tej sytuacji pierwsze wybory, na których wygranie może liczyć chyba jedyna antyrozdawniczo nastawiona Konfederacja, odbędą się dopiero po kolejnym (kolejnym po tym z lat 80. XX w.) bankructwie Polski. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zwyczajnie złe

Życie publiczne w ryzach trzymają wcale nie zasady spisane w aktach prawnych, ale te niepisane. To one są najważniejsze, bo wszyscy z własnej woli się zgadzają, że trzeba ich przestrzegać. W tym leży ich siła.

Wydawało się, że jedną z takich zasad jest, iż nie wykorzystuje się dla bieżących korzyści jakichkolwiek skojarzeń z niemieckimi obozami zagłady, których wspólnym symbolem jest Auschwitz. Jeśli ktoś tę regułę łamał – tak jak kilka lat temu choćby działacze prozwierzęcy, którzy zrobili w Warszawie happening sugerujący, że hodowlane zwierzęta są jak więźniowie obozu koncentracyjnego – to spotykał się z właściwie powszechnym potępieniem.

Coś się w PiS zepsuło. Dotąd partia Jarosława Kaczyńskiego miała zdolność do autorefleksji

Teraz wydarzyło się coś zadziwiającego: PiS, jak się zdaje, odjęło rozum. Najpierw był oburzający, ale potem skasowany tweet Tomasza Lisa, który jednak wprost nie przywoływał wizerunku obozu koncentracyjnego w kontekście polityków partii rządzącej. Następnie jednak PiS postanowił uderzyć w marsz PO 4 czerwca i odwołując się do wpisu Lisa, stworzył czysto kampanijny spot, wykorzystując najbardziej znane wizerunki Auschwitz. W dodatku, jak się potem okazało, korzystając bez zezwolenia z cudzego materiału.

Potem było jeszcze dziwniej. Partia Jarosława Kaczyńskiego nie wyciągnęła wniosku z krytyki, płynącej tym razem również ze strony własnych wyborców i wielu przychylnych komentatorów, lecz włączyła opcję „słychać wycie – znakomicie". Na pierwszą linię wysłano w dodatku osoby tak skompromitowane, jak Michał Moskal, „młoda nadzieja PiS", który swego czasu był twarzą „piątki dla zwierząt", która doprowadziła prawie do upadku koalicji.

Coś się w PiS zepsuło. Dotąd, nawet jeśli tak żenujące i potencjalnie bardzo szkodliwe wpadki się zdarzały, partia Jarosława Kaczyńskiego miała zdolność do autorefleksji (wprawdzie motywowanej zimnym pragmatyzmem) i szybkiego wycofania się z błędnej drogi. Tym razem postanowiono brnąć w coś całkowicie nie do obrony.

Utrata instynktu samozachowawczego? Wynik wewnętrznej dezorganizacji? Desperacja? A może przekalkulowanie, że tym razem ośli upór oznacza mniejsze straty? Nie wiem i, prawdę mówiąc, nie chce mi się zastanawiać. Wiem tyle, że to, co PiS pokazał, jest zwyczajnie złe. ©℗

eprasa.pl dced4af17a

Adrian Pierwszy Wielki

Adrian Meronk z pucharem po niedawnym zdobyciu mistrzostwa Włoch

FOT. ANDREW MEDICHINI/AP/EAST NEWS

Łukasz Majchrzyk

Chociaż golf w Polsce nie ma wielkich tradycji, to Adrian Meronk odważnie przebija się do światowej czołówki

Tego jeszcze nie było. Na początku kwietnia Polak zagrał w najbardziej prestiżowym turnieju golfowym na świecie. Na polu Augusta National Golf Club można było zobaczyć najlepszych zawodników globu, choćby słynnego Tigera Woodsa, a wśród nich Adriana Meronka. Sama szansa gry o prawo do założenia zielonej marynarki, którą na rok dostaje zwycięzca The Masters, była wielkim wydarzeniem, choć trzeba uczciwie przyznać, że Polak nie znajdował się w gronie faworytów imprezy.

Na takie wyróżnienie trzeba ciężko zapracować, być na odpowiednio wysokiej pozycji w światowym rankingu i jeszcze do tego dostać zaproszenie. Meronk udział w tej imprezie zapewnił sobie pod koniec zeszłego roku, kiedy znalazł się wśród 50 najlepszych golfistów na świecie. Osiągnięcie jest tym większe, że wszystkie szlaki 29-letni golfista przeciera sobie sam. Wielkich tradycji golfowych nad Wisłą brakuje, bo przecież w czasach słusznie minionych państwo nie było zainteresowane promowaniem sportu kojarzącego się z arystokracją czy ogólnie wyższymi sferami.

DOBRA WRÓŻBA

Kiedy Adrian Meronk zaczynał karierę, nie było się na kim wzorować czy kogo spytać o radę. Nie tak dawno nie było jeszcze zbyt wielu pól, na których można by ćwiczyć uderzenia. Nic dziwnego, że każdy sukces, na który ciężko pracuje, osiąga jako pierwszy Polak w historii.

Jeśli ktoś kochał tę dyscyplinę, to czasami był skazany na wielokilometrowe podróże w weekendy, żeby tylko powbijać piłkę do dołka. Pół biedy, jeśli było tak, jak w rodzinie państwa Meronków, gdy syn połknął bakcyla po ojcu i nosił za nim kije. Można było takie eskapady traktować jak świetną, rodzinną wycieczkę, ale na pewno utrudniało to podnoszenie poziomu gry.

To w ogóle może się wydać dziwne, że w kraju, w którym najczęściej marzyło się i marzy dalej o karierze piłkarza albo siatkarza czy choćby koszykarza (na skoczka narciarskiego Adrian Meronk jest za wysoki), młody chłopak pokochał golfa, kojarzącego się ze sportem dojrzałych panów.

Wielka w tym zasługa jego ojca Andrzeja, który sam amatorsko uprawiał tę dyscyplinę. Zakochał się w golfie w Niemczech, gdzie wyjechał za pracą w latach 80. Tam moda na tę dyscyplinę dotarła wcześniej niż do Polski, jeszcze wtedy robotniczo-chłopskiej, a Niemcy mieli nawet swojego bohatera Bernharda Langera. Adrian urodził się jeszcze w Hamburgu w 1993 r., ale już w połowie lat 90. rodzina była z powrotem w Polsce i mieszkała pod Poznaniem.

Stamtąd co weekend jeździła na pole do Binowa pod Szczecinem, żeby tylko pograć w turnieju lub choćby potrenować. Meronk senior był tak zakochany

eprasa.pl dced4af17a

w golfie, że każdy wyjazd rodzinny na wakacje był temu podporządkowany, ale to chyba jakoś nikomu w domu nie przeszkadzało, a już na pewno nie małemu Adrianowi, który w końcu sam spróbował. Podobno kiedy pierwszy raz machnął kijem, skończyło się rozbiciem szyby w domu. Rodzice zapewne długo się nie gniewali, a teraz, gdy syn wchodzi do elity tego sportu, jest co wspominać i można to uznać za dobrą wróżbę.

DROGA DO ZAWODOWSTWA

Oczywiście nie było tak, że młody chłopiec od razu postawił wszystko na wbijanie piłki do dołka. Przez kilka lat nosił torby za tatą, a równocześnie trenował sporty drużynowe (ma 195 cm wzrostu, więc dobre warunki do koszykówki czy siatkówki). Sam jednak stwierdził, że dzielenie się piłką i odpowiedzialnością nie jest dla niego, bo za bardzo denerwował się np., gdy ktoś mu nie podał. Wolał wszystko robić sam, być zależnym tylko od siebie i ewentualnie tylko do siebie mieć pretensje. Golf nadawał się do tego idealnie.

W rozwoju kariery (wtedy jeszcze tylko pasji) pomogła też przeprowadzka do Wrocławia w pobliże Toya Golf and Country Club w Krynicznie. Tam trafił na trenera Matthew Tippera. Walijczyk uczył Polaków, jak powinna wyglądać gra w golfa, a że widział też, jak rozwijają się kariery zawodowców, zaczął namawiać chłopaka na studia i treningi w USA, chociaż Adrian miał przed sobą jeszcze kilka lat nauki w liceum. Ostatecznie wybrał uczelnię ze stanu Tennessee, gdzie może nie było wielkiego świata, blichtru i ciekawych atrakcji, ale za to doświadczony trener Fred Warren i doskonały ośrodek golfowy, gdzie można było trenować, ile tylko się chciało. Wprawdzie przepisy ligi uniwersyteckiej NCAA zabraniały uczelniom wymagania od studentów więcej niż 20 godzin treningów tygodniowo, ale Polacy (rok później do Meronka dołączył Mateusz Gradecki) z własnej woli dokładali drugie tyle.

Chwalił ich za to trener, który był zbudowany tym, że Meronk i Gradecki niemal codziennie poświęcają czas na zajęcia fitnessowe. Jak mówi najlepszy polski golfista, dzisiaj bez doskonałej kondycji nie da się osiągnąć w tym sporcie sukcesów, a światowa czołówka to po prostu znakomici atleci. Podczas gry jednego dnia trzeba przejść ok. 14 km, a do tego utrzymać koncentrację i mięśnie w odpowiedniej formie, bo uderzanie małej piłki długim kijem nie jest naturalnym ruchem dla ciała człowieka.

Pierwsze sukcesy zapowiadające, że kariera może się potoczyć w pożądanym kierunku, przyszły już na studiach. Wygrywał w turniejach ligi NCAA, był wybierany do drużyny studentów europejskich, którzy grali z Amerykanami o Puchar Palmera. Potrafił pokonać nawet Golfistę Roku I Dywizji NCAA, czyli najwyższego poziomu w rozgrywkach uniwersyteckich. Kiedy skończył studia, zdecydował, że przechodzi na zawodowstwo i – jak się okazało – była to bardzo dobra decyzja.

Przebicie się w świecie golfa nie jest łatwe. Można to śmiało porównać do tenisa, gdzie chętnych na odniesienie sukcesu, utalentowanych i zdeterminowanych zawodników jest bardzo wielu. Porównywalne są też zarobki, a nagrody mogą zawrócić w głowie. W turnieju Arnold Palmer Invitational z cyklu PGA Tour (liga amerykańska, najbardziej prestiżowa na świecie), gdzie Adrian Meronk zagrał na zaproszenie na początku marca, do podziału było 20 mln dol., z czego dla zwycięzcy przeznaczono 3,6 mln dol. Takie sumy działają na wyobraźnię, a przecież ten turniej, choć bardzo prestiżowy, to jeszcze nie jest sam szczyt. Najwyżej w hierarchii są cztery turnieje Wielkiego Szlema (kolejne, słuszne skojarzenie z tenisem). Nawet jednak już na niższym poziomie rywalizacji (w European Challenge Tour), gdzie Meronk zaczynał jako zawodowiec, pula nagród potrafi wynosić po kilkaset tysięcy dolarów.

SPEŁNIANE MARZENIA

Poprzedni rok był dla polskiego golfisty niezwykle udany. Zaczynał go z postanowieniem wejścia do najlepszej setki światowego rankingu, a ten cel zrealizował już latem. Wszystko stało się dzięki świetnej grze i wynikom, które na pewno zostały zauważone w świecie golfowym. Wiele dało mu trzecie miejsce w Holandii, a dobry występ w Dutch Open zostanie zapamiętany jeszcze z jednego powodu. Ostatniego dnia Polak musiał wybijać piłkę z wody, stojąc w niej boso, a że stało się to na oczach wielu kibiców, to Internet momentalnie obiegły efektowne filmiki.

Świetny występ w turnieju Dutch Open oznaczał, że Meronk zakwalifikował się do 150. edycji turnieju The Open, rozgrywanego na polach St. Andrews, czyli tam, gdzie golf właściwie się narodził. O występie w tej edycji marzył każdy golfista na świecie, a biletów na kilka dni rywalizacji sprzedano ok. 300 tys.

Przed samym turniejem Meronk miał okazję spełnić jeszcze inne marzenie. Podczas treningu przy jednym z dołków spotkał Tigera Woodsa, spytał, czy może dołączyć, i tak odbył krótki trening z chyba najbardziej znanym golfistą w historii. Takie wydarzenia budują rozpoznawalność w świecie golfa, a to bardzo ważne, gdy w elicie jest się ciągle nowicjuszem i trzeba udowadniać swoją wartość na każdym kroku.

Może dzięki dobrej postawie Adriana Meronka kolejnym Polakom będzie trochę łatwiej, może wzrośnie też popularność samej dyscypliny. On sam uważa, że burzy mury. Już nikt nie robi wielkich oczu na wieść o tym, że Polak gra w golfa na wysokim poziomie. Niedawno wygrał mistrzostwa Włoch i zachwycały się nim tamtejsze media.

Najlepszy polski golfista bardzo chciałby zwiększyć popularność sportu, który reklamuje jako doskonały sposób na spędzanie czasu, i pokazuje przykład USA, gdzie za kilkanaście dolarów można się bawić przez cały dzień ze znajomymi na świeżym powietrzu. Meronk zaprzecza też, że jest to sport jedynie dla bogatych, i twierdzi, że na podstawowym poziomie wcale nie trzeba wydawać majątku, żeby zacząć się bawić. A frajdę może mieć cała rodzina.

Na razie skutecznie miłością do golfa udało mu się zarazić również pochodzącego z Wrocławia żużlowca Macieja Janowskiego. Grał także z najlepszym polskim tenisistą Hubertem Hurkaczem, który pokochał golf podczas pobytu na Florydzie. Obaj panowie mieszkali nawet razem w apartamencie w wiosce olimpijskiej podczas igrzysk w Tokio. Hurkacz jest już w najlepszej dziesiątce światowych tenisistów, Meronk dopiero zmierza w tym kierunku w gronie golfistów, ale patrząc na to, jak profesjonalnie podchodzi do swojej kariery, można mieć nadzieję, że kiedyś i ten cel uda mu się zrealizować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dced4af17a

OPEL GRANDLAND 1.5 DIESEL

Największy SUV w rodzinie Opla po udanym liftingu wygląda już całkiem nieźle. Dzięki wysokoprężnemu silnikowi jest ekonomiczny. A we wnętrzu ma wystarczająco dużo przestrzeni zarówno na nogi, jak i nad głową. Dodatkowo ergonomiczne, profilowane fotele z certyfikatem AGR pozwalają na długie, wygodne podróże. Nie jest to oczywiście najbardziej dynamiczny SUV na polskim rynku, ale dla głowy rodziny szukającej kompaktowego SUV-a w całkiem rozsądnej cenie mierzący 4,5 m długości Grandland (dawny Grandland X) może się okazać optymalnym wyborem. Zwłaszcza jeśli rodzina lubi dalekie weekendowe podróże.

Testowany model z 1,5-litrowym silnikiem Diesla płynnie współpracuje z automatyczną, ośmiostopniową skrzynią biegów. W teorii 130 KM ukrytych pod maską i 11 s od zera do setki to nie są wymarzone liczby dla miłośników mocnych wrażeń za kółkiem. W praktyce auto pozwala jednak na wystarczająco dynamiczną jazdę zarówno po miejskich uliczkach, jak i po autostradach (do przepisowej prędkości maksymalnej). Dzięki dopracowanemu układowi kierowniczemu auto w trybie „sport" potrafi dać kierującemu frajdę z jazdy i umożliwia np. dynamiczne pokonywanie serpentyn (choć nie należy przesadzać, bo nadwozie potrafi się nieco przechylać).

Kabina została dobrze wyciszona i nie słychać, że podróżuje się z dieslem pod maską. Powody do zadowolenia są też na stacji benzynowej. Podczas jazdy na autostradzie Grandland spala ok. 7 l/100 km, na drogach krajowych ok. 5,2 l, a w mieście ok. 7,3 l/100 km. Przy oszczędnym obchodzeniu się z pedałem gazu można więc na jednym tankowaniu przejechać niemal 1 tys. km.

Plusem nowej wersji są też nowoczesne technologie, które pojawiły się po liftingu. Są więc kamery (przednia i tylna). Auto jest uzbrojone w system ostrzegający przed przeszkodą w bliskiej odległości od pojazdu, a także w układ odciążający nieco kierowcę podczas podróży po autostradzie. Wystarczy aktywować adaptacyjny tempomat, a komputer automatycznie będzie utrzymywał Grandlanda pośrodku pasa ruchu, zachowując bezpieczną odległość od pojazdu poprzedzającego.

Kierowca ma do dyspozycji dwa ekrany: jeden 12-calowy i drugi 10-calowy do obsługi multimediów. Na tym pierwszym prezentowany jest (po doposażeniu auta w system noktowizyjny) obraz z kamery noktowizyjnej, który pomaga po zapadnięciu zmroku dostrzec pieszych i zwierzęta w odległości do 100 m przed pojazdem. W tej półce cenowej taka technologia to rzadkość.

W wersji podstawowej (Business Edition) z silnikiem benzynowym 1,2 turbo z manualną skrzynią za Grandlanda zapłacić trzeba 142,7 tys. zł. Model z 1,5-litrowym silnikiem Diesla w najbogatszej wersji wyposażenia z ośmiobiegowym automatem Business Elegance kosztuje 174,1 tys. zł. Testowy egzemplarz, doposażony m.in. w pakiet zimowy czy tuner radia cyfrowego, wyceniony był zaś na 178,5 tys. ©℗

WIDEOREJESTRATOR MIO MIVUE 848

Znakomita jakość nagrań w dzień i dobra w nocy, HDR, wi-fi, a także darmowy dostęp do bazy danych o fotoradarach i drogach objętych odcinkową kontrolą prędkości – to największe zalety wideorejestratora z wyższej półki firmy Mio.

Niewielkich rozmiarów kamerka ma czytelny ekran o wysokiej rozdzielczości i przekątnej 2,7 cala. To sporo, bo na rynku wiele jest wideorejestratorów z ekranem o wielkości 2 cali. Oczywiście najczęściej i tak nagrania ogląda się na monitorze komputera, ewentualnie smartfona (dlatego jedną z zalet testowanego wideorejestratora jest możliwość szybkiego zgrania nagrań na telefon za pomocą wi-fi bez konieczności wyjmowania karty microSD), ale w życiu kierowcy zdarzają się sytuacje, gdzie szybkie udowodnienie, co naprawdę zaszło, ułatwia innym użytkownikom dróg szybkie wycofanie się z fałszywej wersji zdarzeń.

Model 848 szybko i łatwo mocuje się do szyby. Największą zaletą testowanego urządzenia jest matryca Sony STARVIS CMOS. To dzięki niej obraz rejestrowany w dzień jest bardzo wysokiej jakości. Filmiki nagrywane są z prędkością 60 kl./s w rozdzielczości Full HD (1920 x 1080 pikseli). Nagrania dokonywane w dzień są płynne i pełne szczegółów. W nocy zadanie jest dużo trudniejsze. Aby poprawić jakość nagrań przy zachodzie słońca czy po zapadnięciu zmroku, producent zastosował w tym modelu aktywny HDR (dosłownie „High Dynamic Range", czyli szeroki zakres dynamiki obrazu) – który działa jednak tylko przy zapisie z prędkością 30 kl./s – a także technologię Mio Night Vision Pro, która polepsza jakość nagrań dokonywanych nie tylko w nocy, lecz także np. podczas obfitych opadów deszczu. Rzeczywiście szumów jest wyraźnie mniej. Oczywiście tablice rejestracyjne nadal nie są na nagraniach widoczne tak dobrze jak w dzień, ale – w przeciwieństwie do tańszych kamerek – mimo odblasków przynajmniej część tablic rzeczywiście da się odczytać.

Plusem jest też bezpłatnie aktualizowana baza fotoradarów oraz odcinkowych pomiarów prędkości. Urządzenie oferuje też funkcje podstawowego asystenta pasa ruchu czy jazdy w korkach.

Wady? Mio z uporem maniaka stosuje złączki mini USB, które nadają się raczej na eksponat muzeum techniki i nauki niż na element nowoczesnego urządzenia z wyższej półki. Nie jest to jednak duży problem. Zastosowane rozwiązanie mocowania do szyby przy użyciu dwustronnej taśmy nie ucieszy tych, którzy często zmieniają auta. Cena: 799 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X2)

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl dced4af17a

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Kwiaty cukinii

Cukinia to roślina z grupy dyniowatych. We Włoszech nazywana jest „małą dynią". Pokochacie te delikatne piękne, pomarańczowe żółte kwiatki i w sezonie letnim zagoszczą one na Waszych stołach tak często, jak to tylko możliwe, a sezon nie jest długi – trwa od maja do września (pod warunkiem że pogoda dopisze).

Kwiaty cukinii bardzo szybko więdną i tracą swoje wartości odżywcze, dlatego należy je spożywać od razu po zebraniu. Cukinia ma dwa rodzaje kwiatów: żeńskie, z których wyrasta słupek, a z niego cukinia, oraz męskie, które możemy zbierać i jeść. Mają lekko słodki smak i pachną trochę miodem. Znajdziemy w nich witaminę C, PP, potas i wapń. Działają odkwaszająco i odchudzająco, wspierają nasz układ pokarmowy dzięki zawartości błonnika i obniżają cholesterol, działają również przeciwzapalnie. Same zalety!

Możemy je spożywać na surowo, ponieważ idealnie nadają się jako dodatek do letnich kolorowych sałat. Wspaniale smakują też smażone z nadzieniem z sera ricotta, sprawdzą się w tartach ułożone na wierzchu i zapieczone oraz jako dodatek do risotto czy makaronu.

Przed użyciem kwiaty należy opłukać pod bieżącą wodą i delikatnie osuszyć ręcznikiem, ze środka kwiatów należy palcami wyrwać pręciki. Tak przygotowane kwiaty gotowe są do spożycia. My dziś polecamy placuszki z kwiatów cukinii, czyli po prostu nadziewane kwiaty smażone w cieście piwnym.

Placuszki z kwiatami

• ok. 10 sztuk kwiatów cukinii • 1 jajko • 8 dużych łyżek mąki pszennej • duża szczypta soli • ok. 12 dużych łyżek piwa

Nadzienie

• serek ricotta 200 g • ząbek czosnku • pół łyżeczki soli, odrobina pieprzu • świeże zioła, bazylia, oregano • olej do smażenia, nieco więcej niż standardowo

Kwiaty przygotowujemy tak, jak wcześniej opisałyśmy w tekście. Wszystkie składniki na ciasto blendujemy mikserem na gładką masę (powinna być nieco gęstsza niż na tradycyjne naleśniki).

Ser ricotta mieszamy widelcem z przeciśniętym czosnkiem i drobno pokrojonymi ziołami, dodajemy sól i pieprz do smaku, nadziewamy kwiaty, lekko zamykamy od góry i obtaczamy w cieście naleśnikowym. Na rozgrzaną patelnię wlewamy olej, nieco więcej niż przy tradycyjnym smażeniu, i na rozgrzanym oleju smażymy na złoty kolor z każdej ze stron. Odkładamy na ręcznik papierowy, aby pozbyć się nadmiaru tłuszczu. Jemy je jako przekąskę lub z sałatą. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Bez spódnicy

Na samym początku lat 60. przyjaciółka mamy pojechała do siostry do Anglii. Po powrocie zaprosiła kilka koleżanek, żeby opowiedzieć o wielkim świecie i pochwalić się przywiezionymi zdobyczami. Mama znalazła się w tym gronie, ze spotkania wróciła podekscytowana. – Wyobraź sobie – opowiadała ojcu – że teraz w Londynie nosi się takie jakby rajtuzy, tylko cienkie, przezroczyste i elastyczne. Pończochy razem z majtkami, coś takiego. I na to nie nosi się już spódnicy! Wszystkie tak chodzą w Londynie! Nie masz pojęcia, jak Hanka w tym wyglądała!

Tata był lekko zdziwiony tą opowieścią, trudno mu było uwierzyć, że znajoma, kiedyś elegancka dama przedwojennego chowu, potem dzielna sanitariuszka AK, ma takie ekstrawaganckie pomysły. Oboje śmiali się z wynalazku, który ich zdaniem do Polski miał nigdy nie dotrzeć. Dalsza relacja nie ujawniła, czy pani Hanka rzeczywiście wyszła w „tym czymś" na ulicę czy też jednak się nie odważyła.

Minęły lata, rajstopy można kupić w każdym sklepie i nikt nie zastanawia się, czy nosić je można jako część garderoby autonomiczną, czytaj: bez spódnicy. Raczej się tego nie praktykuje.

Za to nadejście nowego gatunku odzieży – legginsów – zamieszało szyki ubraniowej etykiety. Najpierw służyły one wyłącznie jako ubranie na salę gimnastyczną. W cywilu noszono je ostrożnie, wystawały ze spódnicy poniżej kolana i kończyły się w okolicach kostki. Z czasem odwagi przybywało, ale wciąż pupa pozostawała zakryta sukienką, tuniką czy długą bluzą. Jednak nieuchronne musiało nadejść.

FOT. ADOBE STOCK

Wczoraj w pewnym urzędzie stanęłam w kolejce za panią, osobą lat czterdziestu paru, postury całkiem słusznej, która miała na sobie legginsy cieliste. Nieprzezroczyste, ale pupa niczym nieprzykryta, zatem anatomia derieru uwidoczniała się w sposób aż nadto dokładny. Mówiąc wprost: wyglądała tak, jakby była goła od pasa w dół.

Ocenianie cudzego wyglądu czy ubrania jest dzisiaj wysoce niepoprawne, więc nie ośmielę się powiedzieć, co o tym myślę. Takich skrupułów nie ma na szczęście „Faszyn from Raszyn", profil na Facebooku, który dokumentuje również wszelkie śmiałe poczynania eksperymentatorek z naszych miast i wsi. (Igo, wybacz Raszyn, kochamy Cię i podziwiamy Twoją elegancję na korcie. Nie mam wątpliwości, że pani Hanka, gdyby jeszcze żyła, znalazłaby się na tym blogu). ©℗

eprasa.pl dced4af17a

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Czy Królewiec należał do Polski?

JACEK KOMUDA

Królewiec, zamieniony po drugiej wojnie w moskiewską eksklawę komplikującą interesy Rzeczypospolitej i Litwy nad Bałtykiem, przez długi czas związany był z Polską. Jego początki sięgają walk zakonu krzyżackiego z pogańskimi Prusami. W 1253 r. wielki mistrz Poppo von Osterna udał się do Czech i przekonał króla Przemysła Ottokara II do udziału w wyprawie krzyżowej na Sambię. Krucjata ruszyła jesienią 1254 r., gromadząc się w Elblągu. Wojska krzyżowców skierowały się na Sambię; ich liczebność oceniano na 60 tys., jednak Gerard Labuda obniża tę liczbę nawet dziesięciokrotnie. Tak czy owak, sama obecność wystarczyła, aby przerażona miejscowa ludność oddała się pod władzę zakonu i przyjęła chrzest.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. MART

Król Przemysł nie zabawił tu długo, bo już 18 stycznia 1255 r. wrócił do Elbląga, jednak pozostali w Prusach krzyżowcy zmusili podbitych Sambów do wzniesienia grodu nad Pregołą, w miejscu zdobytej osady zwanej Tuwangste. Na cześć króla otrzymała ona nazwę Königsberg, tj. Góra Królewska. Wkrótce wywołało to zbrojną akcję pogańskich sąsiadów – Nadrowów i Skalowów, którzy napadli na Sambię, ale nie byli w stanie zdobyć grodu.

Nie udało się to i pięć lat później, kiedy po klęsce pod Durbą wybuchło powstanie Prusów. Królewiec oparł się Sambom pod wodzą niejakiego Glande. Za to kiedy jesienią 1265 r. papież ogłosił nową wyprawę krzyżową, stał się główną bazą wypadową krzyżowców – przybyli tutaj książę brunszwicki Albert i margrabia brandenburski Otto III. W 1410 r. w spichrzach królewieckich znajdowało się 30 tys. mierzyc żyta (prawie półtora miliona litrów), 16 tys. owsa, 13 tys. jęczmienia i słodu, 4 tys. pszenicy. Szafarstwo królewieckie wykazywało 75 tys. grzywien rocznego obrotu, podczas gdy roczny dochód Królestwa Polskiego za Kazimierza Wielkiego wynosił 70 tys. grzywien.

W 1410 r., po Grunwaldzie, Królewiec jako jeden z nielicznych nie poddał się królowi Jagielle, stając się zarazem ośrodkiem oporu przeciwko Polakom – tutaj przybyły wojska z Inflant i zbierały się nieliczne oddziały zaciężne zakonu. W 1454 r. miasto należące do Związku Pruskiego wypowiedziało posłuszeństwo krzyżakom. Niestety, na krótko. 24 marca 1455 r. wybuchło prokrzyżackie powstanie pospólstwa, podczas gdy burmistrz i rada miejska pozostali wierni królowi Kazimierzowi. Umocnili się w kupieckiej dzielnicy Knipawie, którą obległy oddziały zaciężne wielkiego mistrza. 14 lipca 1455 r. skapitulowali, pomimo kilku prób przyjścia z odsieczą. Było to jednak pyrrusowe zwycięstwo, bo zakon przegrywał na całej linii. Wobec przejęcia Malborka w 1457 r. stał się Królewiec siedzibą wielkiego mistrza, a po zawarciu drugiego pokoju toruńskiego stolicą państwa krzyżackiego, które z kolei zostało lennem Królestwa Polskiego. W ten właśnie sposób został połączony z Królestwem Polskim, a potem z Rzecząpospolitą. Na mocy traktatu krakowskiego został jeszcze bardziej związany z Rzecząpospolitą, dokonano bowiem sekularyzacji Prus i ustanowiono mieszane sądy, do których odwoływać się mogli poddani księcia Prus – Albrechta Hohenzollerna, ostatniego wielkiego mistrza krzyżackiego.

Przez cały XVI w. w mieście widoczne były wpływy polskie. W 1544 r. książę pruski powołał Uniwersytet Albrechta wzorowany na Akademii Krakowskiej i obdarzony w 1560 r. podobnymi przywilejami. W latach 30. XVII w. rezydował tutaj przez jakiś czas Jerzy Ossoliński jako królewski namiestnik Prus. W 1657 r. na mocy traktatów w Welawie i Bydgoszczy nastąpiło zerwanie przez książąt elektorów zależności od Rzeczypospolitej. Jednak pozostały dwa zastrzeżenia: stany pruskie ciągle składały hołd królowi Polski, kiedy rządy w Prusach obejmował nowy książę. Po wymarciu Hohenzollernów Królewiec i Prusy miały wrócić do Polski.

Stany Pruskie długo nie chciały się pogodzić z władzą księcia, przysięgały na wierność królowi Polski, chociaż w 1662 r. elektor zmusił je do złożenia przysięgi jemu samemu. Wraz ze słabością Rzeczypospolitej i klęską polityki bałtyckiej Sobieskiego Królewiec stawał się coraz bardziej związany z Prusami. W ich składzie, a potem w Rzeszy Niemieckiej, pozostawał aż do roku 1945, kiedy na mocy konferencji poczdamskiej wyłączono miasto z Prus i wcielono do ZSRS. Zmieniając rok później nazwę z Królewca na Kaliningrad na cześć Kalinina, sowieckiego mordercy, człowieka, który podpisał się pod wyrokiem śmierci na naszych oficerów w Katyniu. ©℗

eprasa.pl dced4af17a

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Pozew za poczęcie

Śledzę od początku niepożądane odczyny pocovidowe, czyli to, jak reset pandemiczny przeorał obyczaje. Zwłaszcza dylematy tożsamościowe zalegały gdzieś przy dnie społecznego bajora, ale COVID-19 wstrząsnął stawem i wszystko się podniosło, zamulając nie gęstością, ale mętnością całość akwenu. Człowiek często już myśli w swej naiwnej pysze, że dalej już nie można posunąć się w absurdach, lecz wciąż jest zaskakiwany pukaniem od dołu dna antycywilizacyjnego szaleństwa. Głupota jest nieodgadniona, bo wykracza poza rozum, a ten jednak każe trzymać się wyobraźnią jeśli już nie realiów, to chociaż logiki.

No bo kto by sobie mógł wyimaginować, że znana tiktokerka Kass Theaz pozwie swoich rodziców za to, że… powołali ją na świat bez jej zgody. Z prawnego punktu widzenia to trudny chyba przypadek. Po pierwsze, nie wiadomo, czy skarżącej chodzi o brak zgody czy w ogóle o spowodowanie przyjścia na świat. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z zagwozdką. Bo jak to, z kim i o czym w kwestii zgody gadać przed poczęciem? Brakuje podmiotu negocjacji, pomijając, że do świadomej zgody trzeba by odczekać jeszcze parę ładnych lat po nieuzgodnionym poczęciu. Jeśli zaś chodzi nie o brak zgody, ale w ogóle o fakt poczęcia, to roszczenia powoda można zaspokoić w sposób prosty i natychmiastowy. Skracając męki. Może rękoma pochopnych rodziców? Tak, by zaspokoić samemu roszczenia we własnym gronie.

Widać, do czego to już dochodzi. To kolejny krok po – wydawałoby się końcowym – etapie, którym było (jest!) czekanie do pełnoletności, aż się dzieciak zdecyduje co do swojej płci. To już się wydawało odpałem. Ale czegóż się nie robi dla pofolgowania godności czyjegoś zdania? Czegóż? Ano np. nie nadaje imion, unijacza się zaimki, nie przygotowuje do żadnych (nie to, że wybranych) ról społecznych. I taki niebinarny nie tylko płciowo, lecz także kulturowo osobnik ma posiadać narzędzia moralne do oceny własnej tożsamości w wieku mocno już zaawansowanym, lecz w stanie społecznie zaniedbanym?

Ciekawe, jak się czują rodzice z taką odpłatą za to, że się kiedyś takiego małego uczyło chodzić, podcierało. Karmiło i wstawało po nocy, by nakarmić, okazało się, niewdzięczną u zarania dziecinę. Nie zazdroszczę. Ale, co ciekawe, tiktokerka Theaz… sama ma dzieci. Co czyni już permutację odjazdu moralnego, gdyż ciekawe jest, czy ona sama uzyskała zgodę od swoich pociech czy po prostu czeka na swój proces w przyszłości. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Uwaga na oszustów!

Podczas konferencji „Zdrowie rodzin" w Ministerstwie Zdrowia premier Mateusz Morawiecki w towarzystwie ministra Niedzielskiego i minister Maląg ogłosił, że program darmowych, dobrowolnych szczepień przeciw HPV uchroni kobiety przed nowotworem. Szczepienia obejmują 12- i 13-latków.

Preparaty, jak czytamy w branżowym portalu Termedia relacjonującym konferencję premiera, są skuteczne w 90 proc., a podane wcześnie chronią przed nowotworem przez całe życie.

Sprawdziłem statystyki zachorowalności w krajach, które wdrożyły masowe szczepienia na HPV. Okazuje się, że programy szczepień nie przyniosły poprawy, a w wielu badaniach notuje się nawet wzrost zachorowań. Dlaczego? Ponieważ wprowadzane na rynek preparaty nie są szczepionkami przeciwko rakowi. Zabezpieczają tylko przeciw czterem typom wirusa HPV spośród kilkudziesięciu, z których każdy może wywołać raka szyjki macicy.

Doktor Jacek Madej, znany krakowski położnik na stronie internetowej kliniki Kolposkopia.com publikuje streszczenia artykułów naukowych z najbardziej prestiżowych medycznych pism (np. „The Lancet Oncology" lipiec 2022 r., „Viruses" – styczeń 2021 r. i „Acta Oncologica" – maj 2020 r.). W świetle tych publikacji zapewnienia o ochronie na całe życie i 90 proc. skuteczności to po prostu kłamstwo.

Nowotwór rozwija się niezwykle wolno – 10 lat i więcej. Zapadalność na raka występuje najczęściej w grupie 40–65 lat, a zaszczepione w 2008 r. nastolatki dziś nie osiągnęły jeszcze 30. roku życia. Ponadto szczepienia oddziałują tylko na określone rodzaje wirusa, inne zaś typy są na szczepienia odporne.

Poważne naukowe periodyki zwracają uwagę, że w krajach, gdzie stosowano populacyjne, dywanowe szczepienia, zaobserwowano zjawisko substytucji, polegające na zastępowaniu i przejmowaniu roli ograniczonych przez szczepienie typów wirusa HPV przez pozostałe, bardzo onkogenne, a niezawarte w szczepionce typy. Zatem ani zapadalność, ani śmiertelność nie maleją.

Ponadto w amerykańskiej bazie odczynów poszczepiennych VAERS szczepienia na HPV wskazane są jako przyczyna ogromnej liczby skutków ubocznych (ze zgonami włącznie).

Skoro powyższa wiedza jest powszechnie dostępna, to dlaczego rząd namawia Polaków do tak wątpliwego środka? Dlaczego branżowe portale publikują nieprawdziwe informacje, wiemy. Wystarczy zerknąć do raportu przejrzystości. Branżowe media i towarzystwa medyczne od lat są hojnie sponsorowane przez koncerny farmaceutyczne. Czyżby polski rząd też? ©℗

eprasa.pl dced4af17a

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Miłość jak cymbał brzmiący

Jest Lex Draka, ale jaka! Stop. Nie czuję, jak mi się rymuje, o wybaczenie upraszam. Stop. Sejm uchwalił, a prezydent podpisał ustawę, ale chyba nikt, normalnie nikt nie wiedział, że to jest ustawa „lex Tusk". Stop. Po uważnym i osobistym przeczytaniu ustawy słowo po słowie z przecinkami autorytatywnie stwierdzam, że nic tam nie ma o Tusku, a nawet słowo „Tusk" nie pada, serio. Stop. Nazwa ustawy jest przydługa, ale chodzi w niej o badanie wpływów rosyjskich w Polsce, więc mieszanie do tego Tuska może być odczytywane jako jakaś okropna sugestia, co z obowiązującym domniemaniem niewinności nie licuje! Stop. Jeśli chodzi o rozumienie tej ustawy, to jest tradycyjnie: jeden rabin powie, że niekonstytucyjna i hańba, a drugi rabin, że konstytucyjna i Polsce niezbędna. Stop. Rozwój wypadków będziemy obserwować, bo co do zasady lubimy draki. Stop.

Znany Włoch Roman Giertych, to znaczy przepraszam: nie Włoch, tylko zdaje się, że siedzi cały czas we Włoszech, bo tu reżim na niego czyha i chce go pojmać, więc pan Roman obwieścił, że będzie kandydował do Senatu. Stop. Gdyby został senatorem, a reżim dalej by rządził, to mimo wszystko mógłby przebywać w Polsce, gdyż miałby zbroję immunitetu. Stop. Chyba że potem by mu ją zdjęli poprzez głosowanie, ale to nie wiadomo. Stop. Ku mojemu najpłytszemu niezdziwieniu owa decyzja nie zachwyciła holistycznie opozycji. Stop. Krzysztof Śmiszek pamięta np. stosunek wczesnego Giertycha do homoseksualistów. Stop. Był to stosunek przykry, pełen niechęci i nieznośnie długi. Stop. Natomiast lewicowy szef wszystkich szefów, Włodzimierz Czarzasty, z dystansowaniem się rzekł: „Lewica jako struktura zgłaszająca absolutnie nigdy nie brała pod uwagę jego kandydatury. Pamiętamy, co robił w ramach Ligi Polskich Rodzin, pamiętamy, jakim był ministrem edukacji. Nikt pana Giertycha nie zgłosił, więc zgłosił się sam". Panie Romanie! Powodzenia! Stop.

Teraz o sytuacji burzliwej, głośnej, która nikogo niczego nie nauczyła i nie nauczy. Stop. Jedna z najpiękniejszych niegdyś polskich modelek, Ilona Felicjańska, podała do sądu męża swego, Paula Montanę. Stop. Stwierdziła, że ją pobił. Stop. Paul Montana twierdzi, że wcale, że nie, że to Ilona była wzorcowo pijana i ugryzła go razy 30 w ciało. Stop. Nie negował przy tym, że i on był wlany. Stop. Sąd skazał nieprawomocnie Paula na pracę społeczne, a ja przypomniałem sobie, że pijaniutka para Ilona i Paul lat temu cztery w Stanach Zjednoczonych została aresztowana, gdyż wzajemnie się dotkliwie potargała, mając w żyłach alkoholowych trochę krwi. Stop. Miłość bywa jednak jak cymbał brzmiący. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Ta, która nie zginie

Niezwykłe proroctwo wygłosił przed kilkoma dniami Jarosław Kaczyński. Znalazło się ono w liście wysłanym przez niego do uczestników VII zjazdu klubów „Gazety Polskiej". „Rządy wygłodzonej i żądnej rewanżu na wszystkich możliwych polach totalnej opozycji mogą oznaczać tylko jedno: finis Poloniae" – ogłosił, odnosząc się do nadchodzących wyborów parlamentarnych. Zwrotu tego użyć miał przed 200 laty sam Tadeusz Kościuszko. W rzeczywistości historyczną fałszywkę spreparowała propaganda pruska, następnie zaś rozgłosiła ją po całej Europie.

„Finis Poloniae" krzyknąć miał w czasie bitwy pod Maciejowicami raniony szablą Tadeusz Kościuszko. On sam zawsze temu zaprzeczał. Można mu wierzyć – cięty w głowę nie miał czasu na wygłaszanie łacińskich sentencji. Nikt by ich nie zrozumiał – służący w wojsku carskim Kozacy nie posługiwali się łaciną, Kościuszkę na polu bitwy rozpoznano zaś dopiero po kilku godzinach, gdy obrabowany z ekwipunku leżał nieprzytomny na pobojowisku. Podniosłe geopolityczne sentencje wygłaszać mógłby naczelnik jedynie do sołdatów ściągających mu buty i spodnie.

Miały one jednak znaczenie dla pruskiej propagandy, z cynizmem przekonującej Europę o definitywnym zniknięciu z mapy nieudanego i skazanego na upadek tworu państwowego Polaków. Choć absurdalnego okrzyku „finis Poloniae" nie potwierdziły jakiekolwiek polskie ani rosyjskie źródła historyczne, to już w październiku roku 1794 rozpisywała się o nim urzędowa pruska prasa. Wyssane z brudnego palca brednie rozpropagowały po świecie „Südpreussische Zeitung", „Berlinische Nachrichten von Staats und gelehrten Sachen" oraz wrocławska „Schlesische Privilegierte Zeitung". Kłamstwo o Kościuszce poświadczającym – niczym pokonany wódz Kartagińczyków lub Gallów – ostateczny upadek swojej ojczyzny służyło za fundament polityki germanizacyjnej przez cały XIX w.

W obliczu ewentualnej wyborczej porażki przywołuje je właśnie „naczelnik" Kaczyński. Czy nie maluje zarazem naszego państwa jako bytu kruchego i zagrożonego zniknięciem, skoro jedne przegrane przez obóz władzy wybory oznaczać mogą „tylko jedno – finis Poloniae"? Takim właśnie oszczerstwom zadają kłam napisane za życia Kościuszki słowa polskiego hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy". Czy ktoś sufluje nam właśnie frazę: „kiedy my pozostajemy u władzy"? Państwowość polska przetrwała w najnowszych dziejach niejedną niekompetentną kamarylę. W wyniku demokratycznych wyborów żaden „finis Poloniae" wspólnemu państwu Polaków nie grozi. ©℗

eprasa.pl dced4af17a

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Scholz i żabki

Pod hasłem „Postęp potrzebuje sprawiedliwości – idee od 160 lat dla jutra" w dniach od 21 do 23 maja uroczyście obchodzono w Berlinie 160. rocznicę powstania niemieckiej socjaldemokracji (SPD), najdłużej istniejącej partii u naszego zachodniego sąsiada. Dzisiaj współrządzącej, skupiającej w swoich szeregach niemal 380 tys. członków.

Zwieńczeniem uroczystości było przemówienie kanclerza Olafa Scholza w berlińskiej centrali SPD. Socjaldemokratyczny szef rządu potraktował je jako okazję do skomentowania bieżącej sytuacji politycznej wewnątrz i na zewnątrz Niemiec. Społeczne wyczulenie socjaldemokratów w XXI w. to przede wszystkim budowa gospodarki „przyjaznej dla klimatu" – przekonywał Scholz. Padły również zapewnienia o stałym zaangażowaniu Niemiec w pomoc humanitarną i militarną dla Ukrainy walczącej z rosyjskim agresorem. Swoją wymowę miały słowa skierowane przez Scholza do swoich partyjnych towarzyszy, by SPD „jednoznacznie stanęła po stronie Ukrainy". Wymowne wezwanie, zważywszy na to, że w największej partii obecnej koalicji rządzącej w Berlinie nie brakuje „żabek", jak nazywa się w Niemczech sieć powiązań (nie tylko politycznych) wokół ostatniego przed Scholzem socjaldemokratycznego kanclerza Niemiec (frogs – friends of Gerhard Schröder).

Socjaldemokratyczny rząd RFN z wielką rezerwą przyjął powstanie Solidarności w Polsce i nie krył ulgi z powodu wprowadzenia stanu wojennego przez Jaruzelskiego

Schrödera na jubileuszowe obchody nie zaproszono, co powszechnie odczytano jako chęć dystansowania się obecnych władz SPD od polityka, którego rolę jako szefa nieformalnej, ale bardzo wpływowej sieci powiązań niemieckiego świata polityki oraz wielkiego biznesu z putinowską Rosją ze szczegółami przypomnieli w bestsellerowej książce „Die Moscau Connection" („Moskiewskie powiązanie") dwaj dziennikarze z „Frankfurter Allgemeine Zeitung". Książka ciesząca się od tygodni wielką popularnością w Niemczech przypomina nie tylko różne etapy dojrzewania byłego niemieckiego kanclerza do „męskiej przyjaźni" z rosyjskim prezydentem. Nie tylko pokazuje, ilu wpływowych polityków socjaldemokratycznych – nie wyłączając obecnego prezydenta RFN Franka-Waltera Steinmeiera – należało do chóru „żabek" kumkających wedle partytury napisanej przez dwóch serdecznych przyjaciół: Schrödera i Putina. Pokazuje również to, co zazwyczaj umyka potocznym obserwatorom życia politycznego w Niemczech, którzy rozumują wobec schematu: „partia lewicowa, wrażliwa społecznie, więc zatroskana o sprawy najuboższych i dlatego najdalsza od najbogatszych". Autorzy „Moskiewskiego powiązania" na przykładzie lat urzędowania Schrödera jako szefa rządu landowego w Dolnej Saksonii pokazują, że SPD od lat ma skłonność do nawiązywania „partnerskich" relacji z wielkim niemieckim biznesem. To partia wielkich pieniędzy, a były kanclerz do perfekcji doprowadził system, który istniał na długo zanim objął on rządy w Hanowerze, a później w Berlinie.

Powróćmy jednak do jubileuszu SPD i okolicznościowego przemówienia kanclerza Scholza. Znalazła się w nim również gruba mistyfikacja historyczna. Tak należy ocenić słowa szefa SPD o polityce wschodniej (Ostpolitik) zainicjowanej przez pierwszego socjaldemokratycznego kanclerza RFN Willy'ego Brandta (1969–1974). Według Scholza walnie przyczyniła się ona do zapanowania w Europie zasady niestosowania siły w relacjach międzypaństwowych, respektowania integralności terytorialnej państw oraz promocji prawa narodów do samostanowienia. Cóż, było dokładnie odwrotnie. Ostpolitik Brandta i jego socjaldemokratycznego następcy Helmuta Schmidta (1974–1982) legitymizowała de facto doktrynę Breżniewa, wychodząc z założenia nienaruszalności politycznego status quo w Europie Środkowej i Wschodniej.

Twórcy Ostpolitik kierowali się także innym aksjomatem: rozmawiać należy tylko z Moskwą, z pominięciem „mniejszych narodów" (dzisiaj się mówi „nowe demokracje"), takich jak Polacy. Czołowi socjaldemokratyczni politycy firmujący Ostpolitik uważali każde zakłócenie sowieckiej dominacji za żelazną kurtyną, każdy zryw wolnościowy za zakłócenie tej strategii. Dlatego socjaldemokratyczny rząd RFN z wielką rezerwą przyjął powstanie Solidarności w Polsce i nie krył ulgi z powodu wprowadzenia stanu wojennego przez Jaruzelskiego. A jeśli do tego dodać wielkie kontrakty gazowe z Rosją będące częścią Ostpolitik, to mamy cały wachlarz zaangażowania SPD na rzecz „samostanowienia narodów" i walki z opresyjnym sowieckim systemem. ©℗

eprasa.pl dced4af17a

PODOBA SIĘ?

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Czy komuś podoba się ten system, który mamy teraz? Na ogólnikowe pytanie odpowiedź będzie ogólnikowa i przez to fałszywa. Dlatego lepiej operować na konkretach. Posłuchajcie…

W Niemczech będą ludziom gasić prąd na odległość. Kto? Tak zwana „elektrownia", czyli dostawca. Powody są drugorzędne, ja pytam, czy to się komuś podoba niezależnie od powodów? Od przyszłego roku firmy dostarczające prąd do prywatnych domów i mieszkań będą mogły bez zgody właściciela ograniczyć lub całkowicie zatrzymać dostawy w wybranych godzinach. Nieważne, że masz zapłacone rachunki. To nie ma nic do rzeczy. Naprodukowali autek elektrycznych oraz namówili ludzi na pompy ciepła i okazało się, że kable nie wytrzymują. Co robić? W normalnym systemie, powiedzmy kapitalistycznym, poszlibyśmy w kierunku rozwoju – więcej kabli, więcej prądu, skoro jest większe zapotrzebowanie. No ale nie żyjemy w normalnym systemie, więc sięgnięto po rozwiązanie znane z komunistycznej Rumunii lat 80. Racjonowanie dostaw, planowe przerwy w dostawach, 20. stopień zasilania (to z kolei znamy z komunistycznej wersji Polski pod nazwą PRL).

Czy ten system się komuś podoba?

***

Unia Europejska ogłosiła zakaz ogrzewania domów piecami na gaz i węgiel od 1 stycznia 2024 r. Walczą o czyste powietrze. W normalnym systemie, powiedzmy kapitalistycznym, poszlibyśmy w kierunku rozwoju – coraz lepsze piece na wszystko, coraz lepsze filtry w kominach, coraz bardziej czyste paliwo. No ale nie żyjemy w normalnym systemie, więc wprowadzono ukaz carski i kary.

Gdy za prezydenta J. Cartera zabrakło w USA gazu oraz ropy i ludziom było zimno, prezydent poradził, żeby Amerykanie zaczęli nosić sweterki. Wyśmiali go i wybrali Reagana. My w dzisiejszym systemie nie mamy już szans, aby wybrać kogoś innego niż urzędująca władza, gdyż władze w UE wybierają same siebie, czyli nigdy nie tracą władzy. Taki mamy system. Podoba się?

***

W Polsce z kolei już jakiś czas temu władza wprowadziła prawo wodne, które najłatwiej streścić słowami NIE MASZ PRAWA DO WODY; cała woda jest państwowa i założymy ci licznik na twojej własnej studni, a za nadmiarowe pobory będziesz płacić. W normalnym systemie płaci się za rzeczy i usługi, które ktoś dostarcza tobie, ale nie żyjemy w normalnym systemie, więc jeżeli masz własną studnię i czerpiesz z niej wodę, to masz jeszcze za tę wodę płacić rządowi, który absolutnie nic w sprawie twojej wody nie zrobił – nie dostarczył ci jej, nie zainstalował pompy, nie wykopał studni i nie płaci za prąd do twojej prywatnej pompy.

Polski rząd stanowi w tym zakresie awangardę światową. Działa szybciej niż niejaki Klaus Schwab z Davos, który powiedział niedawno, że korzystanie z zasobów wodnych NIE JEST prawem człowieka – wodę muszą RACJONOWAĆ rządy. To kwestia klimatu.

***

Trwa walka z CO_2. Władcy świata chcą ochłodzenia planety. W normalnym systemie walczylibyśmy o jej ocieplenie. Ocieplenie to rozwój. Powrót do wyższych temperatur (które już na Ziemi były) oznaczałby, że Sahara się zazieleni i stanie ogrodem, pustynie Australii się zazielenią i zamienią w uprawne pola oraz dobre miejsce do zamieszkania dla kolejnych miliardów ludzi.

Encyklopedia podaje, że 115 tys. lat temu na terenie Warszawy zamieszkiwały liczne słonie leśne. Były też nosorożce leśne. Temperatura była wtedy o ok. 2,5 stopni (średnioroczna) wyższa niż obecnie. A dlaczego leśne? Bo tu rósł wysoki las, przy którym obecne zadrzewienie wygląda jak krzaki. Skąd znamy rozmiary tamtych drzew? Można je sobie pooglądać w kopalniach węgla kamiennego, który to węgiel powstał z drewna, czyli jest paliwem naturalnym i nieszkodliwym dla planety. Podobnie jak ropa naftowa, która też jest paliwem naturalnym, bo też powstała z obumarłych roślin. W normalnym systemie nie uczylibyśmy dzieci w szkołach, że węgiel, ropa oraz CO_2 to zagrożenie egzystencji ludzkości.

***

Encyklopedia podaje też takie dane:

CO_2 stanowi obecnie 0,04 proc. ziemskiej atmosfery (25 razy mniej niż 1 proc.).

Emisja CO_2 do atmosfery powodowana przez działalność człowieka to zaledwie 3 proc. całego CO_2. 3 proc. z 0,04 proc. to 833 mniej niż 1 proc. Co oznacza, że gdybyśmy zatrzymali całą emisję CO_2 powodowaną przez naszą cywilizację, zmienilibyśmy stan atmosfery 833 razy mniej niż o 1 proc. A gdybyśmy zaczęli emitować osiem razy tyle dwutlenku węgla co teraz, to wtedy cała nasza emisja stanowiłaby z grubsza 100 razy mniej niż 1 proc. całego składu atmosfery. Wniosek z tego taki (matematyczny), że cała nasza emisja jest kompletnie bez znaczenia z punktu widzenia klimatu. Mimo to Kalifornia uchwaliła usunięcie wszystkich ciężarówek z silnikiem Diesla do roku 2036. Nie mają żadnego pomysłu na to, czym będą wozić towar, choćby żywność, ale uchwalili.

***

Lokalni geniusze rządzą też w Serbii. Śledziłem miesiąc to, co robią. 4 maja usłyszałem, że prezydent Serbii zapowiada rozbrojenie kraju. W domach po wojnie jest dużo broni, a ostatnio były dwie strzelaniny z udziałem nastolatków.

Gdy to usłyszałem, naszła mnie taka myśl: CHCĄ SIĘ ROZBROIĆ??? AKURAT TERAZ? 16 maja usłyszałem, że po ogłoszeniu amnestii Serbowie masowo oddają broń. OSZALELI? 25 maja w TV powiedzieli: Niespokojnie na granicy Serbii z Kosowem. Wojna za progiem, a oni właśnie rozbroili własny naród. ©℗

eprasa.pl dced4af17a

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

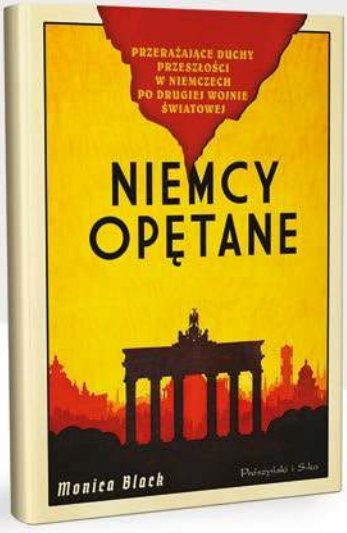

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MONICA BLACK:

„NIEMCY OPĘTANE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1161~~ ZŁ

365,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 796ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl dced4af17a

NARODOWY BANK POLSKI

GŁÓWNE PRZYCZYNY INFLACJI:

1. Agresja rosyjska w Ukrainie
2. Pandemia i jej skutki

Obciążanie NBP i rządu winą za wysoką inflację to narracja Kremla.

Inflacja w krajach Europy Środkowo-Wschodniej

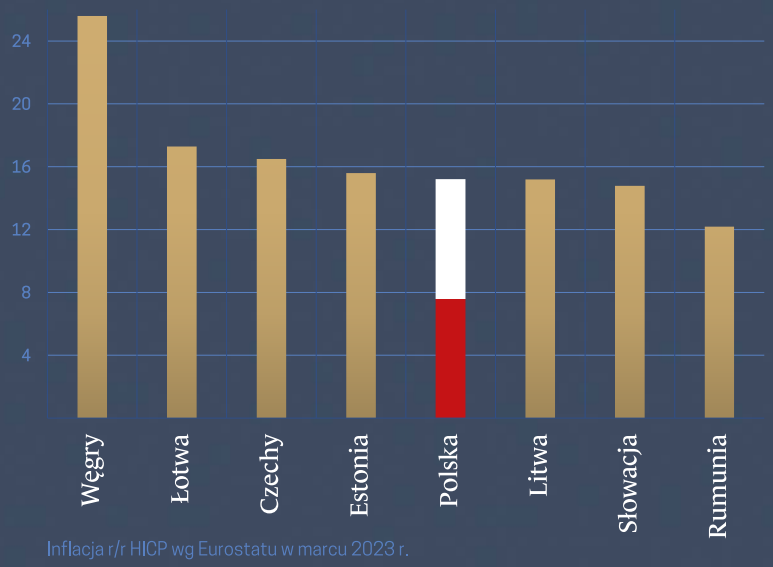

Inflacja r/r HICP wg Eurostatu w marcu 2023 r.

prezes.nbp.pl/wywiad-inflacja

eprasa.pl dced4af17a